

INDEKS

PISMO UNIwersYTETU OPOLSKIEGO
3-4 (175-176) / Kwiecień 2017



ISSN 1427-7506



36

Tomasz Szarota
Zawód - historyk

40

Marceli Kosman
Między Poznaniem i Opolem

58

Marian Buchowski
Wymazywane wczoraj

73

**Rozmowa z prof.
Susan Yelich-Biniecki**
Nie biją, a boli

SPIS TREŚCI

1	KRONIKA UNIWERSYTECKA	03
	Kulturpreis Schlesien dla prof. Stanisława S. Nicieji	18
	NOMINACJE PROFESORSKIE: ks. prof. dr hab. Jan Kochel	19
2	PUBLICYSTYKA, SZTUKA	21
	Ten dzień należał do historyków / <i>Barbara Stankiewicz</i>	23
	Polihistorzy z rocznika 40. / <i>Stanisław S. Nicieja</i>	27
	Zawód – historyk. Refleksje profesjonalisty (<i>wystąpienie prof. Tomasza Szaroty, dr. honoris causa UO</i>)	36
	Między Poznaniem i Opolem (<i>wystąpienie prof. Marcelego Kosmana, dr. honoris causa UO</i>)	40
	Scena, ekran, żywy plan / <i>Barbara Stankiewicz</i>	45
	Festiwal historii (<i>fotoreportaż Ryszarda Łabusa</i>)	55
	Wymazywane wczoraj / <i>Marian Buchowski</i>	58
	Dobry lekarz uczy się całe życie / (<i>z prof. Franciszkiem Kokotem rozmawia Radosław Świąt</i>)	62
	Elegia na śmierć wierzby z opolskiego pobraża Odry / <i>Jan Goczoł</i>	65
	Za szybkie pisanie (45) / <i>Adam Wierciński</i>	66
	Lekturnik 1 / <i>Bartosz Suwiński</i>	71
	Nie biją, a boli / (<i>z prof. Susan Yelich-Biniecki rozmawia Barbara Stankiewicz</i>)	73
	Ucieczka z obrazami / <i>Agnieszka Kania</i>	76
	Duet z ceramiką w tle / <i>Elżbieta Gosławska</i>	81
	Od bartyzany do kurtyzany / <i>Andrzej Hamada</i>	85
	800 LAT MIASTA OPOLA: Opolski tańcuch z krakowskim herbem / <i>Urszula Zajczkowska</i>	89
	FIZYKA DLA LAIKA: My, woda i kwarki / <i>Wojciech Dindorf</i>	91
	Los liścia / <i>Bartłomiej Kozera</i>	93
	PÓŁKA SUŁKA: Wracają żurawie / <i>Witold Sułek</i>	94
	We śnie płakałem z zachwytem / <i>Władysław Hendzel</i>	95
	INDEKSOWA GALERIA SZTUKI: Wizyta Sławomira Idziaka w Instytucie Sztuki UO	98
	Dolegliwości Jego Wysokości / <i>Włodzimierz Kaczorowski</i>	100
	Wigilia 2016 / <i>Bartosz Suwiński</i>	104
	ODESZLI: ks. prof. Alojzy Marcol, prof. Grzegorz Bryll, ks. kard. Miloslav Vlk	105
	LISTY, POLEMIKI	108
	3	RELACJE, RECENZJE, NOTY
KIERUNEK LEKARSKI CORAZ BLIŻEJ: Trwa budowa Collegium Medicum UO / <i>Agnieszka Jukowska</i>		110
KIERUNEK LEKARSKI CORAZ BLIŻEJ: Co to za budowa? / <i>Patryk Korzec</i>		110
KIERUNEK LEKARSKI CORAZ BLIŻEJ: Recepta na indeks / <i>Barbara Stankiewicz</i>		112
KIERUNEK LEKARSKI CORAZ BLIŻEJ: WCM – uniwersytecką kliniką / <i>Agnieszka Jukowska</i>		116
KIERUNEK LEKARSKI CORAZ BLIŻEJ: Darczyńcy opolskiej medycyny		117
Pokonać wojnę / <i>Janusz Słodczyk</i>		118
Prof. Jan Miodek otworzył Tydzień Naukowy w Opolu / <i>Aneta Jadzyn, Aleksandra Kot</i>		124
Przestępca zostawia ślady / <i>Agnieszka Jukowska</i>		126
Nie taki gender straszny, jak go malują / <i>Marcin Deutschmann</i>		128
Inauguracja Akademii Młodego Poligloty		131
„Mistrz esencjonalnych opowieści” w Opolu / <i>Monika Wójcik-Bednarz, Ewa Walczyk, Agnieszka Klimas</i>		132
Pamięć w spadku / (<i>z Aloisem Hotschnigiem rozmawia Ewa Walczyk</i>)		134
Licealne zmagania z językiem niemieckim / <i>Daniela Pelka</i>		135
Nauka, zabawa i śląskie szkłoki / <i>Klaudia Gabryel, Daniela Pelka</i>		137
Impresje opolsko-japońskie / <i>Tsuzuko Abe</i>		140
Legendy ze Strefy Wykluczenia / <i>Patryk Korzec</i>		142
Cztery trony Karola IV / <i>Katarzyna Mazur-Kulesza</i>		145
Oblicza pisma / <i>Justyna Grzesik</i>		146
Wieczór na Wołyniu / <i>Barbara Stankiewicz</i>		147
W blaskach wołyńskich Aten / <i>Marceli Kosman</i>		150
Nowości wydawnicze	153	
Noty o autorach	157	

1

INDEKS

KRONIKA UNIWERSYTECKA

Wydarzenia

Wiadomości

Sylwetki

16.02

7.04
2017

16.02

Rektor prof. dr hab. Marek Masnyk oraz dziekan Wydziału Ekonomicznego dr hab. Piotr Stec, prof. UO, wzięli udział w Zielonej Górze w drugim już spotkaniu rektorów 23 polskich uczelni – tzw. sieci 23 małych i średnich (pod względem wielkości) uczelni. Celem spotkania było m.in. przedstawienie stanowiska w sprawie proponowanych zmian w ustawie „Prawo o szkolnictwie wyższym”, niekorzystnych dla tego typu placówek. Rozmawiano także o możliwościach zacieśnienia współpracy między uczelniami w celu poprawy – w skali regionalnej i globalnej – jakości rozwoju naukowego, kształcenia oraz innowacyjności.

17.02

Minister zdrowia Konstanty Radziwiłł przyjął delegację Uniwersytetu Opolskiego oraz opolskiego środowiska lekarskiego, władz województwa i samorządu regionu. Z ministrem spotkali się prorektor ds. zarządzania i rozwoju UO prof. dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak, z-ca kanclerza Marcin Miga, wicewojewoda opolska Violetta Porowska, wicemarszałek województwa opolskiego Roman Kolek, dyrektor Wojewódzkiego Centrum Medycznego Dariusz Madera, dyrektor ds. medycznych WCM dr Andrzej Kucharski i prezes Opolskiej Izby Lekarskiej dr Jerzy Jakubiszyn. Podczas spotkania omówiono m.in. stan przygotowań do uruchomienia kierunku lekarskiego na Uniwersytecie Opolskim. Minister zapoznał się również ze szczegółową koncepcją Collegium Medicum, wizualizacją całego obiektu i poszczególnych sal wykładowych, a także z zakresem działań naukowych i dydaktycznych planowanych na nowym kierunku. Rozmawiano także o przekształceniu Wojewódzkiego Centrum Medycznego w szpital kliniczny Uniwersytetu Opolskiego oraz wpisania Klinicznego Centrum Medycznego Szpitala Klinicznego Uniwersytetu Opolskiego (obecnie WCM) do wykazu szpitali zakwalifikowanych do podstawowego szpitalnego zabezpieczenia świadczeń opieki zdrowotnej (PSZ) w ramach tzw. sieci szpitali (lecznice, które do niej trafiają, będą miały zapewnione publiczne finansowanie).



17 II 2017. Minister zdrowia Konstanty Radziwiłł przyjął delegację Uniwersytetu Opolskiego oraz opolskiego środowiska lekarskiego, władz województwa i samorządu regionu. Na zdjęciu (od lewej): Dariusz Madera, dr Andrzej Kucharski, Marcin Miga, minister Konstanty Radziwiłł, dr Jerzy Jakubiszyn, Violetta Porowska, Roman Kolek, prorektor prof. Wiesława Piątkowska-Stepaniak

17.02

• Instytut Socjologii rozpoczął współpracę z afgańskimi uczelniami: w ramach projektu mobilności 12 afgańskich studentów spędzi w Opolu semestr (w ramach wymiany), a kolejnych 12 pracowników Uniwersytetu Kabuńskiego, Uniwersytetu Salam w Kabulu oraz Uniwersytetu Taj w Mazar-i-Sharif złoży w naszej uczelni krótkie wizyty w celu prowadzenia zajęć i rozbudowywania relacji. Studenci z Afganistanu uczestniczyli w międzynarodowej konferencji z udziałem studentów z Albanii, Grecji, Rumunii, Ukrainy i Turcji. W związku z otwarciem studiów magisterskich w języku angielskim, na specjalności Intercultural Communication, tematem konferencji była właśnie komunikacja międzykulturowa w szkolnictwie wyższym.

20.02

Delegacja studentów z Afganistanu – Kamran Malik, Tamim Siddiqi i Mohammad Shah Zaki, którym towarzyszyli dr Stankomir Nicieja z Instytutu Filologii Angielskiej i koordynator projektu, dr Michał Wanke z Instytutu Socjologii – spotkała się z prorektorem ds. nauki i finansów prof. dr hab. Januszem Słodczykiem. Gości przyjął również rektor prof. dr hab. Marek Masnyk. Tego samego dnia studenci z Afganistanu rozmawiali o rozszerzeniu współpracy z Wydziałem Filologicznym – z prodziekan ds. kształcenia i studentów Wydziału Filologicznego dr Elżbietą Szymańską-Czaplak, a następnego dnia odwiedzili Wydział Ekonomiczny. Działania realizowane są w ramach projektu Akcji Kluczowej 107 Erasmus+.



20 II 2017. Gośćmi prorektora Janusza Słodczyka byli studenci z Afganistanu. Na zdjęciu od lewej: Haris Kohistani (Uniwersytet Opolski), Tamim Siddiqi (Salam University, Kabul), prof. Janusz Słodczyk, dr Stankomir Nicieja, Mohammad Shah Zaki (Taj Institute of Higher Education, Mazar-i-Sharif), Kamran Malik (Salam University, Kabul), dr Michał Wanke (fot. Jarosław Mokrzycki)

• W Studenckim Centrum Kultury odbyło się spotkanie z prof. dr hab. Stanisławem S. Nicieją, promujące kolejne dwa tomy (VIII i IX) „Kresowej Atlantydy”. Więcej na stronach: 147, 148.

21.02

Prorektor ds. kształcenia i studentów dr hab. Izabella Pisarek, prof. UO otworzyła „Przedwiosnie Naukowe”, organizowane przez Forum Kół Naukowych UO, popularyzujące ich działalność. W ubiegłym roku tematem przewodnim była woda, w tym roku – po raz pierwszy organizowane w Polsce Science Slam, czyli konferencja, której celem jest przedstawienie przez młodych naukowców swoich badań w jak najciekawszy i najbardziej przystępny dla publiczności sposób.

23.02

Staraniem dyrektora Czeskiego Centrum Kultury w Warszawie Tatjany Langáškovéj i dziekana Wydziału Filologicznego UO dr hab. Joanny Czaplńskiej, prof. UO, w Muzeum UO zagościła wystawa „Cesarz na czterech tronach – droga życiowa Karola IV Luksemburskiego”. Wystawa została przygotowana z okazji 700. rocznicy urodzin cesarza Karola IV (1316–1378), będącego jednocześnie królem czeskim, który z Pragi uczynił stolicę cesarstwa i przyczynił się do jej rozkwitu. Organizatorem wystawy był dr Jiří Fajt, dyrektor Národní Galerie w Pradze, oraz Jan Royt i Milan Rudnik. Polską edycję wystawy wykonało Czeskie Centrum w Warszawie. Podczas wernisażu wystawy wykład pt. „Karol IV a Śląsk” wygłosił dr hab. Bogusław Czechowicz, prof. UO, z Instytutu Historii UO. Więcej na str. 145.

- Prorektor ds. nauki i finansów prof. dr hab. Janusz Słodczyk spotkał się z wiceprezydentem Uniwersytetu w Poczdamie prof. dr. Florianem J. Schweigertem oraz władzami Wydziału Ekonomicznego: dziekan prof. dr hab. Stanisławą Sokołowską i prodziekanami – dr hab. Sabiną Kauf, prof. UO i dr. Bartoszem Chorkowym. Omawiano dotychczasową współpracę pomiędzy Wydziałem Ekonomicznym UO a Wydziałem Społeczno-Ekonomicznym Uniwersytetu w Poczdamie. Dyskutowano także o planach stworzenia na naszej uczelni nowych, obcojęzycznych programów i kierunków kształcenia, które mogłyby być interesujące również dla studentów poczdamskich.

24.02

W hotelu „Stociek” odbył się drugi, karnawałowy bal Uniwersytetu Opolskiego, z udziałem m.in. prezydenta Opola Arkadiusza Wiśniewskiego, rektora prof. dr hab. Marka Masnyka, prorektorów: dr hab. Izabelli Pisarek, prof. UO i prof. dr hab. Janusza Słodczyka. Podczas balu grał zespół The Icebreakers, śpiewała Anna Piechurska, pracownik naukowy UO. Przeprowadzono licytację obrazu pochodzącego z pracowni Instytutu Sztuki UO i koszulki z autografami siatkarek ECO AZS UNI Opole (dochód przekazano na Opolskie Stowarzyszenie na rzecz Rozwoju Dzieci z Trisomią – TRISO).



24 II 2017. Drugi, karnawałowy bal Uniwersytetu Opolskiego (fot. Leszek Bil)

27.02

Możliwości pozyskania funduszy unijnych dla uniwersyteckiego szpitala klinicznego – po przekształceniu Wojewódzkiego Centrum Medycznego – były przedmiotem rozmowy prorektora ds. zarządzania i rozwoju prof. dr hab. Wiesławy Piątkowskiej-Stepaniak i zastępcy kanclerza Marcina Migi z wicewojewodą Violetta Porowską.

28.02

Prorektor ds. zarządzania i rozwoju prof. dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak wzięła udział w konferencji zorganizowanej przez Urząd Miasta Opola, we współpracy z Centrum Partnerstwa Wschodniego UO, dotyczącej bieżących spraw i problemów cudzoziemców przebywających na terenie województwa opolskiego. Celem spotkania było m.in. omówienie zagadnień dotyczących pobytu cudzoziemców w naszym regionie, problemów osób przyjeżdżających na studia oraz podejmujących pracę, kwestii formalnoprawnych oraz proceduralnych dotyczących prowadzenia postępowań administracyjnych, związanych z udzielaniem pobytu na czas określony i zezwoleń na pracę.

I.03

Rektor prof. dr hab. Marek Masnyk wziął udział, na Politechnice Warszawskiej, w konferencji zorganizowanej przez ministra nauki i szkolnictwa wyższego Jarosława Gowina, podczas której prezentowano założenia do Ustawy 2.0.

- Obradował, po raz kolejny, zespół ds. konsolidacji potencjałów Uniwersytetu Opolskiego i Państwowej Medycznej Wyższej Szkoły Zawodowej w Opolu, w związku z przygotowaniem do uruchomienia kierunku lekarskiego. W spotkaniu udział wzięli m.in.: prorektor ds. zarządzania i rozwoju prof. dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak, dr hab. inż. Jarosław Mamala, prof. PO, przewodniczący Rady Miasta Opola Marcin Ociepa i pełnomocnik prezydenta ds. kontaktu z uczelniami wyższymi Bartłomiej Machnik.

- W filii nr 4 Miejskiej Biblioteki Publicznej w Opolu odbyła się druga debata z serii „Między kulturami” pt. „Gender ideologie(s). Kobieta i mężczyzna – naturalnie inni, kulturowo nierówni?” z udziałem dr Anny Czerner, dr. Borysa Cymbrowskiego, dr Katarzyny Molek-Kozakowskiej, mgr Elżbiety Pogody i Marcina Deutschmanna. W spotkaniu wzięli udział studenci i studentki z wielu krajów, którzy studiują Intercultural Communication na Uniwersytecie Opolskim. Więcej na str. 128.

2-3.03

W Wojewódzkim Centrum Medycznym w Opolu prorektor ds. zarządzania i rozwoju prof. dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak, której towarzyszyli Adam Sałaniewski i zastępca kanclerza Marcin Miga, odbyła kilka spotkań z ordynatorami poszczególnych oddziałów – ich tematem było przygotowanie oddziałów do struktury klinicznej.

3-4.03

Prorektor ds. kształcenia i studentów dr hab. Izabella Pisarek, prof. UO, uczestniczyła w posiedzeniu Uniwersyteckiej Komisji Kształcenia, obradującej w Gułtowach. Na spotkaniu omawiano stanowisko UKK w sprawie propozycji założeń do ustawy „Prawo o szkolnictwie wyższym”, regulamin oraz sprawy dotyczące programu mobilności studentów i doktorantów MOST, jak również przewidywania budżetowe UKK na rok 2017.

6.03

Na Wydziale Prawa i Administracji otwarte zostało nowoczesne laboratorium kryminalistyczne – koszt utworzenia pracowni wyniósł 15 tys. zł, z czego 10 tys. zł ofiarowała Energetyka Ciepła Opolszczyzny, którą podczas uroczystego otwarcia reprezentowali Paweł Krawczyk, członek zarządu i Andrzej Goździkowski, dyrektor ds. operacyjnych ECO SA. Symboliczną wstęgę przecięli: rektor UO prof. dr hab. Marek Masnyk, wiceprezydent Opola Maciej Wujec i dziekan WPiA dr hab. Piotr Stec, prof. UO. Więcej na str. 126.

- Z udziałem rektora prof. dr hab. Marka Masnyka, obradowała, po raz pierwszy w tej kadencji, Rada Gospodarcza Uniwersytetu Opolskiego.

6-31.03

W holu Biblioteki Głównej UO można było oglądać wystawę o życiu Stefana „Grotę” Roweckiego. Ekspozycja powstała z inicjatywy Głównej Biblioteki Lekarskiej im. Stanisława Konopki, we współpracy naukowej z Archiwum Akt Nowych.

7.03

Dlaczego, w jaki sposób i kiedy Wojewódzkie Centrum Medyczne w Opolu zostanie przekształcone w Szpital Kliniczny Uniwersytetu Opolskiego – na te pytania starano się odpowiedzieć podczas posiedzenia Senackiej Komisji ds. Organizacji i Rozwoju UO, z udziałem rektora prof. dr hab. Marka Masnyka, prorektora prof. dr hab. Wiesławy Piątkowskiej-Stepaniak, dyrektora WCM Dariusza Madery, wicedyrektora WCM dr. Andrzeja Kucharskiego, przewodniczącego Okręgowej Izby Lekarskiej dr. Jerzego Jakubiszyna, sekretarza woj. opolskiego Adama Maciąga i zastępcy kanclerza

7.03



7 III 2017. Podczas posiedzenia Senackiej Komisji ds. Organizacji i Rozwoju UO dyskutowano o przekształceniu Woj. Centrum Medycznego w uniwersytecki szpital kliniczny (fot. Jarosław Mokrzycki)

Marcina Migi. Adam Sałaniewski, główny specjalista Uniwersytetu Opolskiego ds. kierunku lekarskiego, przybliżył sposób, w jaki będzie się odbywać przekształcenie szpitala, mówił także o tym, jaką odpowiedzialność nakłada to na uniwersytet.

8.03

Koło Naukowe Brytanistów to organizator prelekcji pt. „Dzień Kobiet z Brytyjkami”. Studentki i pracownicy Instytutu Filologii Angielskiej oraz Instytutu Politologii UO przypomnieli sylwetki kobiet związanych z polityką i kulturą Wielkiej Brytanii (m.in. J.K. Rowling i Hilary Mantel). Gościem specjalnym spotkania był dr Stankomir Nicieja, który przypomniał zasługi Margaret Thatcher.

• „Energia i przyszłość. Unikatowość oraz partnerstwo krajowe i zagraniczne Uniwersytetu Opolskiego w projekcie Centrum Strategii i Bezpieczeństwa Energetycznego w Dąbrowie” – to temat spotkania, które odbyło się w Sali Plafonowej, a które prowadziła prorektor ds. zarządzania i rozwoju prof. dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak. Nasza uczelnia podpisała w ostatnim czasie cztery listy intencyjne w sprawie współpracy naukowo-badawczej przy realizacji projektu CSiBE w Dąbrowie: z Politechniką w Trewirze, Uniwersytetem Technicznym w Libercu, Narodowym Uniwersytetem Awiacyjnym w Kijowie oraz Akademią Morską w Szczecinie. Spotkanie koncentrowało się głównie na unikatowości projektu w aspekcie „mapy drogowej”. W dyskusji pojawiła się sprawa utworzenia kolejnego, prócz proponowanych obecnie jedenastu, „Laboratorium Cyberbezpieczeństwa i Sztucznej Inteligencji w Energetyce”, które obsługiwałoby wszystkie laboratoria, zbierało z nich dane i przetwarzało, a to z kolei pozwoliłoby na stworzenie bazy do kreowania sztucznej inteligencji. Koszt utworzenia CSiBE to 150 mln złotych – o takie pieniądze będziemy aplikować do ministerstwa (80 proc. wartości projektu finansowane jest ze środków unijnych, pozostałe 20 procent to wkład własny UO i podmiotu biznesowego). W konferencji wzięli udział przedstawiciele Narodowego Uniwersytetu Awiacyjnego w Kijowie: prof. Oleksandr Zaporozec, prof. Iryna Matwiejewa, prof. Walentyna Groza i dr Iryna Kozaczok, a także Roman Żelazny, menedżer projektu.

8.03



8 III 2017. „Energia i przyszłość. Unikatowość oraz partnerstwo krajowe i zagraniczne Uniwersytetu Opolskiego w projekcie Centrum Strategii i Bezpieczeństwa Energetycznego w Dąbrowie” – to temat spotkania, które odbyło się w Sali Plafonowej (fot. Sylwester Korał)

10.03

W przeddzień święta Uniwersytetu Opolskiego w kościele „Na Górcze” ks. bp. Andrzej Czaja, Wielki Kanclerz Wydziału Teologicznego, odprawił mszę św. w intencji społeczności uniwersyteckiej.

• W święto Uniwersytetu Opolskiego godność doktorów honorowych naszej uczelni przyjęli historycy, profesorowie: Marcei Kosman i Tomasz Szarota. Uroczystość odbyła się w Auli Błękitnej Collegium Maius (relacja na str. 23).

13.03

W Sali Plafonowej Collegium Maius gościliśmy kolejnych darczyńców Uniwersytetu Opolskiego – czek wartości 50 tys. złotych przekazał rektorowi prof. dr. hab. Markowi Masnykowi, na budowę kierunku lekarskiego, wicestarosta powiatu kędzierzyńsko-kozielskiego Józef Gisman, któremu towarzyszyła skarbnik powiatu – Wiesława Trelka.



13 III 2017. Czek wartości 50 tys. złotych ofiarował uczelni powiat kędzierzyńsko-kozielski, który reprezentowali: wicestarosta Józef Gisman (z lewej) i skarbnik Wiesława Trelka (fot. Jarosław Mokrzycki)

I3-I7
.03

Na Uniwersytecie Opolskim, w Archiwum Państwowym i w Muzeum Śląska Opolskiego trwa Tydzień Naukowy z udziałem m.in. prof. dr hab. Doroty Simonides, prof. dr hab. Andrzeja Kunerta i prof. dr hab. Jana Miodka (relacja z wykładu profesora na str. 124).

I3-I9
.03

Podczas repliki Festiwalu Filmów Rosyjskich „Sputnik nad Polską” można było obejrzeć siedem współczesnych filmów rosyjskich. Organizatorem wydarzenia było Stowarzyszenie Opolskie Lamy we współpracy ze studentami Koła Naukowego Kultury Rosyjskiej UO oraz Akademickiego Koła Artystycznego UO, a także Stowarzyszeniem Współpracy Polska-Wschód. Projekcje filmowe oraz wydarzenia towarzyszące odbyły się w kinie Meduza, kinie Helios, w Narodowym Centrum Polskiej Piosenki oraz w Collegium Maius UO. W ramach festiwalu obradowała Interdyscyplinarna Ogólnopolska Studencko-Doktorancka Konferencja Naukowa „Film zwierciadłem duszy rosyjskiej II”.

I3-20
.03

Gościem Instytutu Nauk Pedagogicznych była prof. Susan Yelich-Biniecki z Kansas State University, która podczas pobytu w Opolu (w ramach programu Erasmus+) przeprowadziła zajęcia ze studentami, uczestniczyła w dyskusjach i spotkaniach z członkami społeczności akademickiej, dotyczących m.in. tematyki sprawiedliwości społecznej i edukacji międzykulturowej. Rozmowa z prof. Susan Yelich-Biniecki na str. 72.

I3-21
.03

Prof. dr hab. Janusz Słodczyk, prorektor ds. nauki i finansów, a także dr Michał Wanke z Instytutu Socjologii i dr Stankomir Nicieja z Instytutu Filologii Angielskiej przebywali w Afganistanie z wizytą na University of Kabul. Była to podróż w ramach wymiany Erasmus (program dla krajów pozaeuropejskich), mająca na celu nie tylko promocję naszej uczelni, ale także wymianę doświadczeń i zacieśnienie współpracy (m.in. wymiana studencka i naukowa). Więcej na str. 118.



16 III 2017. Prorektor prof. Janusz Słodczyk w trakcie pobytu w Afganistanie – w University of Kabul

I4.03

Prorektor ds. zarządzania i rozwoju prof. dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak, prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja i zastępca kanclerza Marcin Miga byli gośćmi prof. dr hab. Franciszka Kokota, nefrologa, endokrynologa, b. rektora Śląskiej Akademii Medycznej w Katowicach, który jesienią br. przyjmie godność doktora *honoris causa* Uniwersytetu Opolskiego. Więcej na str. 62.

I4.03



14 III 2017. Prof. Franciszek Kokot (w środku) z prorektor prof. Wiesławą Piątkowską-Stepaniak i prof. Stanisławem S. Nicieją (fot. Sylwester Koral)

I5.03

Rektor prof. dr hab. Marek Masnyk otworzył w Filharmonii Opolskiej konferencję „Praca, Nauka, Cnota” i towarzyszącą jej wystawę z okazji 800-lecia Opola.

- W Starostwie Powiatowym w Strzelcach Opolskich wicestarosta Józef Swaczyna przekazał prorektor ds. zarządzania i rozwoju prof. dr hab. Wiesławie Piątkowskiej-Stepaniak symboliczny czek na kwotę 50 tys. złotych – jako wsparcie powiatu strzeleckiego dla budowanego kierunku lekarskiego. Dofinansowanie zostanie przeznaczone na roboty budowlane oraz zakup wyposażenia Collegium Medicum UO.



15 III 2017. Czek na kwotę 50 tys. złotych – to dar od powiatu strzeleckiego na budowę kierunku lekarskiego. Na zdjęciu (od lewej): członek Zarządu Powiatu Strzeleckiego Waldemar Gaida, honorowy senator UO Karol Cebula, prorektor prof. Wiesława Piątkowska-Stepaniak, starosta powiatu strzeleckiego Józef Swaczyna i wicestarosta Janusz Żyłka (fot. Sylwester Koral)

15-17
.03

Uniwersytet Opolski i Urząd Miasta Opola to organizatorzy międzynarodowej konferencji naukowej „Praca, Nauka i Cnota”, w ramach obchodów jubileuszu 800-lecia miasta. Do udziału w konferencji zaproszono czterdziestu uznanych naukowców, a wśród nich m.in. profesorów: Dorotę Simonides, Stanisława S. Nicieję, Jana Miodka oraz Przemysława Urbańczyka. Koordynatorem konferencji z ramienia uczelni była dr Magdalena Przysiężna-Pizarska z Instytutu Historii.

16.03

Na scenie Studenckiego Centrum Kultury odbył się finał XXVII Zimowej Giełdy Piosenki. Wykonywano po dwa utwory (w tym jeden z repertuaru Janis Joplin). Gwiazdą imprezy była Natalia Przybysz. Laureaci (w nawiasie – nagroda): I miejsce – Jabłonka (udział w Festiwalu Piosenki Studenckiej w Krakowie), II miejsce – Ciabatta (występ podczas Nocy Kultury 2017), III miejsce – Smutne Piosenki (nagroda ufundowana przez Starostwo Powiatowe w Opolu). Specjalna Nagroda Publiczności – Lorem (występ na Piastonaliach).

17.03

W Collegium Civitas obradował, pod przewodnictwem prorektor ds. zarządzania i rozwoju prof. dr hab. Wiesławy Piątkowskiej-Stepaniak zespół ds. organizacji kierunku lekarskiego: dr n. med. Barbara Radecka, dr n. med. Ewa Trejnowska, prof. dr hab. n. med. Zenon Halaba i dr n. med. Dariusz Kowalczyk. Tematem spotkania było m.in. przekształcenie WCM w uniwersytecki szpital kliniczny, możliwości pozyskania funduszy na funkcjonowanie kierunku lekarskiego oraz promocja kierunku.

- Tego dnia prorektor spotkała się także z ordynatorami kolejnych oddziałów szpitalnych WCM w Opolu. Rozmowy, w których uczestniczyli także Adam Sałaniewski i zastępca kanclerza Marcin Miga, dotyczyły przygotowania oddziałów do funkcjonowania w strukturze kliniki uniwersyteckiej.
- Rektor prof. dr hab. Marek Masnyk otworzył w Auli Błękitnej Collegium Maius konferencję pt. „Historia kołem się toczy”.

20.03

Gmina Namysłów przekazała Uniwersytetowi Opolskiemu 50 tys. zł na budowę kierunku lekarskiego. Symboliczny czek rektorowi prof. dr. hab. Markowi Masnykowi wręczył Julian Kruszyński, burmistrz Namysłowa.



20 III 2017. Gmina Namysłów przekazała uniwersytetowi 50 tys. zł na budowę kierunku lekarskiego. Na zdjęciu (od lewej): Sylwester Zabieliński, przewodniczący Rady Miejskiej w Namysłowie, skarbnik gminy Iwona Wilczyńska, burmistrz Julian Kruszyński, rektor prof. Marek Masnyk i wiceburmistrz Namysłowa Rafał Nowowiejski (fot. Jarosław Mokrzycki)

20-24
.03

W ramach „Tygodnia Germanistyki Opolskiej” w Instytucie Filologii Germańskiej odbyły się m.in. projekcje filmów, prezentacje, quizy oraz warsztaty i Olimpiada Interpunkcyjna. Więcej na str. 135.

21.03

Gościem prorektor ds. zarządzania i rozwoju prof. dr hab. Wiesławy Piątkowskiej-Stepaniak i rektora prof. dr. hab. Marka Masnyka był Sławomir Brzeziński, wiceprezes Grupy Azoty Zakłady Azotowe Kędzierzyn SA. Rozmowa dotyczyła możliwości finansowego wsparcia dwóch przedsięwzięć Uniwersytetu Opolskiego: kierunku lekarskiego i prószkowskiej Pomologii.

23.03

Gośćmi prorektor ds. zarządzania i rozwoju prof. dr hab. Wiesławy Piątkowskiej-Stepaniak byli: honorowy senator UO Karol Cebula i Claudius Badura, prezes Śląskiej Izby Gospodarczej, który wyraził chęć – w imieniu Izby – wsparcia powstającego kierunku lekarskiego.

24.03

Gościem prorektora ds. nauki i finansów prof. dr. hab. Janusza Słodczyka był, przebywający w Opolu, ambasador Republiki Mołdawii w Polsce Lurie Bodrug. Rozmowa dotyczyła kontynuacji współpracy pomiędzy uczelniami mołdawskimi a Uniwersytetem Opolskim (m.in. możliwości podpisania umów z uniwersytetami w trzech miastach Mołdawii), która została zapoczątkowana w 2013 r. wizytą naczelnik Departamentu Szkolnictwa Wyższego Tetiany Nagnibedy-Twierdochleb. W spotkaniu uczestniczyli także Ludmiła Skochko z Centrum Partnerstwa Wschodniego UO i pełnomocnik prezydenta Opola ds. współpracy z uczelniami wyższymi Bartłomiej Machnik.



24 III 2017. Gościem prorektora ds. nauki i finansów prof. dr. hab. Janusza Słodczyka był, przebywający w Opolu, ambasador Mołdawii Lurie Bodrug. Na zdjęciu (od lewej): Ludmiła Skochko, prorektor prof. Janusz Słodczyk, Lurie Bodrug i Bartłomiej Machnik (fot. Jarosław Mokrzycki)

• Prorektor ds. kształcenia i studentów dr hab. Izabella Pisarek, prof. UO, uczestniczyła w „Festiwalu Wiedzy” w I Liceum Ogólnokształcącym im. 14. Pułku Powstańców Śląskich w Wodzisławiu Śląskim. W ramach festiwalu odbywały się wykłady, warsztaty i inne zajęcia dla młodzieży i gości, prowadzone przez wykładowców m.in. z takich uczelni wyższych, jak Uniwersytet Opolski, Akademia Górniczo-Hutnicza, Uniwersytet Wrocławski, Politechnika Śląska, Uniwersytet Śląski, Politechnika Wrocławska, Uniwersytet Przyrodniczy we Wrocławiu czy Śląska Akademia Medyczna. Podczas Festiwalu Wiedzy podpisane zostały porozumienia o współpracy szkoły z trzema uczelniami wyższymi: Uniwersytetem Opolskim, kolejnymi wydziałami Uniwersytetu Śląskiego i Wydziałem Matematyki Stosowanej Politechniki Śląskiej.

24-26
.03

Wydawnictwo UO uczestniczyło w 21. Poznańskich Targach Książki Naukowej i Popularnonaukowej, odbywających się w pawilonach Międzynarodowych Targów Poznańskich.

27.03

Prorektor ds. nauki i finansów prof. dr hab. Janusz Słodczyk otworzył konferencję „3rd Symposium on Weak Molecular Interaction” zorganizowaną przez Wydział Chemii UO. Udział wzięło kilkudziesięciu naukowców z Austrii, Chorwacji, Czech, Danii, Japonii, Niemiec, Węgier oraz czołowych ośrodków naukowych z Polski. Tematem konferencji były najnowsze trendy w badaniach teoretycznych i doświadczalnych w zakresie słabych oddziaływań pomiędzy molekułami i atomami. Istotnym elementem będzie pokazanie roli modelowania molekularnego do wyjaśniania i przewidywania właściwości i procesów zachodzących w nanotechnologii i biotechnologii, zarówno w przypadku mieszanin cieczy, układów biologicznie ważnych, jak i w inżynierii materiałowej.

28.03

Radni Sejmiku Województwa Opolskiego, w obecności prorektor ds. zarządzania i rozwoju prof. dr hab. Wiesławy Piątkowskiej-Stepaniak oraz zastępcy kanclerza Marcina Miga, jednogłośnie podjęli uchwałę o przekazaniu Wojewódzkiego Centrum Medycznego na rzecz Uniwersytetu Opolskiego. Zmiana właściciela potwierdzona zostanie aktem notarialnym. Tym samym placówka zyska status szpitala klinicznego i będzie służyła nowo tworzonemu kierunkowi lekarskiemu naszej uczelni. Wartość nieruchomości, którą samorząd województwa przekazał jako darowiznę, rzeczoznawcy majątkowi oszacowali na 179 mln złotych. Więcej na str. 116.

- Rektor UO prof. dr hab. Marek Masnyk, rektor PO prof. dr hab. Marek Tukiendorf, prezes Opolskiego Związku Piłki Siatkowej Waldemar Kobienia i zastępca kanclerza UO Marcin Miga – to uczestnicy spotkania w rektoracie, dotyczącego akademickiej siatkówki kobiet.

29.03

Gościem prorektor ds. zarządzania i rozwoju prof. dr hab. Wiesławy Piątkowskiej-Stepaniak był prof. dr hab. Stanisław Wincenciak, prorektor Politechniki Warszawskiej. Rozmowa dotyczyła możliwości włączenia się warszawskiej uczelni w uniwersytecki projekt „Dąbrowa”.

30.03

Prorektor ds. zarządzania i rozwoju prof. dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak odbyła kolejne spotkania z ordynatorami oddziałów Wojewódzkiego Centrum Medycznego w Opolu w związku z przygotowaniem do przekształcenia WCM w szpital kliniczny.

- Półtora miliona złotych przekaże Uniwersytetowi Opolskiemu Starostwo Powiatowe w Opolu – na ratowanie prószkowskiej Pomologii, gdzie ma powstać Międzynarodowe Centrum Badawczo-Rozwojowe na rzecz rolnictwa i przemysłu rolno-spożywczego. Mieścić się będzie na terenach pozostałych po dawnym prószkowskim Zespole Szkół Ogrodniczych. Pieniądze, które uniwersytetowi przekaże starostwo, zasilą wkład własny uczelni, będący warunkiem otrzymania dotacji unijnej. W imieniu Starostwa Powiatowego w Opolu umowa została podpisana przez wicestarostę Leonardę Płoszaj i członka zarządu powiatu opolskiego Krzysztofa Wysdaka – w obecności dyrektora ds. projektów strategicznych UO Grzegorza Sawickiego i posła Ryszarda Galli. Koszt projektu o nazwie „Rewitalizacja Królewskiej Akademii Nauk w Prószkowie” to 40 mln złotych. Konkurs, w którym uczelnia będzie się starała pozyskać resztę (czyli 30 mln zł), zostanie ogłoszony w maju. Projekt zakłada, że Centrum będzie się składało z dwóch części: komercyjnej w Prószkowie i naukowej w Opolu, na terenie kampusu UO przy ul. o. J. Czapłaka.

30.03



30 III 2017. Półtora miliona złotych przekaże uniwersytetowi Starostwo Powiatowe w Opolu – na ratowanie prószkowskiej Pomologii. Na zdjęciu (od lewej): członek zarządu Krzysztof Wysdak, wicestarosta Leonarda Płoszaj, rektor prof. Marek Masnyk, Grzegorz Sawicki i poseł Ryszard Galla (fot. Jarosław Mokrzycki)

31.03

Prorektor ds. zarządzania i rozwoju prof. dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak i zastępca kanclerza Marcin Miga spotkali się z prezydentem Opola Arkadiuszem Wiśniewskim, w sprawie wsparcia finansowego powstającego kierunku lekarskiego, a także z wicewojewodą Violetta Porowską – rozmowa dotyczyła przekształcenia WCM w szpital kliniczny.

Rektor prof. dr hab. Marek Masnyk był gościem inauguracji VI edycji Collegium Nobilium Opolense, która odbyła się w Urzędzie Marszałkowskim Województwa Opolskiego.

- Robert Kudelski (historyk sztuki, pasjonat, poszukiwacz utraconych arcydzieł, autor książki „Zaginiony Rafael”), który od lat prowadzi prywatne śledztwo w sprawie zaginionego „Portretu młodzieńca” Rafaela Santi – był gościem Wydziału Prawa i Administracji naszej uczelni. Podczas wykładu otwartego, w auli przy ul. Oleskiej, opowiadał o swoich poszukiwaniach.

I.04

W opolskiej katedrze wystawiono jednoaktową operę Giacomo Pucciniego „Siostra Angelica”. Opiekę reżyserską nad przedstawieniem sprawowała Monika Rękoś, grała orkiestra Filharmonii Opolskiej pod dyktando Przemysława Neumanna, a śpiewał Akademicki Chór UO „Dramma per Musica” pod dyktando dr Elżbiety Trylnik. W trakcie spektaklu przeprowadzono zbiórkę pieniędzy na renowację katedry.

3.04

W Muzeum UO dr Adriana Dawid z Instytutu Historii wygłosiła prelekcję pt. „Opole w okresie międzywojennym” – słuchaczami byli członkowie PTTK Oddziału Regionalnego Śląska Opolskiego.

- Prorektor ds. zarządzania i rozwoju prof. dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak, wicewojewoda Violetta Porowska i zastępca kanclerza Marcin Miga byli gośćmi Marka Tombarkiewicza, podsekretarza stanu w Ministerstwie Zdrowia. Spotkanie dotyczyło wpisania Klinicznego Centrum Medycznego Szpitala Klinicznego Uniwersytetu Opolskiego (obecnego WCM) do wykazu szpitali, zakwalifikowanych do podstawowego szpitalnego zabezpieczenia świadczeń opieki zdrowotnej (PSZ) w ramach tzw. sieci szpitali (lecznice, które do niej trafiają, będą miały zapewnione publiczne finansowanie).

3.04



3 IV 2017. Prorektor ds. zarządzania i rozwoju prof. Wiesława Piątkowska-Stepaniak (z lewej), wicewojewoda Violetta Porowska i zastępca kanclerza Marcin Miga byli gośćmi Marka Tombarkiewicza, podsekretarza stanu w Ministerstwie Zdrowia (na zdjęciu drugi z prawej)

4.04

Na Uniwersytecie Opolskim gościli kolejni darczyńcy, którzy zadeklarowali pomoc finansową dla tworzonego kierunku lekarskiego. W Sali Plafonowej Collegium Maius czek wartości 50 tys. złotych przekazała prezydent Kędzierzyna-Koźła Sylwia Nowosielska, a czek wartości 60 tys. złotych – przedstawiciele Gminy Strzelce Opolskie: burmistrz Tadeusz Goc i przewodnicząca Rady Miejskiej Gabriela Puzik.



4 IV 2017. W Sali Plafonowej Collegium Maius kolejni darczyńcy przekazali pieniądze na budowę kierunku lekarskiego. Na zdjęciu (od lewej): prezydent Kędzierzyna-Koźła Sylwia Nowosielska, rektor prof. Marek Masnyk, burmistrz Strzelce Opolskich Tadeusz Goc i przewodnicząca Rady Miejskiej Gabriela Puzik (fot. Sylwester Koral)

4.04

• Katedra Muzyki Kościelnej i Wychowania Muzycznego Wydziału Teologicznego UO oraz Diecezjalny Instytut Muzyki Kościelnej w Opolu to organizatorzy V Konferencji Organoznawczej z cyklu „Śląskie organy”, która odbyła się w Wydziale Teologicznym.

5.04

Prorektor ds. zarządzania i rozwoju prof. dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak była gościem wicewojewody Violetty Porowskiej. Spotkanie dotyczyło przekształcenia WCM w szpital kliniczny.

6.04

Starosta kluczborski Piotr Pośpiech i wicestarosta Urszula Pękala-Duda byli gośćmi rektora UO prof. dr. hab. Marka Masnyka – w imieniu Starostwa Powiatowego w Kluczborku przekazali na budowę kierunku lekarskiego symboliczny czek na kwotę 50 tys. złotych.

• Koło Naukowe Studentów Muzykologii, Rada Doktorantów Wydziału Teologicznego UO i Diecezjalny Instytut Muzyki Kościelnej to organizatorzy Ogólnopolskiej Studencko-Doktoranckiej Konferencji Naukowej „Sztuka a sacrum”, która obradowała w ramach II Tygodnia Muzykologii.



6 IV 2017. Starostwo Powiatowe w Kluczborku to kolejny darczyńca, który wsparł budowę kierunku lekarskiego. Na zdjęciu (od lewej): wicestarosta Urszula Pękala-Duda, rektor prof. Marek Masnyk i starosta Piotr Pośpiech (fot. Sylwester Koral)

7.04

200 tys. złotych – to suma, którą na budowę kierunku lekarskiego przekazała uniwersytetowi Energetyka Ciepła Opolszczyzny SA. Przekazanie symbolicznego czeku odbyło się w Sali Plafonowej Collegium Maius, a w spotkaniu uczestniczył także prezydent Opola Arkadiusz Wiśniewski. Energetykę Ciepłą Opolszczyzny reprezentowali: Monika Stypułkowska, członek zarządu ds. ekonomicznych i Paweł Krawczyk, członek zarządu ds. operacyjnych, a Uniwersytet Opolski – rektor prof. dr hab. Marek Masnyk, prorektor ds. zarządzania i rozwoju prof. dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak i kanclerz Zbigniew Budziszewski. Współpraca ECO i Uniwersytetu Opolskiego trwa od lat – firma wspiera działalność dydaktyczno-naukową uniwersytetu (dzięki pomocy finansowej ECO na Wydziale Prawa i Administracji powstała unikatowa pracownia kryminalistyczna, realizowany jest też projekt stażowy „Gotowi na rynek pracy”). Spółka jest członkiem Rady Gospodarczej powołanej przy Uniwersytecie Opolskim, wspiera też sport akademicki – czego przykładem jest osiągnięta sukcesy drużyna siatkówki żeńskiej ECO UNI Opole.

7.04



7 IV 2017. Energetyka Ciepła Opolszczyzny SA wsparła budowę kierunku lekarskiego sumą 200 tys. złotych. Umowę o darowiznie podpisali (na zdjęciu od lewej): prorektor prof. Wiesława Piątkowska-Stepaniak, Paweł Krawczyk, rektor prof. Marek Masnyk, Monika Stypułkowska i prezydent Opola Arkadiusz Wiśniewski (fot. Sylwester Koral)

W ostatnim czasie do grona doktorów habilitowanych dołączyli: **dr hab. Fabrice Marsac** z Katedry Kultury i Języka Francuskiego, **dr hab. Mirosława Podhajecka** i **dr hab. Tadeusz Lewandowski** (oboje z Instytutu Filologii Angielskiej).

Zebrała: Barbara Stankiewicz

NAGRODY, WYRÓŻNIENIA

KULTURPREIS SCHLESIEN DLA PROF. STANISŁAWA S. NICIEJI

Prof. Stanisław Sławomir Nicieja został laureatem prestiżowej Nagrody Kulturalnej Śląska – Kulturpreis Schlesien, przyznawanej od roku 2000 przez rząd Dolnej Saksonii i Samorząd Województwa Dolnośląskiego. Laureatami tej nagrody są m.in. Tadeusz Różewicz, Wojciech Kilar, Mikołaj Górecki, Jan Jakub Kolci, Franciszek Pieczka, Jan Miodek, Olga Tokarczuk i Ewa Michnik.

Nagroda przyznawana jest polskim i niemieckim twórcom za wybitne osiągnięcia w dziedzinie literatury, muzyki i sztuk plastycznych. Niemiecko-polskie jury przyznało nagrodę prof. Stanisławowi S. Niciejowi „za szczególne zasługi w zakresie utrzymywania, rozwoju i propagowania śląskiego dorobku kulturalnego, za walory literackie jego licznych książek, za ratowanie śląskich zabytków materialnych i długoletnie kierowanie Uniwersytetem Opolskim, któremu nadał piękny kształt artystyczny oraz za utrzymywanie dobrych relacji polsko-niemieckich”.

Jury podkreśliło szczególne zasługi prof. Stanisława Nicieji w doprowadzeniu do odbudowy w Opolu gmachu dawnego klasztoru dominikańskiego, w którym mieści się obecnie Collegium Maius Uniwersytetu Opolskiego i otoczenie tej zabytkowej budowli licznymi dziełami sztuki barokowej, neogotyckiej i współczesnej oraz stworzenie unikatowego Muzeum Uniwersyteckiego. Podkreślono, że większość rzeźb zdobiących dziś wzgórze uniwersyteckie w Opolu zostało przez prof. Stanisława Nicieję uratowanych przed zniszczeniem, a wiele z nich należy do wybitnych dzieł sztuki na Śląsku (m.in. rzeźba św. Krzysztofa).

Wręczenie nagrody odbędzie się 12 sierpnia br. w Osnabrück (Saksonia). Będzie to rzeźba z brązu – Silesia, autorstwa wrocławskiego rzeźbiarza Stanisława Wysockiego oraz czek na kwotę 4 tysiące euro.

(b)

NOMINACJE PROFESORSKIE

KS. PROF. DR HAB. JAN KOCHEL



Ks. prof. Jan Kochel (fot. Jerzy Mokrzycki)

Ks. prof. dr hab. Jan Kochel urodził się 1 lipca 1963 r. w Tarnowskich Górach. W latach 1982–1989 odbył studia teologiczne w Wyższym Śląskim Seminarium Duchownym w Katowicach, uzyskując tytuł magistra teologii na podstawie pracy „Ewangelia św. Jana jako podręcznik dojrzałości chrześcijańskiej w koncepcji Carlo Maria Kardynała Martiniego”. W 1992 r. uzyskał licencjat (rzymski) z teologii pastoralnej na Wydziale Teologicznym Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie.

W 1999 r. obronił pracę doktorską pt. „Katecheza ewangelizacyjna w nauczaniu pastoralnym Carlo Maria kard. Martiniego” (promotor: ks. prof. dr hab. Mieczysław Majewski) na Wydziale Teologicznym Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, a w 2005 uzyskał, na Wydziale Teologicznym UO, stopień doktora habilitowanego w zakresie katechetyki na podstawie dorobku naukowego i rozprawy „Katecheza królestwa niebieskiego. Studium biblijno-katechetyczne Ewangelii Mateusza”. W 2017 – tytuł profesora nauk teologicznych, na podstawie dorobku naukowego i rozprawy profesorskiej „Katecheza misyjna w Ewangelia Łukasza i Dziejach Apostolskich. Biblijno-katechetyczne studium narracyjne”.

Święcenia kapłańskie przyjął w 1989 r. w Katowicach, po czym do 1992 r. był wikariuszem w parafii św. Barbary w Katowicach/Giszowcu (diecezja katowicka), w kolejnych latach (do 1999 r.) – rezydentem przy parafii Narodzenia NMP w Gliwicach-Bojkowie, a od 1999 r. jest rezydentem przy parafii MB Częstochowskiej w Gliwicach-Trynku.

Z Uniwersytetem Opolskim jest związany od 2001 r. (początkowo jako adiunkt prowadził zajęcia zleczone na Wydziale Teologicznym, od 2005 r. był adiunktem w Katedrze Katechetyki i Teologii Pastoralnej), od 2011 – na stanowisku profesora nadzwyczajnego. W 2016 r. objął funkcję kierownika Katedry Antropologii i Teologii Rodziny w Instytucie Nauk o Rodzinie.

Jest redaktorem naczelnym strony internetowej „Szkoła Słowa Bożego” (www.ssb24.pl/), członkiem zespołu redakcyjnego „Przeglądu Piśmiennictwa Teologicznego”, członkiem Rady Naukowej pism: „Studia Katechetyczne” (Warszawa), „Studia Misjologiczne” (Katowice) i Wydawnictwa „Śląska Szkoła Ikonografii” (Zabrze), a także recenzentem pism: „Studia Pastoralne” (Katowice), „Zeszyty Formacji Katechetów” (Radom), „Studia Świdnickie” (Świdnica). Członek Stowarzyszenia Katechetów Pol-

skich, Équipe Européenne de Catéchèse (EEC), European Forum for Religious Education in Schools (EuFRES), Komisja Wychowania Katolickiego przy Konferencji Episkopatu Polski – ekspert do ds. oceny podręczników katechetycznych, prezes Rady Nadzorczej Fundacji Betlechem Dom Chleba (Zabrze).

Kierunki badań: katecheza młodzieży i dorosłych, katecheza biblijna, pedagogia i katecheza terapeutyczna, pedagogika biblijna w nauczaniu szkolnym, świetlice parafialne profilaktyczno-wychowawcze, ewangelizacyjny wymiar nauczania i wychowania, hagiograficzne podejście w interpretacji Biblii, ewangelizacyjno-wychowawczy wymiar sportu, narracyjny wymiar edukacji chrześcijańskiej, formacja świeckich animatorów Ruchu Czystych Serca, pedagogika katolicka, pedagogika miłości – wychowanie do czystej miłości, antropologia i teologia rodziny.

Ks. prof. dr hab. Jan Kochel jest autorem sześciu książek naukowych, m.in. „Katecheza u źródeł Ewangelii” (Biblioteka „Katechety”), Księgarnia św. Wojciecha, Poznań 2006; „Pedagogia biblijna w katechezie”, WAM, Kraków 2012 [współautor: Z. Marek]; „Katecheza misyjna w Ewangelii Łukasza i Dziejach Apostolskich. Biblijno-katechetyczne studium narracyjne” (OBT 133), Redakcja Wydawnictw Wydziału Teologicznego UO, Opole 2013; „Kochel. Opowieść o śląskiej rodzinie”, Tarnowskie Góry 2015; „Duchowa pedagogia sportu. Aksjologiczny wymiar zawodów i widowisk sportowych”, Wydawnictwo Jedność, Kielce 2016; „Duchowa pedagogia miłości”, Wydawnictwo Agape, Poznań 2017 [w druku].

Oprócz tego napisał 80 artykułów naukowych, 7 publikacji recenzowanych, 20 recenzji podręczników i pomocy katechetycznych, jest autorem 60 recenzji, sprawozdań, haseł encyklopedycznych i artykułów popularnonaukowych.

Był promotorem 3 prac doktorskich, 18 magisterskich i 8 prac licencjackich, recenzentem 1 pracy habilitacyjnej, 6 prac doktorskich i 23 prac magisterskich.

2

INDEKS

PUBLICYSTYKA, SZTUKA

Artykuły

Eseje

Wywiady

Felietony

21

str. 108



Prof. Tomasz Szarota i prof. Marcelego Kosman
(fot. Sylwester Koral)

DOKTORATY HONORIS CAUSA UO

BARBARA STANKIEWICZ

TEN DZIEŃ NALEŻAŁ DO HISTORYKÓW

Profesorowie: Tomasz Szarota i Marcelego Kosman kolejnymi doktorami h.c. UO

Tych dwóch historyków łączy nie tylko ten sam rok urodzenia, ale i odwaga w podejmowaniu tematów trudnych. Za tę odwagę właśnie, oraz umiejętne łączenie warsztatu historyka z talentem pisarskim, Senat Uniwersytetu Opolskiego podjął uchwałę o wyróżnienie godnością doktora honoris causa Uniwersytetu Opolskiego profesorów: Tomasza Szaroty i Marcelego Kosmana.

Uroczystość nadania tytułów odbyła się w dniu święta Uniwersytetu Opolskiego, 10 marca br., w Auli Błękitnej Collegium Maius. Na historyczne znaczenie tej daty zwrócił uwagę, jak na historyka przystało, rektor **prof. dr hab. Marek Masnyk**, który rozpoczął uroczystość, przypominając, jaką drogę przeszła uczelnia w Opolu – od narodzin Wyższej Szkoły Pedagogicznej po powołanie, 10 marca 1994 r., Uniwersytetu Opolskiego.

Rektor UO prof. Marek Masnyk: – 4 października 1994r., podczas inauguracji pierwszego roku akademickiego na Uniwersytecie Opolskim, ks. bp Alfons Nossol, wówczas Wielki Kanclerz Wydziału Teologicznego, wypowiedział znamienne słowa: „Pragnę, by teraz więcej wołano w domach śląskich – *jo chca študiować doma!*”. I taka możliwość została stworzona. Dziś na Uniwersytecie Opolskim pracuje ponad 700 pracowników naukowych, w tym 82 profesorów tytularnych (tylko w ubiegłym roku przybyło nam ich pięciu). W najlepszych czasach mieliśmy 17 tys. studentów, dziś, jak wszystkie wyższe uczelnie mamy ich mniej, stąd wynika potrzeba poszerzenia naszej oferty edukacyjnej. I to się dzieje, bo podczas najbliższej inauguracji roku akademickiego przyjmujemy do naszego grona pierwszych studentów kierunku lekarskiego.

Gośćmi honorowymi tej uroczystości byli oczywiście profesorowie: Tomasz Szarota i Marcelego Kosman, którym towarzyszyli recenzenci ich dorobku naukowego: **prof. dr hab. Marek Kornat** z Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie (drugim recenzentem dorobku prof. Tomasza Szaroty był nieobecny na sali **dr hab. Edmund Dmitrow**, prof. Uniwersytetu w Białymstoku) oraz **prof. dr hab. Iwona Hofman** z Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie i **dr hab. Tadeusz Wallas**,

prof. Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Z Poznania przyjechała też liczna grupa pracowników tamtejszego uniwersytetu, na sali obecni byli także rektorzy i prorektorzy opolskich uczelni, instytucji i firm, delegacja Narodowego Instytutu Awiacyjnego w Kijowie, byli rektorzy Uniwersytetu Opolskiego, profesorowie: **Krystyna Czaja**, **Franciszek Marek** i **Józef Musielok**. Nowym doktorom honorowym naszego uniwersytetu towarzyszyła też najbliższa rodzina: **Anna Szarota** z synem **Piotrem** i **prof. Bogumiłą Kosman** z synami – **Cezarym** i **Michałem**.

Po przedstawieniu przez dziekana Wydziału Nauk Społecznych UO **dr hab. Janusza Dorobisza**, **prof. UO**, przebiegu postępowania doktorskiego, laudację na cześć obu doktorów honorowych wygłosił **prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja** (tekst na str. 27), podkreślając w niej, że profesorowie „należą do tej grupy badaczy - historyków, których można nazwać polihistorami, szeroko patrzącymi na historię, badaczy o wielowątkowych zainteresowaniach. Są rówieśnikami. Urodzili się w tym samym roku – 1940. Mają jeszcze jeden wspólny wyróżnik – dużą odwagę cywilną”.

W swojej laudacji profesor Nicieja, jak na historyka biografistę przystało, sporo miejsca poświęcił rodowdom obu bohaterów uroczystości, podkreślając, jak wielki wpływ na kształtowanie się ich osobowości miała najbliższa rodzina. Kolejnym wątkiem łączącym tych dwóch historyków jest odwaga, z jaką podejmowali tzw. trudne tematy. Profesor Szarota – pisząc o problematyce żydowskiej, a więc dotykając tematu bardzo drażliwego w polskim dyskursie narodowym. Cytat z laudacji profesora Nicieji: – Przyjmując jako prawdę niepodważalną, że



Prof. Marcelli Kosman, doktor honoris causa UO, z prof. Iwoną Hofman i rektorem prof. Markiem Masnykiem (fot. Tadeusz Parcej)



Gośćmi uroczystości była m.in. delegacja Narodowego Instytutu Awiacyjnego w Kijowie (fot. Tadeusz Parcej)



Prof. Tomasz Szarota doktorem honoris causa UO. Na zdjęciu (od lewej): dziekan prof. Janusz Dorobisz, rektor prof. Marek Masnyk, prof. Marek Kornat, prof. Tomasz Szarota, prof. Stanisław S. Nicieja (fot. Tadeusz Parcej)

zbrodni w Jedwabnem dokonano polskimi rękami, zakwestionował kilka arbitralnych stwierdzeń Jana Tomasa Grossa [było to po ukazaniu się jego głośnej książki o zbrodni w Jedwabnem pt. *Sąsiedzi* – przyp. red.] i wykazał, że pominął on kilka ważnych źródeł niewygodnych dla głównych tez książki. Krytyczne wypowiedzi Tomasza Szaroty w stosunku do głównych tez książki *Sąsiedzi* i następnych publikacji tego autora pokazują nie tylko warsztat historyczny, rzetelność i głębokie przygotowanie merytoryczne do dyskusji, ale też odwagę cywilną Profesora. Bo należy pamiętać, że w okresie gorących dyskusji nad kontrowersyjną książką Grossa każdy, kto próbował podważyć tezy i daleko idące uproszczenia tego autora, mógł być szybko zaszufładowany przez środowiska żydowskie w Stanach Zjednoczonych, Izraelu i w Polsce jako antysemita.

Odwaga, jak podkreślił laudator, cechuje też twórczość profesora Marcelego Kosmana, autora m.in. trzech pozycji bibliograficznych dotyczących biografii gen. Wojciecha Jaruzelskiego, w tym książki pt. „Wojciech Jaruzelski wobec wyzwań swoich czasów. O kulturze politycznej w Polsce przełomu tysiącleci”, w której podważył

stworzony przez propagandę i prasę czarno-biały obraz polityka, autora stanu wojennego. Cytat z laudacji: „Marceli Kosman, komentując wydanie tej książki, stwierdził w jednym z wywiadów, iż zdecydował się podjąć ten temat, widząc, jak nakręcała się medialna nienawiść i agresja w stosunku do Wojciecha Jaruzelskiego po 1992 roku. W swoich pracach Marcelli Kosman wysoko ocenia znaczenie tego polityka w najnowszej historii Polski, widząc w nim głównie osobę, która w warunkach niemającego w Polsce precedensu gigantycznego konfliktu społecznego, doprowadziła do porozumienia z opozycją, do Okrągłego Stołu, co w Jego odczuciu, uchroniło Polskę przed wojną domową, a w konsekwencji przed interwencją sowiecką”.

Warto dodać, że prof. dr hab. Marcelli Kosman przez wiele lat był związany – głównie faktem współpracy z opolskimi historykami – z naszą uczelnią i samym miastem, o czym opowiadał w trakcie swojego wystąpienia (tekst na str. 40): – Najpierw Opole zbliżyło się do Poznania w latach 1976–1982, kiedy stałem na czele Biblioteki Kórnickiej PAN. Jan Seredyka wszedł z mojej inicjatywy w skład jej Rady Naukowej; on i jego uczniowie byli mile



Prof. Tomasz Szarota, doktor honoris causa UO, ze swoim recenzentem prof. Markiem Kornatem (fot. Tadeusz Parcej)

widzianymi użytkownikami zbiorów na zamku Działyńskich i autorami tekstów w redagowanym przeze mnie „Pamiętniku Biblioteki Kórnickiej”. Z kolei z jego inicjatywy przyjąłem w 1983 roku – gdy już nie pełniłem po dwóch kadencjach funkcji dyrektora tej księżnicy – propozycję przejścia na pierwszy etat do Opola. Tamte lata wspominam z ogromnym sentymentem, mimo uciążliwości dojazdów z Poznania. Poznałem tu znakomitych badaczy, historyków i polonistów, wśród nich Adama Suchońskiego i Stanisława Nicieję.

Refleksjami dotyczącymi zawodu historyka, od tych dotyczących wyboru tematu i sposobu prowadzenia kwerendy po refleksje dotyczące odpowiedzialności za słowo, podzielił się w swoim wystąpieniu (tekst na str. 36) profesor Tomasz Szarota, w konkluzji podkreślając: – Historyk bardzo rozważnie winien podchodzić do otrzymywanych propozycji wypowiedzi w mediach i udziału w publicystycznej debacie publicznej. Podejmując decyzję, musi zdawać sobie sprawę, że może stać

się ofiarą manipulacji i być wykorzystany w politycznych rozgrywkach. Łacińskie powiedzonko *verba volant, scripta manent* w dobie obecnej straciło swój sens. Z drugiej jednak strony, inne, również łacińskie, głoszące „Kto milczy, ten zezwala” dalej obowiązuje. Obowiązuje też nas, historyków – obywateli tego państwa.

Dyplomy doktorów h.c. UO profesorom Tomaszowi Szarocie i Marcelemu Kosmanowi wręczyli: rektor prof. Marek Masnyk, dziekan Wydziału Nauk Społecznych prof. Janusz Dorobisz i promotor, autor laudacji, prof. Stanisław S. Nicieja.

O oprawę muzyczną uroczystości zadbał Akademicki Chór Uniwersytetu Opolskiego „Dramma per Musica” pod dyktando **dr Elżbiety Trylnik**.

DOKTORATY HONORIS CAUSA UO

STANISŁAW S. NICIEJA

POLIHISTORZY Z ROCZNIKA 40.

(laudacja wygłoszona przez prof. Stanisława S. Nicieję podczas uroczystości wręczenia dyplomów doktora honoris causa UO profesorom: Tomaszowi Szarocie i Marcelemu Kosmanowi)

Jest w Polsce kilka tysięcy historyków. Jak w każdym zawodzie, są wśród nich rzemieślnicy i artyści, kaprale i generałowie, przenikliwi i wyjątkowo dociekliwi analitycy, skrupulatni jak księgowi rejestratorzy faktów, ale też znakomici erudyci swobodnie poruszający się po dużych przestrzeniach czasowych, o wielkiej wyobraźni i intuicji historycznej polihistorzy.

Z tysięcy historyków w każdym pokoleniu tylko niewielu (podobnie jak poetów, muzyków, pisarzy czy malarzy) ma szansę być historykami ponadczasowymi, trwale i wyraziście wpisanymi w dzieje historiografii. Aby tak się stało, muszą się wyróżnić oryginalnością swych opracowań, odkryciami, których inni nie potrafili dokonać oraz talentem przy opisywaniu zjawisk.

Doktorzy *honoris causa* Uniwersytetu Opolskiego, na których cześć mam przyjemność, zaszczyt i satysfakcję wygłosić laudację, należą do tej grupy badaczy historyków, których można nazwać polihistorami, szeroko patrzącymi na historię, badaczy o wielowątkowych zainteresowaniach. Są rówieśnikami. Urodzili się w tym samym roku – 1940. Mają jeszcze jeden wspólny wyróżnik – dużą odwagę cywilną.

POKOLENIE ROCZNIK 40.

W historii XX wieku bardzo wyraziście zaznaczyło się pokolenie rocznik 20., nazwane – pod wpływem znakomitej książki Romana Bratnego – pokoleniem Kolumbów. Byli to ludzie, których młodość upłynęła w odrodzonej, niepodległej Rzeczypospolitej. Było to pierwsze pokolenie, które po 123 latach niewoli nie było „okute w powiciu” – jak to określił Adam Mickiewicz w swej wielkiej, wizjonerskiej poezji.

Pokolenie naszych doktorów *honoris causa* – rocznik 1940 – naznaczone zostało, niestety, znów tym mickiewiczowskim określeniem znanym z *Pana Tadeusza*. Ich lata

dziecięce upłynęły w koszmarnych warunkach II wojny światowej. Ale lata młodości, czasy licealne i studenckie, które mają największy wpływ na ukształtowanie zainteresowań i – co za tym idzie – osobowości, upłynęły im w latach odwilży gomułkowskiej, wielkiego powiewu wolności po październiku 1956 roku, kiedy w polskiej polityce, ale głównie kulturze, objawiły się zjawiska fenomenalne, nieznane wcześniej w historii Rzeczypospolitej. Polska kinematografia, dzięki filmom młodych wówczas twórców – Andrzeja Wajdy, Andrzeja Munka, Jerzego Kawalerowicza czy Kazimierza Kutza – sięgnęła pułapu światowego. Podobnie było z polską muzyką – był Tadeusz Baird, Wojciech Kilar, Henryk Górecki, Krzysztof Penderecki. Zaistniały znakomite zjawiska w dziedzinie sztuk plastycznych, szczególnie w plakacie – Franciszek Starowieyski i Waldemar Świerzy. Fenomenem ówczesnych lat była telewizja i było radio, które niosły w sobie wielką misję edukacyjną. Niepowtarzalnym zjawiskiem był Teatr Telewizji ze spektaklami Adama Hanuszkiewicza, Jerzego Antczaka czy Józefa Słotwińskiego.

To wszystko musiało wpłynąć na ukształtowanie osobowości młodych studentów, którzy trafili do znakomitych polskich uniwersytetów: Marceli Kosman do Poznania, pod skrzydła takich indywidualności, jak profesorowie Henryk Łowmiański i Gerard Labuda, a Tomasz Szarota do Warszawy, pod skrzydła profesorów Stefana Kieniewicza i Franciszka Ryszki.

Biografie profesorów Marceliego Kosmana i Tomasza Szaroty są tak bogate faktograficznie, a ich twórczość tak obfita i tematycznie rozległa, iż nie sposób w laudacji – ograniczonej ramami uroczystości – omówić wyczerpująco dorobek tych uczonych i przywołać wszystkie ich życiorysowe wątki.

Skupię się więc na najbardziej charakterystycznych i najważniejszych wątkach ich biografii, korzystając z prawa laudatora do dokonywania subiektywnych wyborów. Zadanie ułatwia mi fakt, że znam osobiście obu

Panów Profesorów, przyjaźnię się z Nimi i od lat śledzę Ich dorobek na bieżąco. Więcej, korzystam z niego w swojej twórczości.

ZNAKOMICI ANTENACI

Rowdowód prof. Tomasza Szaroty i pozycja Jego antenatów w polskiej i europejskiej kulturze humanistycznej może przyprawić o zawrót głowy. Dziadkowie oraz rodzice mają trwałe miejsce w Polskim Słowniku Biograficznym (PSB), tej wielkiej narodowej księdze, do której wpisuje się najwybitniejsze i najbardziej znaczące postaci w historii i kulturze Polski.

Babka Profesora, Eleonora z Kalkowskich (1883–1937), polsko-niemiecka dramatisarcka, poetka oraz pacyfistka, to postać fascynująca. Córka warszawskiego architekta i kurlandzkiej szlachcianki, wcześniej osierocona, wybiła się dzięki swym zdolnościom literacko-lingwistycznym na jedną z najbardziej znanych pisarek w Republice Weimarskiej. Funkcjonowała w środowisku bohemy artystycznej Berlina, w kręgu Stefana Zweiga, przyjaźniła się z wybitną niemiecką rzeźbiarką modernistyczną Milly Steger. W 1934 roku została w Berlinie aresztowana, a następnie ekspulsowana z hitlerowskich Niemiec za sztuki teatralne wymierzone w nazistów. Po osiedleniu we Francji, a później w Anglii, odnosiła sukcesy literackie, tworząc w językach francuskim i angielskim. Zmarła dość niespodziewanie w 1937 roku w Bernie, w Szwajcarii, po nieudanej operacji tarczycy. Przed kilkoma miesiącami ukazał się w Gdańsku tom jej polskich opowiadań pt. *Głód życia* (z roku 1904) w opracowaniu Rosjanki – Anny Dżabaginy.

Mąż Eleonory Kalkowskiej, a dziadek prof. Szaroty, to postać równie fascynująca, o wielobarwnej biografii. Marcelego Szarotę (1876–1951), historyk, dyplomata i publicysta, odegrał ważną rolę w dziejach Polskiej Partii Socjalistycznej, za co był więziony w X Pawilonie Cytadeli Warszawskiej, współpracował z czołową polskich socjalistów walczących o odzyskanie przez Polskę niepodległości, m.in. z Edwardem Abramowskim, Ignacym Daszyńskim, Emilem Haeckerem czy Wilhelmem Feldmanem. Był mistrzem loży masońskiej, doktorem filozofii (tytuł uzyskany na Uniwersytecie w Bernie), legionistą Piłsudskiego i redaktorem ważnych polskich czasopism, m.in. naczelnym „Gazety Lwowskiej”. Przyjaźnił się ze Stanisławem Ignacym Witkiewiczem – Witkacym, był po-

stem w Wiedniu i Kłajpedzie z ramienia polskiego rządu.

Jedyna córka Eleonory i Marcelego Szarotów, późniejsza matka naszego Doktora *honoris causa*, Elida Maria Szarota (1904–1994), urodzona w Paryżu, była wybitną polską germanistką i romanistką. Zostawiła po sobie imponujący dorobek również jako komparatystka, będąc długoletnim profesorem Uniwersytetu Warszawskiego. Studiowała na paryskiej Sorbonie, w uczelniach angielskich, szwajcarskich i niemieckich, a doktoryzowała się na Uniwersytecie we Frankfurcie. W latach 30. XX wieku osiadła w Warszawie, ucząc języków obcych w gimnazjum oraz pisząc pracę habilitacyjną pod kierunkiem prof. Stanisława Wędkiewicza. W grudniu 1938 roku wyszła za mąż za Rafała Marcelego Blütha – historyka literatury polskiej, publicystę i działacza katolickiego. Gdy Warszawę zajęli hitlerowcy, na zamówienie mistrza sceny teatralnej Stefana Jaracza pracowała z mężem nad nowym przekładem dramatu pt. *Josef* („Sprawa Jakubowskiego”), napisanym przez jej matkę – Eleonorę Kalkowską.

Ten fakt stał się powodem wielkiej tragedii rodziny Szarotów i tego, że nasz Doktor *honoris causa* nigdy nie poznał swego ojca, urodził się bowiem po jego śmierci, jako pogrobowiec. Warszawskie mieszkanie rodziców Tomasza Szaroty przy Alejach Ujazdowskich tym się odznaczało, że z jego okna widać było rozległą panoramę na całe Aleje. 5 października 1939 roku miała odbyć się tam defilada „zwycięstwa”, którą odbierać miał Adolf Hitler. Z mieszkania rodziców Tomasza Szaroty był znakomity widok na trybunę honorową. W przeddzień tego wydarzenia niemiecka policja przystąpiła do zabezpieczenia terenu i przeszukiwała pomieszczenia bezpośrednio sąsiadujące z Alejami. Po wtargnięciu do mieszkania Szarotów znaleziono na biurku tłumaczenie dramatu *Josef*, uważanego za utwór antyniemiecki. Przedstawiał on historię Polaka – Józefa Jakubowskiego – na którym w Republice Weimarskiej dokonano mordu sądowego, skazując go w procesie poszlakowym, bez żadnych dowodów, na ścięcie toporem. Gospodarzy mieszkania natychmiast aresztowano. Przesłuchiwano ich przy Alei Szucha. Matkę Tomasza Szaroty zwolniono ze względu na zaawansowaną ciążę, a jej męża – Rafała Marcelego rozstrzelano 13 listopada 1939 roku w Natolinie.

Po urodzeniu Tomasza Jego matka znów trafiła do więzienia. Przeżyła ten areszt głównie dzięki doskonałej znajomości języka niemieckiego. Na Pawiaku wykorzystano jej umiejętności – została tłumaczką komendanta

więzienia. Po odzyskaniu wolności pracowała na tajnych kompletach, a następnie schroniła się z synem u krewnych na podwarszawskiej wsi.

Po wojnie Elida Maria Szarota pracowała w Szkole Głównej Służby Zagranicznej, gdzie uczyła języków francuskiego, angielskiego i niemieckiego, opracowywała podręczniki do nauki języków obcych. Habilitowała się na Uniwersytecie Wilhelma Humboldta w Berlinie, a później – będąc profesorem Uniwersytetu Warszawskiego – osiągnęła wysoką pozycję w polskiej germanistyce. Tłumaczyła na język niemiecki polską literaturę, m.in. *Zegar słoneczny* Jana Parandowskiego. Była dyrektorem Instytutu Germanistyki Uniwersytetu Warszawskiego, otrzymała wiele wyróżnień, m.in. bardzo prestiżową nagrodę imienia Gottfrieda Herdera na Uniwersytecie Wiedeńskim. Jej twórczość była głęboko osadzona w trzech kulturach europejskich – polskiej, niemieckiej i francuskiej. Miłość do kultury niemieckiej (pomimo iż jej męża zabili Niemcy) wpoila swemu jedynakowi.

Ojciec prof. Tomasza Szaroty, Rafał Blüth (1891–1939), był jedną z najbardziej znanych postaci przedwojennej Warszawy. Pisarz, krytyk literacki, rusycysta, mistyk, należał do myślicieli oraz działaczy katolickich skupionych przy Instytucie dla Niewidomych w Laskach pod Warszawą i związanych z pismem „Verbum”. Miał opinię jednego z najwybitniejszych intelektualistów katolickich. Był autorem wnikliwych studiów literaturoznawczych, m.in. o twórczości Adama Mickiewicza i Josepha Conrada. Ale największe sukcesy osiągnął jako rusycysta – znawca twórczości Gogola, Dostojewskiego, Bunina i Szołochowa.

MISTRZOWIE I GŁÓWNE KIERUNKI TWÓRCZOŚCI

Czasy studiów Tomasza Szaroty – jak już wspominałem – przypadły na lata odwilży i destalinizacji Polski (1957–1962). Miało to duży wpływ na kształtowanie się Jego osobowości intelektualnej. Znalazł się wówczas w kręgu znakomitych historyków polskich, m.in. prof. Stefana Kieniewicza (pod którego kierunkiem napisał pracę magisterską z dziejów powstania styczniowego) oraz prof. Tadeusza Manteuffla – dyrektora Instytutu Historii PAN i przyszłego swego teścia.

Pracę doktorską prof. Szarota poświęcił najnowszej historii Polski – osadnictwu miejskiemu na Dolnym Śląsku. Jego książka *Okupowanej Warszawy dzień powszedni* przyniosła Mu wielkie uznanie w kraju, liczne nagrody

(m.in. bardzo prestiżową „Polityki”, której *notabene* był później laureatem jeszcze kilka razy). Uznano ją za pracę habilitacyjną i przyniosła mu docenturę w Instytucie Historii PAN.

W tym samym mniej więcej czasie Tomasz Szarota podjął pracę nad biografią gen. Stefana Grota-Roweckiego – przywódcy Polskiego Państwa Podziemnego. Ukazanie się w 1985 roku biografii komendanta głównego Armii Krajowej w gigantycznym jak na pracę naukową nakładzie 150 tys. egzemplarzy przyniosło Tomaszowi Szarocie popularność nie tylko w środowisku historycznym i uczyniło go postacią dość powszechnie znaną.

Powodzenie książki *Okupowanej Warszawy dzień powszedni* i biografii Grota-Roweckiego nasunęło Tomaszowi Szarocie myśl, którą zrealizował z żelazną konsekwencją. Postanowił pokazać – podobnie jak wcześniej w Warszawie – życie codzienne w stolicach okupowanej Europy. Ta monografia uczyniła Go historykiem, którego dzieła zaczęto tłumaczyć na inne języki.

Kolejny wielki temat, który podjął Tomasz Szarota, wiązał się z problematyką stereotypów narodowych i różnych wyobrażeń społeczeństw europejskich o sobie. Rozwijając ten wątek, dostrzegł i docenił, jak ważną rolę odgrywała w tworzeniu w Europie stereotypów karykatura. Powstała wówczas jedna z najważniejszych Jego książek (przełożona również na język niemiecki) pt. *Niemiecki Michel. Dzieje narodowego symbolu i autostereotypu* (1998).

JEDWABNE I KARUZELA NA PLACU KRASIŃSKICH

Ważną tematyką twórczości prof. Tomasza Szaroty jest problematyka żydowska, zawsze trudna i skomplikowana w dyskursie narodowym w Polsce. Słusznie zauważył swego czasu Kazimierz Wierzyński w jednym z wierszy:

*Nie mów o Polakach i Żydach,
To pole minowe.
Nie wstępuj na pole minowe,
Wylecisz w powietrze.
Tak było, jest i będzie
Dopóki będziemy paść się
Na łące zacietrzewionych osłów.*

Esencją dorobku Tomasza Szaroty w tym zakresie jest jego, wydana w roku 2000, monografia *U progu zagłady*.



Laudację na cześć obu historyków wygłosił prof. Stanisław S. Nicieja (fot. Tadeusz Parcej)



Goście uroczystości w Auli Błękitnej Collegium Maius UO (fot. Tadeusz Parcej)

Zajścia antyżydowskie i pogromy w okupowanej Europie (Warszawa, Paryż, Amsterdam, Antwerpia, Kowno). Książka ta, tłumaczona również na języki – niemiecki, francuski i angielski, ukazała w szerokim planie problem europejskiego antysemityzmu i postaw wobec Holocaustu nie tylko społeczeństwa polskiego, ale także francuskiego, holenderskiego, belgijskiego i litewskiego.

Z tą tematyką wiążą się dwa wyjątkowo ważne wywiady udzielone przez Tomasza Szarotę wysokonakładowym pismom – „Rzeczpospolitej” i „Gazecie Wyborczej”. Przeprowadzili je u schyłku 2000 roku Krzysztof Masłoń i Jacek Żakowski – czołowi polscy publicyści. Odbiły się one szerokim echem, zyskując zadziwiająco rozległy rezonans społeczny. Wywiady wiązały się z wejściem na rynek księgarski w Stanach Zjednoczonych i w Polsce wielce kontrowersyjnej książki Jana Tomasza Grossa *Sąsiedzi. Historia zagłady żydowskiego miasteczka* – o zbrodni dokonanej w Jedwabnem. Ponieważ książka Grossa – z wykształcenia socjologa – napisana emocjonalnym, publicystycznym stylem, dość swobodnie traktowała warsztat historyka (pomijanie niektórych źródeł), a miała ambicje zachowania naukowego obiektywizmu w odniesieniu do tak ważnego tematu, Tomasz Szarota otrzymał karkołomne zadanie. Miał jako zawodowy historyk i znawca tematyki pomóc w zbudowaniu prawdziwego obrazu tego, co stało się w Jedwabnem 10 lipca 1940 roku. Już tytuły tych wywiadów – *Diabelskie szczegóły* („Gazeta Wyborcza”, 18–19 listopada 2000) i *Wstyd domowy* („Rzeczpospolita”, 9–10 grudnia 2000) – wiele mówiły o ich treści.

Prof. Tomasz Szarota, przyjmując jako prawdę niepodważalną, że zbrodni w Jedwabnem dokonano polskimi rękami, zakwestionował kilka arbitralnych stwierdzeń Jana Tomasza Grossa i wykazał, że pominął on kilka ważnych źródeł, niewygodnych dla głównych tez książki. Stwierdził, że problem tkwi w szczegółach.

Pragnę tu jednak wyraźnie podkreślić, że krytyczne wypowiedzi Tomasza Szaroty w stosunku do głównych tez książki *Sąsiedzi* i następnych publikacji tego autora pokazują nie tylko warsztat historyczny, rzetelność i głębokie przygotowanie merytoryczne do dyskusji, ale też odwagę cywilną Profesora. Bo należy pamiętać, że w okresie gorących dyskusji nad kontrowersyjną książką Grossa każdy, kto próbował podważyć tezy i daleko idące uproszczenia tego autora, mógł być szybko zaszufładowany przez środowiska żydowskie w Stanach Zjednoczonych, Izraelu i w Polsce jako antysemita. Krytyczna

ocena prof. Tomasza Szaroty została przyjęta z wielką uwagą i ma trwałe miejsce w polskiej publicystyce.

Jedną z najważniejszych wypowiedzi na ten temat jest wywiad udzielony przez Tomasza Szarotę „Tygodnikowi Powszechnemu”, zatytułowany *Jedwabne bez stereotypów* (2002, nr 17), w którym stwierdził m.in.: „Dla mnie «Sąsiedzi» to ważny esej, zmuszający historyka do podjęcia badań. Gross uważa, że napisał poważne dzieło naukowe, a moim zdaniem nie ma fachowego przygotowania do napisania pracy historycznej, spełniającej wymagania warsztatowe tej dyscypliny. On jest socjologiem i nigdy nie nauczył się warsztatu historyka: poszukiwania źródeł i ich oceny. Tymczasem nasze, to znaczy historyków, zarzuty i uwagi krytyczne odczytuje jako przejaw zakorzenionego w Polakach antysemityzmu”.

W 2002 roku, przy dość powszechnym zachwycie nad książką Grossa, gdy m.in. w niemieckim tygodniku „Stern” uznano *Sąsiadów* za „najlepszą książkę historyczną powstałą w Europie po upadku komunizmu”, trzeba było mieć naprawdę odwagę, żeby tak powiedzieć, a później jeszcze dokładnie wyegzemplifikować, na czym polegały braki w warsztacie Jana Tomasza Grossa, zwłaszcza że autor *Sąsiadów*, wznawiając swoje dzieło, nie przyjmował żadnej krytyki, nie uwzględniał żadnych uwag i nie poszerzał bazy źródłowej.

To jego zaciętrzewienie nie służyło sprawie i w końcu w następnych swoich wypowiedziach zabrnął już tak daleko, iż powiedział, że Polacy w czasie wojny zabili więcej Żydów niż Niemców. I tu dialog z Janem Tomaszem Grosse musiał się skończyć. Chyba że uda mu się udowodnić, iż Polacy pod Monte Cassino, Lenino czy pod Kołobrzegiem nie zabijali Niemców.

Poświęciłem w mej laudacji tej sprawie wyjątkowo dużo uwagi, bo ukazuje ona, jakie znaczenie mają badania i postawa intelektualna prof. Tomasza Szaroty w obliczu wielkiej debaty politycznej, socjologicznej, publicystycznej, psychologicznej, toczzonej przy zainteresowaniu społeczności polskiej, europejskiej i amerykańskiej.

Nie mniej ważne są wypowiedzi Tomasza Szaroty wiążące się z historią powstania i recepcją społeczną słynnego wiersza Czesława Miłosza *Campo di Fiori*, który upowszechnił w szerokiej opinii wizję obojętności ludności polskiej na los Żydów mordowanych w warszawskim getcie. Miłosz w swym wierszu opowiadał, że tuż za murami płonącego getta rozbawieni Polacy kręcili się na karuzeli. Prof. Tomasz Szarota poddał tę sprawę głę-

bokiej naukowej wiwisekcji. W artykule pt. *Karuzela na placu Krasieńskich. Czy śmiały się tłumy wesołe? Spór o postawę warszawiaków wobec powstania w getcie* wprowadził do obiegu naukowego nieznaną wcześniej relację, wypowiedzi świadków, w tym również wyjaśnienie samego Czesława Miłosza. W tym artykule ukazał jak w soczewce, jak można grać uczuciami i manipulować opinią publiczną, jak pamięć ludzka po upływie wielu lat bywa kreatywna i jak łatwo krzywdzić ludzi pomówieniami.

To, co przy tematyce stosunków polsko-żydowskich jest esencją w twórczości naukowej prof. Tomasza Szaroty, to ciągle nawoływanie do umiaru w ocenach, szukanie obiektywizmu, unikanie prymitywnej stereotypizacji i zapobieganie polaryzacji stanowisk. Tu szczególnie cenny jest tom 34 szkiców i studiów dotyczących lat wojny i okupacji pod ogólnym tytułem *Karuzela na placu Krasieńskich*, wydany przez oficynę „Rytm” w 2007 roku.

W zakończeniu artykułu *Karuzela na placu Krasieńskich* prof. Tomasz Szarota zwrócił uwagę na bolesne uproszczenie, jakim posłużył się prezydent Izraela Moshe Katsev w czasie obchodów 60. rocznicy powstania w getcie warszawskim. Izraelski polityk, przemawiając 30 kwietnia 2003 roku w warszawskim Teatrze Narodowym, cytując strofy z wiersza Czesława Miłosza, użył krzywdzących i niesprawiedliwych uogólnień. Jest wielką zasługą prof. Szaroty, iż – jak żaden polski historyk – potrafi z wielkim wyczuciem i kulturą polityczną zauważać i reagować na nieobiektywne i budowane na stereotypach antypolskie wypowiedzi.

Próbując podsumować bardzo esencjalnie poszczególne pola badawcze prof. Tomasza Szaroty, należy stwierdzić, iż: Jego dorobek w poważny sposób poszerzył naszą wiedzę o Polskim Państwie Podziemnym; Profesor podjął się opisanie wielkiego tematu okupacji Europy przez przyzmat losów ludności w stolicach europejskich, a zwłaszcza w Warszawie i Paryżu; wielkim polem badawczym prof. Tomasza Szaroty są studia nad mechanizmem funkcjonowania stereotypów narodowych; ważnym obszarem Jego aktywności są stosunki polsko-żydowskie w czasie II wojny światowej oraz udział w wielkich debatach historyczno-publicystycznych; należy tu podkreślić, iż wypowiedzi Tomasza Szaroty były i są publikowane w czołowych polskich i niemieckich periodykach, m.in. w „Tygodniku Powszechnym”, „Polityce”, „Polska. The Times”, „Schlesisches Wochenblatt” czy „Der Spiegel”.

OBECNOŚĆ W EKSPERCKICH GREMIACH

Mówiąc o rozległej twórczości prof. Tomasza Szaroty, trzeba pamiętać, iż nie jest to historyk gabinetowy, zamknięty w swojej pracowni jak w wieży z kości słoniowej, ale niezwykle aktywny uczestnik i organizator życia dużej społeczności historyków polskich. Od czasów uzyskania profesury zasiada w różnych gremiach eksperckich i opiniotwórczych, jest obecny na ważnych konferencjach i sesjach naukowych z referatami skupiającymi uwagę słuchaczy. Uczestniczy jako juror w różnych konkursach i plebiscytach na najlepsze książki historyczne. Od roku 1996 przewodniczy jury w konkursie na nagrodę historyczną Klio – najlepszą książkę historyczną roku. Jest przewodniczącym jury Nagrody im. Prof. Władysława Pobóg-Malinowskiego za najlepszy debiut naukowy w zakresie historii, członkiem Rady Naukowej Polskiego Słownika Biograficznego. Od trzech kadencji jest członkiem Rady Naukowej Centrum Badań Historycznych PAN w Berlinie. Przez lata był też członkiem Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa. Należy również do kolegium programowo-naukowego Muzeum II Wojny Światowej, tworzonego w Gdańsku.

Od lat uczestniczy też jako recenzent w przewodach doktorskich i kolokwiach habilitacyjnych, wpływając na poziom prac młodych adeptów historii w Polsce. Do Jego uczniów należą m.in. profesorowie: Andrzej Friszke, Edmund Dmitrow czy Edmund Jarosz. W środowisku opolskim prof. Szarota miał udział w wypromowaniu m.in. prof. Edmunda Nowaka i dr. hab. Sebastiana Fikusa.

Prof. Tomasz Szarota wyróżnia się wielką umiejętnością budowania przyjaźni i skupiania ludzi wokół siebie. Emanuje serdecznością. Obdarzony dużym autorytetem, nie ma w sobie nic z groźnego profesora, którego trzeba się bać, toteż garną się do Niego uczniowie i koledzy z cechu zawodowych historyków i publicystów. I umieją być mu wdzięczni. Jednym z pięknych dowodów tej wdzięczności jest poświęcony Mu tom studiów pt. *Niepiękny wiek XX*, wydany pod redakcją prof. Jerzego Eislera (Warszawa 2010).

Prof. Tomasz Szarota jest niewątpliwie człowiekiem sukcesu naukowego, towarzyskiego i rodzinnego. Ten sukces nie miałby właściwego sobie rozmiaru ani klimatu, gdyby nie udane małżeństwo z Anną Manteufflówną – córką wybitnego historyka, Tadeusza Manteuffla, długoletniego dyrektora Instytutu Historii PAN – wierną towarzyszką życia.

Tradycje intelektualne i naukowe w rodzinie Tomasza Szaroty kontynuuje syn Piotr Szarota (rocznik 1966), który jest wybitnym polskim psychologiem, dyrektorem Instytutu Psychologii PAN, autorem wielu ważnych książek psychologicznych, jak choćby: *Psychologia uśmiechu* i *Od skarpetek Tyrmanda do krawata Leppera* oraz studiów o walorach literackich, jak np. *Londyn 1967* czy *Wiedeń 1913* (nominowanych do nagrody „Nike”).

Z KUJAW W SZEROKI ŚWIAT HISTORII

Drugi nasz Doktor *honoris causa*, prof. Marcelego Kosmana, wywodzi się z Kujaw, z ziemi Jana Kasprowicza, Stanisława Przybyszewskiego i jednego z najwybitniejszych polskich eseistów Włodzimierza Paźniewskiego. Kolebką rodziny Kosmanów jest Izbica Kujawska, gdzie Jego przodkowie z dziada pradziada trudnili się rzemiosłem. Jego dziadek Stefan (1880–1957) był rymarzem, a ojciec Leonard (1910–1997) prowadził zakład rzemieślniczy, w którym szył czapki.

Urodzony w 1940 roku Marcelego Kosmana jest starszym bratem Janiny (rocznik 1943) – nauczycielki historii – i Romualdy (rocznik 1948) – bibliotekarki i romanistki. Od lat chłopięcych był stałym klientem małej księgarenki w swojej Izbicy, a później – gdy brakowało tam nowości księgarskich większego kalibru – odwiedzał dobrze zaopatrzone w literaturę również naukową księgarnie w pobliskim Włocławku i Kole.

W Izbicy Kujawskiej ukończył szkołę podstawową oraz średnią. Największy wpływ na Jego osobowość wywarł wówczas nauczyciel języka łacińskiego, a zarazem dyrektor Liceum Ogólnokształcącego – Henryk Wysłouch, wywodzący się z Wileńszczyzny, krewny znakomitego uczonego Seweryna Wysłoucha. Ciekawość świata i wczesne wejście w świat książek miało wpływ na szybką emancypację pochodzącego z kujawskiej rodziny rzemieślniczej chłopca. W siedemnastym roku życia otrzymał świadectwo maturalne, gdy miał 21 lat ukończył studia historyczne. W wieku 31 lat był już po habilitacji, a profesurę belwederską uzyskał w 40. roku życia. Była to jedna z najszybszych karier naukowych w polskiej humanistyce. Tu zachodzi zresztą podobieństwo do kariery naukowej Tomasza Szaroty, drugiego Doktora *honoris causa* naszej Uczelni.

IMPONUJĄCO SZYBKIE AWANSE

Na miejsce studiów Marcelego Kosmana wybrał wojewódzki swego czasu dla części Kujaw Poznań i Uniwersytet im. Adama Mickiewicza, gdzie w wieku 21 lat uzyskał magisterium z historii, a trzy lata później drugie magisterium – z pedagogiki. W wieku 26 lat był już doktorem. Uważa się za ucznia dwóch bodaj najwybitniejszych poznańskich historyków: Gerarda Labudy – pod którego kierunkiem napisał pracę magisterską i prof. Henryka Łowmiańskiego – pod którego kierunkiem napisał pracę doktorską.

Zadziwiająco jest wspomniane wyżej szybkie tempo osiągnięcia przez prof. Marcelego Kosmana samodzielności naukowej, bo nie miał On tuż po zakończeniu studiów etatu naukowego na żadnej z polskich uczelni. Nie otrzymał żadnego stypendium naukowego, a w latach 1961–1968 pracował jako nauczyciel języków polskiego i łacińskiego oraz nauki o społeczeństwie w Liceum Ogólnokształcącym w rodzinnej Izbicy Kujawskiej. Pierwsze swoje prace naukowe pisał w czasie wolnym i podczas urlopów. Awans na stopień doktorski zaowocował tym, że został dyrektorem w swoim liceum, co tylko przysporzyło Mu obowiązków administracyjnych.

W 1976 r. (w pięć lat po habilitacji) został dyrektorem Biblioteki Kórnickiej PAN, jednej z najważniejszych księżnic polskich, porównywanej z wrocławskim Ossolineum, krakowską Jagiellonką czy poznańską Biblioteką Raczyńskich. 36-letni wówczas Marcelego Kosman objął dyrekcję w instytucji stworzonej przez rodzinę Działyńskich, w momencie krytycznym dla tej instytucji, zastając personel niezwykle skonfliktowany. Jego łagodna osobowość, zdolności koncyliacyjne i wyrozumiałość spowodowały, że opanował sytuację i stworzył w Bibliotece Kórnickiej warunki do owocnej pracy. Kierował Biblioteką Kórnicką ponad 6 lat i to był jeden z najciekawszych, najbardziej twórczych i najszcześniejszych okresów w Jego życiu. Tryskał zdrowiem, entuzjazmem, imponował wielką pracowitością, czego efektem były liczne publikacje.

Sprzyjało temu bardzo udane małżeństwo z polonistką – Bogumiłą Lenarczykówną, rówieśnicą, absolwentką Uniwersytetu Łódzkiego, którą poznał w lipcu 1965 roku na dworcu w Warszawie. Wspólnie jechali na tygodniową wycieczkę do Berlina i Poczdamu. Po powrocie byli już nierozłączną parą. Jeszcze w tym samym roku pobrali się, a wkrótce urodził się Ich pierwszy syn Cezary (rocznik 1966), a sześć lat później Michał, obecny profesor politologii na Uniwersytecie Kazimierza Wielkiego

w Bydgoszczy. Bogumiła Kosmanowa, od pięćdziesięciu lat towarzyszka życia prof. Marcelego Kosmana, jest również profesorem o dużym dorobku polonistyczno-historycznym, autorką książek i wnikliwych studiów nad twórczością Józefa Ignacego Kraszewskiego oraz nad dziejami bibliotek wielkopolskich. Niekiedy publikuje wspólnie z mężem. Jest to małżeństwo wzorcowe, o profesorskim dorobku, wspólnych pasjach oraz zainteresowaniach naukowych.

GLÓWNE WĄTKI TWÓRCZOŚCI

Dorobek naukowy prof. Marcelego Kosmana jest tak rozległy, że trudno go ogarnąć, bo liczy w sumie ok. 1700 pozycji bibliograficznych, w tym 60 książek.

Imponująco wielowątkowa twórczość prof. Marcelego Kosmana zamyka się w czterech głównych kręgach tematycznych.

Pierwszy obejmuje historię Litwy i Białorusi, i to od zarania dziejów do czasów współczesnych. Władysława Jagiełły i królowej Bony. Niezmiernie interesujące są także dwa tomy Jego studiów i szkiców z dziejów polskiej granicy wschodniej pt. *Na Kresach w historii i legendzie*, wydanych przez oficynę Uniwersytetu Poznańskiego w latach 2011–2014. Jest w tym oryginalnym i pasjonującym zbiorze wiele znakomych artykułów i recenzji literackich,

Drugi wielki obszar badawczy prof. Marcelego Kosmana to stosunki wyznaniowe w Polsce i na Litwie oraz historia Kościoła na Kresach.

Trzeci duży obszar twórczości dotyczy historii Wielkopolski i wiąże się z czasami, gdy Marcelego Kosmana był dyrektorem Biblioteki Kórnickiej.

Czwarty obszar badawczy prof. Marcelego Kosmana wiąże się z Jego fascynacją twórczością Henryka Sienkiewicza. Na tym polu uczonego osiągnął szczególną popularność. Wykazał się oryginalnym talentem popularyzatorskim i literackim, stając się wybitnym sienkiewiczologiem mającym ogromne zasługi w popularyzowaniu twórczości polskiego noblisty.

Marceli Kosman wielokrotnie w swych wywiadach prasowych i radiowych podkreślał, iż właśnie od Sienkiewicza uczył się kultury i finezji języka. Czytał jego powieści od lat chłopięcych. Umiejętność opowiadania i dramatyzowania przez autora *Trylogii* fabuły była wzorcem dla młodego historyka. Dzięki jego dziełom poznał

wdzięk i powab polszczyzny. Stał się też historykiem, który stroni od tak częstego w cechu zawodowych historyków nudziarstwa. Stara się podejmować wysiłek pisarski tak, aby czytelnik miał łatwość zrozumienia nawet najtrudniejszych zagadnień. Książki Marcelego Kosmana czyta się z przyjemnością, czerpiąc z nich równocześnie pożytek intelektualny. Jest w nich dramaturgia i potoczność wypowiedzi, a jednocześnie widoczna dążność do maksymalnej jasności, lapidarności i perfekcji. Wiąże się to z talentem pisarskim i umiejętnością posługiwania się metaforą. Ten walor ujawnia się szczególnie w Jego pracach poświęconych rozważaniom nad prawdą historyczną, legendą i mitem w dziełach Sienkiewicza. W tym zakresie Kosman ma ogromny dorobek, bo Jego książki, takie jak *Na tropach bohaterów Trylogii* (sześć wydań) czy *„Ogniem i mieczem” – prawda i legenda* (trzy wydania), *Na tropach bohaterów „Krzyżaków”* (dwa wydania) czy *Na tropach bohaterów „Quo vadis”*, są ciągle wznawiane.

Wśród licznych publikacji prof. Marcelego Kosmana na temat twórczości Sienkiewicza wyróżnia się antologia pt. *Sienkiewicz i polityka* (Poznań 2016). Ta imponująca erudycją książka potwierdza w zasadzie tezę Adama Wiercińskiego, że tacy historycy, jak Władysław Czapliński, Adam Kersten, Jarema Maciszewski, Janusz Tazbir, Janusz Pajewski, Władysław Serczyk i właśnie Marcelego Kosman głębiej rozumieją autora *Trylogii* niż częstokroć utytułowani poloniści i potrafią oddać mu sprawiedliwość.

Sienkiewicz miał zawsze krytyków i spotykały go – co wydaje się zrozumiałe – niechętnie mu wypowiedzi ze strony innych pisarzy, czyli konkurentów, jak choćby Bolesława Prusa, Elizy Orzeszkowej, Witolda Gombrowicza czy Czesława Miłosza. Poloniści i publicyści kierowali i kierują pod jego adresem częstokroć absurdalne zarzuty. Do tego grona dołączył ostatnio profesor Uniwersytetu Gdańskiego Stefan Chwin – historyk literatury, pisarz i eseista. Stwierdził on, że Sienkiewicz „zatrul naszą patriotyczną wyobraźnię na całe dziesięciolecie” („Nowa Trybuna Opolska” 2016, nr 206). Gdyby prof. Chwin wczynał się głębiej w twórczość Sienkiewicza i uzupełnił swą wiedzę znajomością studiów Marcelego Kosmana, nie ośmieszałby się taką supozycją. Absurdalność wypowiedzi Stefana Chwina świetnie spuentował – po wywodzie opartym na analizie tekstów Sienkiewicza – Adam Wierciński, pisząc: „Kończ... waść!... Wstydu... oszczędź!...” („Indeks” 2016, nr 7/8). A argumentów na taką puentę można znaleźć bez liku w studiach prof. Kosmana. Są

one potrzebne i ciągle aktualne, zwłaszcza gdy po raz kolejny próbuje się nicować historię Polski – obecnie od strony poprawności politycznej, czyli nowej cenzury. Drażni niektórych słowo „Murzyn”, bo poprawnie ma być Afrykanin albo Afroamerykanin, więc do kosza *W Pustyni i w puszczy*, innym sen z powiek spędza słowo „czerni”, a więc wyrzucić *Ogniem i mieczem* z listy lektur. Jest jedno antidotum na takie pomysły – czytać studia sienkiewiczowskie Kosmana.

ROMANS Z POLITOLOGIA

Marceli Kosman, będąc polihistorem, nie stronił też od historii najnowszej i zagadnień politologicznych. W tym zakresie bardzo znaczące są trzy Jego pozycje bibliograficzne poświęcone biografii gen. Wojciecha Jaruzelskiego, a zwłaszcza książka pt. *Wojciech Jaruzelski wobec wyzwań swoich czasów. O kulturze politycznej w Polsce przełomu tysiącleci*, która ukazała się w sierpniu 2003 roku i była oryginalną próbą podważenia stworzonego przez propagandę i prasę czarno-białego obrazu polityka, który wprowadził w Polsce stan wojenny.

Marceli Kosman, komentując wydanie tej książki, stwierdził w jednym z wywiadów, iż zdecydował się podjąć ten temat, widząc, jak nakreślała się medialna nienawiść i agresja w stosunku do Wojciecha Jaruzelskiego po 1992 roku. W swoich pracach Marcelego Kosmana wysoko ocenia znaczenie tego polityka w najnowszej historii Polski, widząc w nim głównie osobę, która w warunkach niemającego w Polsce precedensu gigantycznego konfliktu społecznego doprowadziła do porozumienia z opozycją, do Okrągłego Stołu, co – w Jego odczuciu, uchroniło Polskę przed wojną domową, a w konsekwencji przed interwencją sowiecką. Mając takie przekonanie, uznał, iż w warunkach ostrego propagandowego niszczenia Jaruzelskiego i jego osamotnienia, należy podjąć próbę napisania w racjonalny sposób jego biografii. Niewątpliwie Marcelego Kosmana wykazał tutaj dużą odwagę cywilną, bo wśród polskich historyków i politologów taka postawa była i nadal jest rzadkością. O Jego odwadze cywilnej świadczy fakt, iż miał świadomość, że za węgłem czają się publicyści o ambicjach historyczno-literackich w rodzaju Piotra Semki, Rafała Ziemkiewicza czy Marcina Wolskiego, a na zapleczu byli i są jeszcze groźniejsi, jak Bronisław Wildstein (sławetny lustrator psa Szarika i Hansa Klossa), Sławomir Cenckiewicz czy Krzysztof Wyszkow-

ski, dla których powiedzieć cokolwiek dobrego o historii PRL graniczy z grzechem śmiertelnym.

Od roku 1974 prof. Marcelego Kosmana jest członkiem Związku Literatów Polskich. To stosunkowo rzadki przypadek, aby zawodowy historyk miał status literata. A warto zwrócić uwagę, że prof. Marcelego Kosmana stał się członkiem ZLP w latach prezesury Jarosława Iwaszkiewicza, kiedy przynależność do cechu zawodowych literatów była autentycznym wyróżnieniem i nobilitacją.

KONKLUZJA

Droga życiowa profesorów Tomasza Szaroty i Marcelego Kosmana to wyrazisty przykład dziejów przedstawicieli inteligencji polskiej, warstwy tak typowej dla stosunków w naszym kraju w XIX i XX wieku. Etos inteligencji polskiej jest europejskim ewenementem. Niewątpliwą zaletą i wyróżnikiem obu dzisiejszych Doktorów *honoris causa* jest ich ciągła obecność od ponad czterdziestu lat na łamach ważnych polskich periodyków naukowych. Jest to cecha intelektualistów i uczonych, którzy są baczni obserwatorami sceny politycznej i reagują jak barometr na wszelkie pozytywne i negatywne zjawiska w życiu społecznym. Uczestniczą w ciągłym dialogu intelektualnym i wymianie myśli. Jeśli trzeba, to wspierają dane zjawisko polityczne bądź kulturowe, a jeśli sytuacja tego wymaga, to je zwalczają – czasem wywiadem prasowym, innym razem repliką bądź polemiką w dyskusji naukowej. Nigdy nie są obojętni.

Za twórczość naukową oraz za działalność społeczną, za jej wielki ładunek edukacyjny i moralny, emanujący z niej humanizm i patriotyzm – jesteśmy profesorom Tomaszowi Szarocie i Marcelego Kosmanowi jako społeczności uniwersyteckiej wdzięczni. Przyznając im najwyższe uniwersyteckie wyróżnienie – doktoraty *honoris causa* – dajemy wyraz temu, że takie wartości cenimy sobie najbardziej, że są dla nas wzorcem i pragniemy je propagować oraz zwracać na nie uwagę.



Prof. Tomasz Szarota: – Cieszę się, że jestem wśród Państwa! (fot. Tadeusz Parcej)

DOKTORATY HONORIS CAUSA UO

ZAWÓD – HISTORYK. REFLEKSJE PROFESJONALISTY

(wystąpienie prof. Tomasza Szaroty, doktora honoris causa Uniwersytetu Opolskiego)

To właśnie przypadek zdecydował o powstaniu dwóch książek, z którymi chyba najczęściej kojarzone jest moje nazwisko. Pomysł napisania raczej eseju niż naukowego opracowania na temat życia codziennego w Polsce pod okupacją niemiecką bynajmniej nie powstał w mojej głowie. To mój kolega Jerzy Borejsza, organizator popularnonaukowej serii „Omega”, zaproponował mi w niej udział. W rezultacie powstało obszerne dzieło naukowe, nienadające się do tej serii, ograniczone zresztą do okupowanej Warszawy. Nie muszę dodawać, że u progu lat 70. podejmowanie tematu życia codziennego pod okupacją sowiecką było czymś niewyobrażalnym. Moja książka, po proteście PIW-u, który wydawał serię książek o „życiu codziennym”, musiała mieć w tytule „dzień powszedni”. Doczekała się czterech wydań i edycji niemieckiej.

Autorem biografii dowódcy AK także stałem się dość przypadkowo. Kierownik Redakcji Varsavianów PWN, gdzie pracowała moja żona, wpadł na pomysł wydawania serii pod nazwą „Sylwetki Warszawskie”. Mnie poprosił o sporządzenie listy postaci zasługujących na takie wyróżnienie. Na mojej liście znalazł się także gen. Stefan Rowecki „Grot”, ale bynajmniej nie zamierzałem pisać jego biografii. Taką propozycję odrzucili jednak moi koledzy z Instytutu Historii PAN, zatrudnieni w Pracowni Dziejów II Wojny Światowej. Ja ją przyjąłem i zacząłem zbierać materiały. Umowę ze mną PWN podpisało dopiero w niezapomnianym roku 1981. W połowie stycznia 1982 roku dostarczyłem maszynopis. Był już stan wojenny, zważywszy, że pisałem biografię stuprocentowego antykomunisty bez jakiegokolwiek autocenzury, nie spodziewałem się, że doczeka się druku. Tymczasem wyda-

no ją w PRL-u dwukrotnie – łączny nakład wynosił 150 tys. egzemplarzy!

Baza źródłowa – zachęta do uprawiania „wizualnej historii”

Nie zauważyłem, by spolszczoną wersją wymyślonego poza naszym krajem terminu *Visual History* ktokolwiek w Polsce się posługiwał. Wydaje mi się zresztą, że jeśli nawet historyk w swych badaniach wykorzystuje np. fotografię, plakat, ulotkę, winięty prasowego tytułu, okładkę książki, znaczki pocztowe, kadr filmu dokumentalnego, karykaturę – to w ogóle nie zdaje sobie sprawy z uprawiania „wizualnej historii”. Tak jak molierowski Pan Jourdain nie wiedział, że mówi prozą.

W Niemczech orędownikiem tego – według mnie zupełnie nowego – kierunku badań historycznych jest profesor Uniwersytetu we Flensburgu Gerhard Paul. W latach 2008–2009 wydał on olbrzymie dwutomowe dzieło (przeszło 1600 stron w dużym formacie) zatytułowane *Das Jahrhundert der Bilder*. Bogato ilustrowany *Bildatlas* obejmuje dzieje Niemiec w XX stuleciu.

Moje zainteresowanie karykaturą jako źródłem historycznym wiązało się z realizacją przedsięwzięcia naukowego, dotyczącego obrazu Polski i Polaka w Niemczech w XIX i XX wieku. Po prostu doszedłem do wniosku, że zbieranie materiałów należy rozpocząć od przejrzenia niemieckich czasopism satyrycznych, takich jak berliński „Kladderadatsch” czy monachijski „Simplicissimus”. W rezultacie powstało studium *Polak w karykaturze niemieckiej (1914–1944). Przyczynek do badania stereotypów narodowych*. Potem karykatura stała się dla mnie bardzo ważnym przekazem źródłowym przy pisaniu książki o dziejach symbolicznej postaci „niemieckiego Michela”. Mam też na swym koncie drobne przyczynki, o Piłsudskim i Gdańsku w karykaturze niemieckiej. Żałuję, że nie istnieje polska wersja mego artykułu o sposobie ukazowania przez karykaturzystów niemieckich w okresie międzywojennym Marianny jako dziwki i towarzyszącego jej Polaka-sutenera.

Pożytek z komparatystyki

Jestem o tym głęboko przekonany, że gdybyśmy jako historycy częściej prowadzili badania porównawcze, to ich wyniki pomogłyby nam Polakom wyleczyć się zarówno z naszych kompleksów niższości, jak i z naszej megalomanii.

Jako członek Kolegium Programowego tworzonego w Gdańsku od ośmiu lat Muzeum II Wojny Światowej w sporządzonej ekspertyzie postulowałem, by pokazać, że nie tylko myśmy wówczas cierpieli. Nie sądzę, by wielu Polaków wiedziało, że na chorobę głodową umierali nie tylko Żydzi w warszawskim getcie, ale także mieszkańcy Aten podczas srogiej zimy 1941/42, a mieszkańcy Amsterdamu i Rotterdamu w pierwszych miesiącach roku 1945.

Paryż pod niemiecką okupacją kojarzy się, nie tylko zresztą nam Polakom, przede wszystkim z kolaboracją. Liczne poświęcone temu zjawisku publikacje historyków francuskich i brytyjskich utwierdzają nas tylko w trafności takiego spojrzenia i oceny. Moja wielomiesięczna kwerenda w paryskich archiwach, m.in. także w Archives de la Préfecture de Police, pozwala na weryfikację tego jakże uproszczonego obrazu. Zakłada się przy tym niesłusznie, że polityka władz okupacyjnych wobec Francuzów była identyczna w roku 1940 i w latach 1943–1944, nie dostrzega się także narastania nienawiści okupowanych wobec najeźdźcy. Proszę mi wierzyć, że na podstawie dokumentacji, jaką dysponuję, byłbym w stanie napisać książkę o Paryżu walczącym – dzieła zmarłego w 2004 roku Tomasza Strzembosza.

O edycji źródeł historycznych

Każdy z nas historyków, który tym się kiedyś parał, wie doskonale, że trud tu włożony rzadko jest należycie doceniony przez nasze naukowe środowisko. Szczercze mówiąc, napisanie monografii bardziej się po prostu oplaca. Nagrodą dla edytora źródła jest często jedynie satysfakcja jego wprowadzenia nie tylko do naukowego, ale i czytelniczego obiegu. Zdarza się jednak, co przyjemne nie jest, że korzystający później z udostępnionego dzięki naszej pracy przekazu, w ogóle pomija nazwisko tego, kto ów przekaz „do druku podał, wstępem i przypisami opatrzył”.

Tak się składa, że kilkakrotnie zajmowałem się edycją materiałów o charakterze pamiętnikarskim. W latach 1967–1971 wspólnie z nieżyjącą już dziś Krystyną Kerstenową opublikowaliśmy cztery tomy *Wsi polskiej 1939–1948*, czyli wydaliśmy plon konkursu pamiętnikarskiego, zorganizowanego przez Spółdzielnię Wydawniczą „Czytelnik”. Do dziś służy ta edycja badaczom. Z mojej inicjatywy doszło do reedycji dwu reportaży polskich dziennikarzy o początkach Trzeciej Rzeszy,



Senatorowie Uniwersytetu Opolskiego (fot. Tadeusz Parcej)

czyli wydanych wówczas książek Antoniego Sobańskiego i Zygmunta Nowakowskiego – dziś są to już źródła historyczne. Dwukrotnie udało mi się ustalić autorstwo tekstów opublikowanych pod pseudonimem, a przy okazji zrekonstruować życiorys autora. W pierwszym wypadku był nim Szwajcar Franz Mawick, szofer przebywającej w Polsce w 1942 roku misji Czerwonego Krzyża. Swoją relację o pobycie w Warszawie wydał w Zurichu w 1945 roku jako Franz Blättler. Z kolei w Paryżu w 1940 roku ukazał się *Journal d'un défenseur de Varsovie*, zawierający zapiski z września 1939 roku. Na okładce jako autor figuruje Commandant Sowinski. Choć trudno w to uwierzyć, „odnaleziony” przeze mnie twórca zapisków, mjr Zdzisław Żórawski, okazał się stryjem mego kolegi ze studiów Michała Żórawskiego.

O cenzurze, autocenzurze i odpowiedzialności za słowo

Pomimo upływu jakże wielu lat świetnie pamiętam moją wielogodziną rozmowę w siedzibie cenzury na ul. Mysiej 2 marca 1968 roku. Zostałem tam zaproszony, by przedyskutować kilkadziesiąt ingerencji poczynionych w tekście mej pracy doktorskiej. Zważywszy, że była to dysertacja o osadnictwie miejskim na Dolnym Śląsku w latach 1945–1948, poruszałem w niej problem stosunków władz polskich z radzieckimi komendanturami wojskowymi, pisałem o wysiedlaniu ludności niemieckiej i tworzonym osiedlu żydowskim, a na dodatek praca powstawała bez autocenzury. Owych licznych ingerencji mogłem się więc spodziewać. Pamiętam, że jedna z nich szczególnie mnie zaskoczyła. Otóż cenzor domagał się ode mnie, bezpartyjnego, bym usunął z tekstu Edwarda Ochaba, wówczas przewodniczącego Rady Państwa! Bez zbytniego oporu spełniłem jego życzenie. Wspomniałem

już, że także bez autocenzury powstawała moja biografia gen. „Grotą”. Oczywiście, spodziewałem się, że cenzura na wydanie tej książki nie zezwoli. Wielkim dla mnie zaskoczeniem było zaledwie kilka ingerencji, większość dotyczyła aluzji do sytuacji bezpartyjności przedwojennej kadry oficerskiej, zestawianej z funkcją w PZPR, pełnioną przez gen. Wojciecha Jaruzelskiego. Autocenzurę zastosowałem jednak w mej książce *Okupowanej Warszawy dzień powszedni* – dopiero w czwartym jej wydaniu opisałem reakcję warszawiaków wiosną 1943 roku na podaną przez Niemców wiadomość o zbrodni katyńskiej.

Czy autocenzura w pracy historyka powinna istnieć także dziś, gdy zniknęła cenzura państwowa? Moim zdaniem nie należy z niej rezygnować wówczas, gdy przekazujemy informacje nie w pełni wiarygodne, podważające dobre imię i godność jakiegoś człowieka. Problemem dyskusyjnym jest uwzględnianie skutków naszej publikacji, które mogą być sprzeczne z polską racją stanu, potwierdzając funkcjonujące o nas w świecie negatywne stereotypy.

Historyk bardzo rozważnie winien podchodzić do otrzymywanych propozycji wypowiedzi w mediach i udziału w publicystycznej debacie publicznej. Podejmując decyzję, musi zdawać sobie sprawę, że może stać się ofiarą manipulacji i być wykorzystany w politycznych rozgrywkach. Łacińskie powiedzonko *verba volant, scripta manent* w dobie obecnej straciło swój sens. Z drugiej jednak strony, inne, również łacińskie, głoszące „Kto milczy, ten zezwala” dalej obowiązuje. Obowiązuje też nas historyków – obywateli tego państwa.

Historyk czasów najnowszych – szczęściarzem

Nasze szczęście polega na tym, że możemy nawiązać kontakt ze świadkami wydarzeń – rozmawiać z nimi, zbierać ich relacje – albo przynajmniej z członkami ich rodzin czy osobami ich znającymi. Szczęście polega też na możliwości poznania wybitnych postaci. Miałem to szczęście, że z kilkoma Polakami z narodowego panteonu los mnie zetknął. Byli wśród nich Jan Karski, Irena Sendlerowa, Józef Rybicki, Władysław Bartoszewski, Tadeusz Żenczykowski, Tadeusz Manteuffel, Aleksander Gieysztor czy Bronisław Geremek.

Opowiem tu tylko o moich dwóch spotkaniach z Janem Nowakiem-Jeziorańskim. Pierwsze odbyło się w paryskiej księgarni „Libella”, na wyspie św. Ludwika. Kurier z Warszawy podpisywał tam egzemplarze francuskiej

edycji swych wspomnień. Przedstawił mnie Józef Handelsman, syn Marcelego, jako autora właśnie opublikowanej biografii „Grotą”. Pan Jan uściśnął mi dłoń, mówiąc: „Wiedziałem, że w Polsce można napisać uczciwą książkę, nie miałem jednak pojęcia, że można ją także wydać!”. Po raz drugi spotkaliśmy się w Warszawie, w IPN-ie podczas jednej z dyskusji na temat Jedwabnego. Podszedłem do niego, przekazałem numer telefonu Elżbiety Prądkońskiej-Zboińskiej, łączniczki gen. Roweckiego, prosząc, by do Eli zadzwonił. Zaskoczony, ale z wielką radością zawołał: „To Ela żyje?! Oczywiście jeszcze dziś się do niej odezwę, jakże się cieszę!”. Ona z tego telefonu także bardzo się ucieszyła.

A ja się cieszę, że jestem wśród Państwa!



Prof. Marcelego Kosman (fot. Tadeusz Parcej)

DOKTORATY HONORIS CAUSA UO

MIĘDZY POZNANIEM I OPOLEM

(wystąpienie prof. Marcelego Kosmana, doktora honoris causa Uniwersytetu Opolskiego)

Z głębokim wzruszeniem uczestniczę w dzisiejszej uroczystości, co ma szczególne uzasadnienie w wieloletnich moich związkach z opolską Alma Mater. Swoje wystąpienie podzieliłem na dwie części: 1) autorefleksje historyka, 2) moje Opole. Obie tworzą całość, jako że ogniskują się wokół mojej drogi życiowej badacza i nauczyciela akademickiego. Będą nawiązywać do laudacji Pana Rektora Profesora Stanisława Sławomira Niciej, a także do opinii o moim dorobku przygotowanych przez Panią Dziekan Prof. Iwonę Hofman (Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie) oraz Pana Prof. Tadeusza Wallasa (prorektor Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu). Spojrzałem też na poświęcone mi teksty, opublikowane przy okazji jubileuszy 60., 65. i 70. rocznicy urodzin, zwłaszcza na otwierające pierwszą księgę pamiątkową eseje pióra prof. Jana Seredyki (*Droga historyka ku współ-*

czesności) i doc. Jana Załubskiego (*Słowo o jubileacie*). Wiele uwagi poświęcił mi prof. Andrzej Chodubski z Uniwersytetu Gdańskiego w dwóch studiach: „*De litteris meritis*” Profesora Marcelego Kosmana oraz *O politologicznym nurcie zainteresowań...* Nie zabrakło też spojrzenia na czasy dyrektorowania kórnicką księżniczą Działyńskich, zaś znakomity czeski historyk, profesor Jaroslav Pánek, doktor honoris causa Uniwersytetu Opolskiego, zwrócił uwagę na miejsce Henryka Sienkiewicza w rozwoju mojego warsztatu twórczego w posłowie do wydanej przez wydawnictwo Karolinum książki *Dějiny Polska* (Praha 2011).

Na kilkadziesiąt artykułów zamieszczonych w księdze *Przez Kresy i historię...* dwa zwracają uwagę czarną obwódką przy nazwiskach ich autorów. Jan Seredyka nadesłał swój tekst (*Inwentarze majątku ruchomego Krzysztofa Dorohostajskiego marszałka wielkiego litewskiego*) na po-

czątku 2008 roku, przewidując, że ze względu na stan swego zdrowia nie doczeka mego jubileuszu (dzieło ukazało się rzeczywiście trzy lata później, a wielkiego badacza XVII wieku pożegnaliśmy na opolskim cmentarzu w sierpniu wspomnianego tu roku). Dla Gerarda Labudy zaś artykuł *Udział Marcelego Kosmana w tworzeniu syntezy historii dziejów Polski i krajów sąsiednich* okazał się ostatnim tekstem naukowym w przebogatym dorobku – ukończony na dwa tygodnie przed śmiercią, na wysłużonej maszynie do pisania, z ręcznymi poprawkami, został jeszcze przekazany do przepisania na komputerze. Oryginały przechowuję jako cenną relikwię w moim domowym archiwum.

Gerard Labuda, polihistor, pod którego kierunkiem na seminanium magisterskim rozpoczynałem pracę naukową, w ostatniej swej książce historiograficznej umieścił mnie wśród 26 autorów syntez historii Polski, egzemplifikując uwagi ogólne około 20 tytułami monografii, które podzielił na trzy grupy: popularnonaukowe, ale oparte na gruntownych badaniach, ściśle naukowe oraz politologiczne. Na temat dwutomowej *Polski w drugim tysiącleciu* (Toruń 2007) napisał, że autor przygotowywał się do jej napisania „przez 44 lata twórczej działalności badawczej i dziejopisarskiej średniowiecznej i nowożytnej aż do samych wrót współczesności, ze szczególną preferencją dla dziejów Białorusi i Litwy, lecz także Prus i Pomorza, w dużym stopniu także Czech. O erudycji autora świadczy wszechstronne zestawienie przedmiotowej literatury w obu tomach. Brak tej syntezy tylko jednego: aparatu źródłowego i historiograficznego, w które wyposażył swoją Michał Bobrzyński w drugim wydaniu. Jest jeszcze czas na takie dopełnienie, albowiem dzieło jest godne przysłowia: *Finis coronat opus*”.

Pamiętam o tej wskazówce, a także o postulatach innych badaczy, by syntezę zamkniętą na roku 1980 uzupełnić obrazem dziejów najnowszych z ostatniego trzydziestolecia. Czy los na to pozwoli?

Punkt wyjścia do dokonywanej tu próby autooceny wymaga cofnięcia się pamięcią o siedem dziesięcioleci, kiedy rozpoczynając szkolną edukację, umiałem już czytać i pisać, miałem za sobą już pierwsze lektury i stawałem się aktywnym czytelnikiem książek, pośród których dominowała w szkole podstawowej tematyka podróznico-przygodowa i historyczna – ta najpierw poprzez powieści, które początkowo traktowałem bezkrytycznie

jako źródło wiedzy prawdziwej o przeszłości. Z dziecinnych lat utkwily mi w pamięci między innymi broszurka *O księżnej Kunegundzie pani na zamku Chojnasty* (przez lata chciałem zobaczyć ruiny Chojnika pod Jelenią Górą, co udało mi się zrealizować dopiero w ubiegłym roku) i powieść Władysława Jana Grabskiego *Rapsodia świniacka*; rozczytywałem się też we wczesnopiastowskim cyklu Karola Bunscha (kilkadziesiąt lat później miałem możliwość przeprowadzić z nim długą rozmowę podczas pobytu w „Astorii”, zakopiańskim Domu Pracy Twórczej Związku Literatów Polskich) – fascynowało mnie wówczas pełne tajemnic średniowiecze.

Ale dosyć szybko przyszedł Sienkiewicz i opanował mnie na zawsze swoimi *Krzyżakami*, a przede wszystkim *Trylogią*, której czas wydarzeń – epoka staropolska – na bardzo długo stał się obszarem moich badań (po pierwszym magisterium ze schyłku starożytności, drugie – z pedagogiki – stanowiła monografia pierwszego dwudziestolecia dziejów Liceum Ogólnokształcącego im. Jana Kasprowicza, którego byłem uczniem, zaś po studiach przez trzy lata nauczycielem języka polskiego i łaciny, a przez dwa dyrektorem); prace dotyczące czasów staropolskich przyniosły mi też wszystkie stopnie i tytuły naukowe, a zarazem na trwałe związały mnie z dziejami Litwy historycznej.

Przed maturą (1957) zaczął rodzić się krytycyzm w spojrzeniu na współczesność (wcześnie chłonałem z ojcowskiego odbiornika radiowego audycje rozgłośni emigracyjnych, zwłaszcza Wolnej Europy, dosyć szybko też zacząłem podchodzić do niektórych z dystansem) oraz na przeszłość, chociaż w tym wypadku potrzeba było dopiero czasu studiów i kontaktu z poznańskimi historykami na UAM. Niedawno, 5 grudnia 2016 roku, jako autor setek tekstów prasowych, kilkadziesiąt artykułów popularnonaukowych (w tym na łamach miesięcznika „Mówią wieki” oraz – co przyniosło młodemu autorowi szczególną satysfakcję – znakomitego niegdys krakowskiego „Przekroju”) i rozpraw¹ oraz książek na temat prawdy historycznej i fikcji literackiej w *Trylogii*, tak powiedziałem w Auli Lubrańskiego Collegium Minus mojej poznańskiej Alma Mater podczas uroczystości odnowienia po półwieczu doktoratu: „Zaczął się od fascynacji Sienkiewiczem i świętej wiary w to, co opisywał w *Potopie*. Pamiętam, że ze łzami w oczach [było to jeszcze w szkole podstawowej – dop. M.K.] czytałem o samobójczej śmierci Michała Wołodyjowskiego, i chociaż studia zmieniły to, nabrałem dystansu, to i tak – jak



Na zdjęciu (od lewej): prof. Tadeusz Wallas, prof. Marcei Kosman, prof. Iwona Hofman (fot. Tadeusz Parcej)

powiedziałem w jednym z wywiadów – wierzę, że Zagłoba istniał, chociaż wiem, że nie istniał”.

Książka *Na tropach bohaterów Trylogii* spotkała się z ogromną popularnością i doczekała się od 1966 do 2016 r. sześciu wydań (łącznie nakład wyniósł 200 tys. egzemplarzy), a poszczególne jej rozdziały wielokrotnie adaptacji prasowych, jak również kilku cykli pogadank na falach Polskiego Radia. Nie znaczy to, że aprobatą była powszechna. Przesympatyczny pan Michał, listonosz z mojego rodzinnego miasteczka, po ukazaniu się pierwszego wydania, odbywając wędrowną z torbą listów, przestrzegając rodaków, by jej nie czytali, jako że autor... walczy z Sienkiewiczem. Tymczasem celem tej i wielu późniejszych moich publikacji było konfrontowanie wizji artystycznej z prawdą dziejową...

Nie uszło mojej uwadze, że własny ojciec, zapalony bibliofil, który z uwagą czytał wszystkie moje publikacje, ani razu nie podjął ze mną rozmowy na temat histo-

ryczności Kmicica czy Wołodyjowskiego. Najwidoczniej chciał zachować dla siebie piękne obrazy powieściowe. Wielu entuzjastów *Trylogii*, nie tylko w dobie zaborów, ale i w całym XX stuleciu, tak właśnie czytało dzieło Sienkiewicza.

Z Poznaniem związany jestem studiami od lat sześćdziesięciu, a na stałe od roku 1971, w którym (zbiegło się to z uzyskaniem habilitacji) po uzyskaniu mieszkania z własnym wreszcie pokojem pracy (8 metrów kwadratowych, choć książki zajmowały miejsce, gdzie się dało) opuściłem na dobre rodzinny dom w Izbicy Kujawskiej. Dwanaście lat później przenieśliśmy się do szeregowca na osiedlu Bajkowym, i tu niemal wszędzie dominują książki, również w piwnicznej kondygnacji, a mnie gabinet powiększył się niemal dwukrotnie, zaś własny pokój pracy uzyskała również żona, która wówczas przygotowywała habilitację.

Wracam do lat 1957–1962 w Collegium Iuridicum, siedzibie studium historycznego. Oczarowany byłem trzema poznańskimi antykwariatami (dziś żaden z nich nie istnieje) oraz zasobem księgarni naukowych. W szybkim tempie więc powiększał się księgozbiór. Obok historii studiowałem pedagogikę, zaliczyłem też dwa lata polonistyki, a na pierwszym roku uczęszczałem na zajęcia z filologii klasycznej. Z tamtych czasów pozostały w mej pamięci postacie profesorów Witolda Klingera i Jana Sajdaka, a także świetnego wykładowcy Jana Horowskiego, wówczas jeszcze doktora. Na moim macierzystym kierunku uczęszczałem na kilka seminariów magisterskich, dzięki czemu zdołałem poznać jeszcze Kazimierza Tymienieckiego, dojeżdżającą z Łodzi Halinę Evert-Kappesową, bizantynistkę, zauroczony jednak byłem postacią oraz imponującym dorobkiem Gerarda Labudy, pod którego kierunkiem napisałem pracę magisterską o rozpadzie państwa Hunów w połowie V wieku. Recenzentem jej był Henryk Łowmiański, na którego wykład monograficzny pilnie uczęszczałem. On też stał się promotorem mego doktoratu o kancelarii i dokumentach wielkiego księcia Witolda; Labuda był z kolei jego recenzentem, obaj zaś stali się moimi mistrzami na dalszej drodze rozwoju naukowego. Drugim recenzentem został Juliusz Bardach z Uniwersytetu Warszawskiego, z którym trwale połączyły mnie na długie lata zainteresowania lituanistyczne. W 1969 roku osobiście poznałem Janusza Tazbira, zbliżyła mnie do niego tematyka reformacyjna – był to kolejny, obok Łowmiańskiego i Bardacha, recenzent habilitacji. Z tego grona pochodzili główni opiniodawcy moich późniejszych awansów. Mistrz znad Wilii zmarł tragicznie w cztery lata po uzyskaniu przeze mnie tytułu profesora nadzwyczajnego. Bratnią duszą w wym sienkiewiczowskim piarstwie stał się w Poznaniu niedościgniony znawca *Trylogii* i jej czasów – Janusz Pajewski.

W ostatnich tygodniach mój dorobek związany z pierwszym polskim noblistą został wzbogacony książką *Henryk Sienkiewicz a polityka* (Poznań 2016), a przygotowywany do druku jest tom wspomnieniowy o postaciach badaczy przeszłości, którym poświęciłem w minionych latach wiele uwagi.

Minione półwiecze znacznie zwiększyło liczbę badaczy na trwale zapisanych w humanistyce polskiej i europejskiej, z którymi utrzymuję stałe kontakty. Niestety w odniesieniu do wielu czas terażniejszy zastępuje przeszły. Liczba związanych z moim semiarium doktorów sięga dwudziestu, a większość ich dysertacji doczekała

się druku. Szczególną satysfakcję daje mi udział w przewodach habilitacyjnych, a zwłaszcza profesorskich. Specjalne miejsce w mej pamięci zajmują te z kilkuset prac magisterskich, których autorom zaproponowałem ich publikację. Było ich około dziesięciu.

W mej biografii na trwale zapisało się miasto nad Wilią, dlatego mogę nazywać się wilnianinem z adopcji.

Pora – zbliżając się do końca tych refleksji – przejść do Opola, z którym na trwale związało mnie dziesięciolecie pracy w Instytucie Historii niegdysiejszej Wyższej Szkoły Pedagogicznej, poprzedniczki dzisiejszego Uniwersytetu, w którego pięknej siedzibie się znajdujemy na podniosłej uroczystości nadania doktoratów *honoris causa*.

Wcześniej bywałem parokrotnie w różnych miejscowościach województwa opolskiego na spotkaniach autorskich, jakie mi organizowano w całym kraju po opublikowaniu w popularnej serii „Biblioteczka Światowida” Wydawnictwa Książka i Wiedza wspomnianego już tomu esejów *Na tropach bohaterów Trylogii*. W 1972 roku uczestniczyłem w konferencji polsko-niemieckiej historyków. Przewodził jej profesor Marian Biskup z Torunia i na jego życzenie towarzyszyłem mu w kilkugodzinnej wyprawie do wsi Koperniki. Nie mógł jej sobie odmówić znakomity badacz postaci wielkiego astronoma. A tak na marginesie dodam, że jeden z technicznych organizatorów konferencji, przybyły ze stolicy, koniecznie domagał się, by uroczysta kolacja na koniec obrad została zorganizowana... na zamku Piastów opolskich. Gospodarze musieli go przekonywać, że z zasadniczych powodów nie jest to możliwe. W siedzibie Instytutu Śląskiego spotkał się z nami jego dyrektor, profesor Józef Kokot. Był to pierwszy mój bezpośredni kontakt z tutejszą humanistyką.

Przełomowe znaczenie miało spotkanie w październiku 1972 roku – przebywałem wówczas na kilkumiesięcznym stypendium badawczym w Wilnie – z ówczesnym docentem Janem Seredyką, już w niedalekiej przyszłości czołowym autorytetem wśród historyków staropolskiego parlamentaryzmu; nieco wcześniej z ogromną ulgą zakończył on pełnienie funkcji rektora WSP, po nocach śniły mu się koszmary, związane z wysadzeniem w powietrze auli tej uczelni. Opowiadał mi – zanim po miesiącu wyjechał do miasta nad Newą – o Opolu, wspólnie odbyliśmy liczne wędrowniki po grodzie Giedymina i Mickiewicza. Dało to początek naszej nie tylko naukowej przyjaźni, która trwała do Jego śmierci w 2008 roku.

Najpierw Opole zbliżyło się do Poznania w latach 1976-1982, kiedy stałem na czele Biblioteki Kórnickiej PAN. Jan Seredyka wszedł z mojej inicjatywy w skład jej Rady Naukowej; on i jego uczniowie byli mile widzianymi użytkownikami zbiorów na zamku Działyńskich i autorami tekstów w redagowanym przeze mnie „Pamiętniku Biblioteki Kórnickiej”. Z kolei z jego inicjatywy przyjąłem w 1983 roku – gdy już nie pełniłem po dwóch kadencjach funkcji dyrektora tej księżnicy – propozycję przejścia na pierwszy etat do Opola. Tamte lata wspominam z ogromnym sentymentem, mimo uciążliwości dojazdów z Poznania. Poznałem tu znakomych badaczy, historyków i polonistów, wśród nich Adama Suchońskiego i Stanisława Nicieję. Obserwowałem dynamiczny rozwój warsztatowy mojego dzisiejszego promotora od czasu jego doktoratu po dzień dzisiejszy, kiedy to kolejne tomy jego znakomitej *Atlantydy* stanowią pełną podziwu moją lekturę, odkrywającą wiedzę o południowo-wschodnich Kresach Rzeczypospolitej i losach ich mieszkańców. Z Janem Seredyką odwiedzaliśmy współpracujące z Opolem uczelnie zagraniczne; z Białogrodu odbywaliśmy wyieczki do Połtawy, Charkowa i ku stepowym bezdrożom nad Worskłą. Nawiązaliśmy owocną współpracę z historykami Czech, kontynuowaną przeze mnie po powrocie na UAM (badania nad kulturą polityczną). W pierwszych latach byłem kierownikiem Zakładu Historii Nowożytnej. Szczególną jednak satysfakcję przyniosło mi utworzenie Katedry Historii Europy Wschodniej, której zostałem pierwszym kierownikiem. Relację na ten temat zamieściłem w tomie wspomnieniowym opublikowanym na pięćdziesięciolecie Instytutu Historii. Wśród moich lektur już w 1983 roku poczesne miejsce zajęła, wydana dziesięć lat wcześniej przez Instytut Śląski, licząca ponad 700 stron, podstawowa wówczas synteza: *Opole. Monografia miasta* pod redakcją Władysława Dziewulskiego i Franciszka Hawranka. Otrzymałem ją od kolegów na powitanie.

Wykaz moich publikacji za lata 1983-1993 sięga trzystu tytułów, wśród nich 21 (wraz ze wznowieniami) stanowią pozycje zwarte. Z Opola udawałem się przed laty do Belwederu po odbiór dyplomu profesora zwyczajnego.

„Moje Opole” ponownie zbliżyło się do Poznania po 1993 roku (konferencje, publikacje na UAM) i parę lat później, kiedy mogłem zaproponować jako rektor pracę na pierwszym etacie w Instytucie Historii Politycznej Wyższej Szkoły Zarządzania i Bankowości naszym seniorom – Józefowi Długoszowi i Janowi Seredyce. Wnie-

śli oni cenny wkład w dorobek badawczy tej placówki, wspomniana uczelnia też upamiętniła ich kolejne jubileusze okolicznościowymi wydawnictwami. A moje związki z Uniwersytetem Opolskim są żywe do dziś. Należę do zapewne niewielu osób, które w swych zbiorach posiadają wszystkie numery „Indeksu”, kopalni wiedzy o ostatnim dwudziestolecu Alma Mater. Z pismem też utrzymuję jako autor stałą współpracę.

Mogę więc powiedzieć, że wracam do siebie, składając serdeczne podziękowanie za potwierdzenie doktoratem honorowym mojego miejsca w społeczności akademickiej. Składałem je wraz z najlepszymi życzeniami na ręce Jego Magnificencji Pana Rektora profesora Marka Masnyka oraz Pana prof. Janusza Dorobisza, Dziekana Wydziału Nauk Społecznych Uniwersytetu Opolskiego.



Prof. Stanisław S. Nicieja z prowadzącym benefis Szymonem Wolfem (fot. Tadeusz Parcej)

BARBARA STANKIEWICZ

SCENA, EKRAŃ, ŻYWY PLAN

Benefis prof. Stanisława S. Nicieji

Ta ślubna fotografia, choć przecież sprzed kilkunastu lat, jest na swój sposób metaforą także ich dzisiejszego życia: on ma wzniesione do góry, rozmazane oczy, ona piękna, w welonie, z burzą jasnych loków, patrzy pragmatycznie w obiektyw, jakby przy okazji doglądała pracy fotografa.

AMOR PUDŁOWAŁ PRZEZ DWA LATA

Tymczasem, jak się okazuje – dobrze się to wszystko nie zapowiadało i nic nie wróżyło, że dojdzie kiedyś do ślubnego zdjęcia. Bo w licealnych czasach „kolega Stanisław”... często się w nią wpatrywał.

– Miał takie natrętne spojrzenie, nie lubiłam tego. Denerwował mnie tym nieustannym wgapieniem. To się zmieniło dopiero, jak zaczął pisać dla mnie wiersze. Moje włosy, pamiętam, przyrównywał do komety... Potem

przyznał, że inspirował się wierszami znanych poetów – śmieje się dziś Halina Nicieja, która żoną „kolegi Stanisława” jest już od lat czterdziestu pięciu, a wtedy z „kolegą Stanisławem” chodzili do tej samej klasy w świdnickim liceum.

Śmieje się – z ekranu – przed wytorną widownią zgromadzoną na benefisie prof. Stanisława S. Nicieji, w sali Studenckiego Centrum Kultury, wieczorem 10 marca br. A na ekranie przesuwają się zdjęcia z różnych okresów życia profesora, przeplatane filmowymi opowieściami jego dzieci, przyjaciół, współpracowników, sąsiadów i innych osób, z którymi los go zetknął.

Bohater wieczoru, na żywo, bo z oświetlonej reflektorem sceny, potwierdza: żonę uwodził wierszami.

– Ale Hala była bardzo trudna do uwodzenia. Dwa lata intensywnie pracowałem nad tym, żeby się wreszcie do mnie uśmiechnęła. Te moje wiersze były trochę grafo-mańskie, to fakt, ale najważniejsze, że działały. Ten o ko-



Licznie zjawili się przyjaciele, bliźni i dalsi współpracownicy profesora... (fot. Tadeusz Parcej)



Przy stoliku rodzinnym (na pierwszym planie Halina Nicieja, za nią wnuki, synowa i syn). Fot. Tadeusz Parcej

mecie brzmiał tak: „Marzę, by wszystkie gwiazdy z orbit zdjęć i tobie dać. / Marzę, by warkocz komecie wyrwać i w twe włosy wpiąć. / By słońcu promień skraść”... W naszym liceum działał wtedy zespół „Helikony” (trzy gitary i perkusja), dla którego pisywałem teksty, bo to był czas Beatlesów, w Polsce Karin Stanek śpiewała: „300 tysięcy gitar nam gra”. I grały, w niemal każdym miasteczku.

Mimo że na sali panował półmrok, w oczy rzucał się – mówiąc językiem kościelnym – towarzyski ekumenizm, łączący zgromadzonych gości przybyłych na benefis: od lewicy po skrajną prawicę, od utytułowanych głów po głowy bardziej zwyczajne... (W środku imprezy, nieoczekiwanie na sali pojawił się poseł-wokalista Paweł Kukiz, w towarzystwie swojego sejmowego kolegi – Janusza Sanockiego, nyskiej ikony opozycji antysocjalistycznej, który za chwilę, ze sceny, będzie recytował „Lewą marsz” Włodzimierza Majakowskiego).

Jest rodzina profesora, są przyjaciele, bliźni i dalsi współpracownicy. Są i wybuchy śmiechu, i oklaski, w reakcji na kolejną anegdotę czy kolejny występ wokalistów i zespołu... (w repertuarze nie mogło zabraknąć ukończonych przez profesora Beatlesów).

„TATO LEŻY NA CMENTARZU, ALE MOGĘ PO NIEGO PÓJŚĆ”

Na ekranie tymczasem córki profesora. Ariadna (która miała być Liliana) opowiada, jak to się stało, że Liliana nie jest – Tato poszedł mnie zarejestrować w Urzędzie Stanu Cywilnego. Na podanym mu formularzu wpisał mi imię: Liliana. Wyszedł. Ale zaraz za drzwiami zawrócił i zmienił Lilianę na Dobromirę. Wyszedł. I znowu wrócił i zarejestrował Ariadnę. Mama nie była zachwycona, ale minęło jej, dalej są razem...

Wisłomira, druga córka profesora: – Największe upały tato spędza... na cmentarzu, sąsiadującym z naszym domem w Pępicach. Ma tam ławkę, przy grobie swoich rodziców. I na tej ławce latem sobie w cieniu leży, czyta, rozmyśla. Przyjechał kiedyś do Pępicy jakiś pan, szuka „profesora Nicieji”. Moja siostra informuje trochę makabrycznie, ale zgodnie z prawdą: „Tato leży na cmentarzu, ale mogę po niego pójść”.

Córki demaskują ojca dalej: polskie filmy lubi bardzo i zna się znakomicie na polskiej kinematografii, ale np. z amerykańskim filmem współczesnym jest całkiem źle, zasypia w kinie. Z „Władcy Pierścieni” wyszedł... Z dono-

su syna Stankomira: – Święta w naszej rodzinie są bardzo dziwne. Jest, owszem, podniosła atmosfera, jest kolacja wigilijna, ale ojciec cały czas pracuje. A po kolacji czyta nam swój tekst, prosi o uwagi...

Ale trzymajmy się chronologii wydarzeń.

Jest rok 1968. Halina Romuzga i Stanisław Nicieja, absolwenci Liceum Pedagogicznego w Świdnicy, przyjeżdżają ze Strzegomia (Stanisław) i Bielawy (Halina) na egzaminy wstępne do Opoli. Do Opoli, bo w Opolu są festiwale piosenki, a Stanisław marzy o tym, żeby zostać tekściarzem. Wspomina: – Jest upalna, czerwcową noc, plac Armii Czerwonej, właśnie trwa kolejny festiwal polskiej piosenki. Idziemy z Halą, wszystkie okna otwarte, a z każdego Krawczyk śpiewa: „Byyyyyłaś tu...”

KMICIC DO NICIEJI: DAJ WAŚĆ, KASY OSZCZĘDZ

Bogusław Nierenberg, dziś profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, wtedy przewodniczący komisji kultury Rady Uczelnianej Zrzeszenia Studentów Polskich opolskiej WSP: – Jako szef tej Rady Staszek w 1975 r. sprowadził do Opoli Daniela Olbrychskiego, który miał ochrzcić Maryla Rodowicz. Siedzimy w klubie studenckim „Oleńka”, na ścianach wisiały tam obrazy studentów, m.in. Mariana Wojewody. Olbrychski rozejrzał się i mówi do Nicieji: „Ten obraz mi się podoba”. A Staszek krótko i węzłowato: „Weź sobie”. Na to Rodowicz, wskazując ręką kolejny: „A mnie ten”. I Staszek znowu: „To bierz”. Co się później działo! Marian Wojewoda: „Jak mogłeś dać mój obraz!” Ja zresztą też byłem oburzony. Staszek na to, że przecież działał w naszym interesie...

„Awaryjnik” (bo często zdarzały się w nim awarie), „Minaret” (bo najwyższy budynek w mieście) – szef Rady Uczelnianej ZSP ówczesnej Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu Stanisław Nicieja był tym propozycjom przeciwny, upierał się przy „Kmicicu”, co więcej, zadeklarował, że filmowego Kmicica do Opoli sprowadzi. Bez namysłu zadzwonił do warszawskiego Teatru Narodowego. Akurat była przerwa w próbach, inspicjentka poprosiła do telefonu Olbrychskiego... Aktor, który był wtedy u szczytu sławy i stać go było na najdroższy hotel, usłyszał od Nicieji, że w Opolu dożywośnie będzie miał za darmo pokój w akademiku. I Olbrychski, śmiejąc się z takiego honorarium, zgodził się przyjechać, ale z Marylą Rodowicz. Oraz pod warunkiem, że będzie na



„Student żebrak, ale pan” – to nie jedyny przebój, który w trakcie wieczoru zaśpiewał Andrzej Rosiewicz (fot. Tadeusz Parcej)

nich czekać skrzynka wódki i kapela studencka. Czekala – w klubie „Oleńka” właśnie, gdzie na ścianach wisiały studenckie obrazy... A potem było tak, jak w opowieści profesora Nierenberga, a co profesor Nicieja podczas benefisu zawarł w konkluzji: – Zrobili nade mną sąd! Nie po raz pierwszy, zresztą.

„STUDENT ŻEBRAK, ALE PAN”

W akademiku, na korytarzu, student Nicieja spotkał kiedyś błąkającego się po korytarzu młodego człowieka z gitarą, który przyjechał do Opola na Zimową Giełdę Piosenki Studenckiej i szukał spokojnego miejsca, w którym mógłby nastroić gitarę. Nicieja mu pomógł i tak poznał Andrzeja Rosiewicza, który właśnie wtedy, na giełdzie w WSP, brawurowo wykonał swoją piosenkę „Student żebrak, ale pan”.

I w tym momencie przerywamy wspomnienia, bo na scenę w opolskim SCK nieoczekiwanie wbiega prawdziwy Andrzej Rosiewicz, z wielką, turkusową kokardą u szyi. I już po chwili cała sala klaszcze w rytm nieśmiertelnego „Studenta żebraka”, „Chłopców radarowców”, „Najwięcej witaminy mają polskie dziewczyny” i innych przebojów piosenkarza, który – jak mówi – niegdyś był „uśmiechem PRL-u, a dziś jest bardem moherowych beretów”.

Na ekranie tymczasem pojawia się prorektor prof. Wiesława Piątkowska-Stepaniak. I płynie kolejna opowieść ze studenckich czasów: – Wszystkie dziewczyny były zapatrzone w Nicieję i Kaczorowskiego, nie tylko najlepszych, ale i bardzo przystojnych studentów. I oto nagle Nicieja i Kaczorowski zapraszają mnie na wino. A wtedy piło się *Egri Bikaver*. Byłam w siódmym niebie! Rozmawiamy, oni sypią anegdotami, wtrącają łańskie sentencje, błyszczą... Ja siedzę zapatrzona. I nagle czar prysł, bo okazało się, że im chodziło o to, aby wydobyć



Śpiewa Jarosław Wasik, dyrektor Muzeum Polskiej Piosenki w Opolu (fot. Tadeusz Parcej)

ode mnie pytania na test z historii, który przygotowywała dla studentów moja starsza siostra Danuta [wówczas pracownik naukowy opolskiej WSP – przyp. red.]. I wtedy zrozumiałam – śmieje się pani prorektor – że z ich strony było to po prostu spotkanie biznesowe...

Ze sceny profesor Nicieja dopowiada: – To prawda, baliśmy się Danuty Piątkowskiej, ale prawdziwym postrachem studentów była dr Urszula Szumska! Mówiło się, że kto przetrwa trzeci rok, kiedy zajęcia prowadziła bezwzględna Szumska, ten już właściwie ukończył studia. Studia, które wypełniała nie tylko nauka. Działał wtedy studencki kabaret, teatr, radio, kluby... U nas, na Zimowej Giełdzie Piosenki, debiutowali przecież m.in. Magda Umer, Urszula Sipińska, Irena Jaročka, Tadeusz Drozda, Maciej Zembaty. A jednocześnie była to uczelnia z bardzo rodzinnym klimatem.

Uczelnia, w której studiował także Jan Minkner, kierownik artystyczny kabaretu „Skrzat” (kabaret powstał

w 1974 r.), który właśnie z ekranu wspomina pewną zimową noc w akademiku „Spójnik”, kiedy ze snu obudziło go czyjeś pukanie: – To był Staszek. Wyciągnął mnie na spacer. Zimno było. Spacerujemy i rozmawiamy o planach życiowych. Był rok 1979, Staszek był już po doktoracie. Pamiętam, jak powiedział, że jego marzeniem jest zostać rektorem WSP. Tymczasem został, i to czterokrotnie, wybrany na rektora Uniwersytetu Opolskiego.

RUSZYŁ ZIEMIĘ NA PLACU KOPERNIKA

Pierwszą kadencję Stanisława S. Nicieji zdominowały prace nad odbudową zniszczonego szpitala przy placu Kopernika. Karol Cebula, kolejny gość benefisu, a dziś honorowy senator uczelni, wspomina: – Przyznaję ze wstydem, że i ja bardzo sceptycznie do tego pomysłu podchodziłem, bo – widząc rozmiary zadania – wątpiłem, czy to się Staszce uda.



Prorektorzy, profesorowie: Wiesława Piątkowska-Stepaniak i Janusz Słodczyk oraz rektor prof. Marek Masnyk (w środku). Fot. Tadeusz Parcej



Poseł Janusz Sanocki (z lewej) tuż po recytacji „Lewą marsz” W. Majakowskiego (fot. Tadeusz Parcej)

Udało się, mimo że inwestycja była bardzo kosztowna, a czasy trudne dla wyższych uczelni. Pieniądze, rzecz jasna, nie spadły z nieba, zwłaszcza że w tamtym czasie rządziła krajem lewica. Ale Łyczakowska sława uchylała Nicieji wiele ważnych drzwi w stolicy, po sforsowaniu których profesor swym entuzjazmem dobijał resztki wątpliwości decydentów od kasy. Lucyna Kusyk, wieloletnia kierownik rektoratu, ujawniła inną ważną okoliczność pomagającą sukcesowi: – Obradował nasz Senat. Rektor Nicieja, tuż po powrocie z Konferencji Rektorów Uniwersytetów Polskich, opowiadał o trudnej kondycji finansowej wielu polskich uniwersytetów. Konkluzję pamiętam do dziś: „A ja śpię spokojnie, bo obok siebie mam panią kwestor” [kwestorem uczelni była wtedy Maria Najda – przyp. red.].

Na telebimie ukazują się kolejne twarze: Franciszka Cedrycha, który przed laty był studentem profesora Nicieji i doskonale pamięta, za co i kiedy dostał u profesora „trójkę”, prof. Doroty Simonides, dr Wandy Matwiejczuk, prof. Jana Miodka, dr Apolonii Klepacz, prof. Romualda Gellesa...

Profesor Romuald Gelles, były rektor Uniwersytetu Wrocławskiego: – W 1994 r. Staszek, jako dyrektor Instytutu Historii, zorganizował konferencję o Jałcie, która odbiła się echem w całej Polsce. Kogóż on do Opolą nie ściągnął!

– Zderzyłem ze sobą ludzi wszystkich opcji – dopowiada profesor ze sceny. – Był Jan Nowak-Jeziorański, Ryszard Kaczorowski, Józef Garliński, Wojciech Roszkowski, Krystyna Kersten... Nowak-Jeziorański mało nie zemdlał, kiedy profesor Franciszek Marek mu powiedział, że to przez audycje Wolnej Europy osiedleńcy z Kresów przez lata siedzieli na walizkach, bo im Wolna Europa obiecywała, że wrócą do siebie...

A skoro o omdleniach i emocjach. Profesor Dorota Simonides, senator RP pięciu kadencji, przypomniała czas, kiedy senatorem V kadencji był także profesor Nicieja: – Wszedł na mównicę, rozłożył kartkę... Po czym odłożył ją i w bardzo emocjonalnej mowie odniósł się do motywów wywołania Powstania Warszawskiego, koncentrując się na kwestii: jak można było dopuścić do tego, że w powstaniu zginął kwiat polskiej młodzieży. A obok mnie siedziała Olga Krzyżanowska, łączniczka w tym powstaniu. Była oburzona. „Jeżeli to twój rektor – powiedziała – to ja ci bardzo współczuję!”. Odpowiedziałam: „A ja jestem z niego dumna!

– Z Krzysztofem Piesiewiczem też miałem starcie, w kularach senackich, przy papierosie – poszerza listę oburzonych profesor Nicieja, dodając samokrytycznie, że „pali cudzesy”. – Był z nami profesor Zbigniew Religa. Piesiewicz, entuzjasta powołania Instytutu Pamięci Narodowej, krzychał na mnie, kiedy powiedziałem, że to niedobry pomysł. Bo ja przeczuwałem nieszczęście, jakie przyniesie otwieranie starych teczek...

BEZKRESNE KRESY

Kresowa przygoda profesora, która trwa do dziś i rozwija się – za sprawą cyklu książek „Kresowa Atlantyda” – rozpoczęła się... na cmentarzu. Był to Cmentarz Łyczakowski we Lwowie, gdzie trafił za sprawą nieżyjącego już przyjaciela, dra Henryka Koniarskiego. Lwów był przystankiem w drodze do bułgarskiego Kraniewa. Wsiadli w lwowski tramwaj nr 7, który zawiózł ich pod cmentarną bramę. Był to dzień, który zmienił jego życie.

O plonie tej przypadkowej wycieczki na polski cmentarz we Lwowie i kolejnych, pracowitych kwerechach prowadzonych na tym cmentarzu, opowiadał z telebimu dr Maciej Łągiewski: – Przed wrocławską księgarnią Osolineum, po książkę Nicieji „Cmentarz Łyczakowski we Lwowie w latach 1786–1986”, ustawiła się kilkusetmetrowa kolejka. Był rok 1988. Książka była nie do zdobycia. Mnie udało się ją kupić dopiero, gdy ukazał się drugi nakład: 70 tysięcy egzemplarzy!

Stanisław S. Nicieja: – Nieżyjący już Jerzy Janicki powiedział kiedyś o mnie żartem, nawiązując do moich „cmentarnych” książek: „To jest człowiek, który po trupach doszedł do kariery”... A wspominam Janickiego także dlatego, że był jednym z wielu wielkich, jakich przywiodła do mnie książka o Łyczakowie. Byli wśród nich także Stanisław Lem, Wojciech Kilar, Adam Hanuszkiewicz, Kazimierz Górski... Dzięki tej książce natychmiast przygarnęła mnie wielka, lwowska rodzina, rozproszona po całym świecie. Los dał mi wielkie szczęście.

O Łyczakowie, i w ogóle o Kresach, profesor może mówić długo. I w każdych okolicznościach. Bo, jak ujawnił Janusz Stasiak, opolski lekarz (internista gastrolog, który poza tym pisze i śpiewa piosenki, gra na gitarze), z którym profesora łączy nie tylko relacja lekarz-pacjent, ale także przyjaźń, o Kresach profesor Nicieja opowiadał mu nawet podczas gastrokopii: – A opowiada genialnie! Je-



W repertuarze muzyków nie mogło zabraknąć ukochanych przez profesora Beatlesów

steśmy w pracowni endoskopowej, a ja mam wrażenie, że gastroskop ląduje na grobie Konopnickiej... Dzięki temu nawet się nie zorientował, że już jest po badaniu.

RZADKA SPECJALIZACJA: WSZECHSTRONNOŚĆ

Człowiek renesansu, bo: interesuje go mnóstwo rzeczy, nie tylko historia... (to słowa Krystiana Kobyłki, dyrektora opolskiego teatru Lalki i Aktora), bo historię filmu polskiego ma w jednym palcu (to prof. Jan Miodek). A także – świetny aktor, zdaniem Andrzeja Czernika, reżysera charytatywnego spektaklu „Zemsta”, w którym w rolę Papkina wcielił się profesor Nicieja, Cześnikiem był ówczesny marszałek woj. opolskiego, Waławem – poseł SLD, Klarą – posłanka PiS).

Wicewojewoda opolska Violetta Porowska (w spektaklu grała rolę Klary): – Jako Papkin brawurowo „grał” na gitarze, śpiewał, zapominał tekstu, a przy tym wszystkim miał ogromny dystans do siebie... Widownia w teatrze pokładała się ze śmiechu.

– Pana odwaga sądów, wizjonerstwo, determinacja, niepowtarzalność to cechy szczególne cenne w dzisiejszych czasach, kiedy dominuje przeciętność, postawa: „być człowiekiem teflonowym” – zwrócił się do profesora obecny na sali prezydent Opola Arkadiusz Wiśniewski. – Dziękuję panu! Dziękuję za uniwersytet, o którym ostatnio z dumą opowiadałem goszczącemu u nas ambasadorowi Luksemburga, podkreślając uniwersyteckość naszego miasta. Dziękuję też za przywrócenie nam pamięci i dumy z Galicji i Kresów – to dla mnie osobista sprawa. Nie byłoby tego bez pana książek, bez pana.

„NICIEJÓWKA”

Na ekranie ukazuje się stary, zniszczony budynek. To zdjęcie przylegającej do cmentarza ewangelickiej pastorówki z 1743 roku (piwnica z 1505!), którą Niciejowie kupili w Pępicach pod Brzegiem. Wcześniej, w stanie wojennym, przejęli gospodarstwo po rodzicach profesora, w Strzegomiu. Ale tam nie dało się mieszkać. Można było – być rolnikiem.

Profesor Nicieja: – Hala zrobiła kurs rolniczy, ja siadłem za kierownicą traktora „Władimirec”, czerwony był... A później miałem kombajn buraczany. Jako rolnika wykończył mnie ówczesny premier Pawlak, bo zbankrutowałem na pszenżycie. I wtedy zacząłem szukać miejsca, gdzie osiadę. Znalazłem je w Pępicach, przeszło dwadzieścia lat temu. Zdecydował o tym przypadek, jak wtedy, gdy trafiłem na Łyczaków. Jechaliśmy z Halą do Strzegomia, do naszych rodziców, byli wtedy bardzo chorzy, ja przeglądałem w samochodzie gazetę, a tam ogłoszenie o sprzedaży domu. Uparłem się, skręciliśmy na wysokości Żłobizny... Ujrzałem zrujnowany dom stojący na wzgórzu, w pobliżu kościół i cmentarz... I już wiedziałem, że to jest to miejsce. Miejsce, które remontujemy, z pomocą przyjaciół, od dwudziestu lat, a w którym – jak się okazuje – gościł niegdyś Theodor Mommsen, niemiecki historyk, laureat Nagrody Nobla (1902 r.) w dziedzinie literatury.

W „Niciejówce” (bo tak nazwali swój pępicki dom) w ciągu tych dwudziestu lat Niciejowie gościli ponad dwieście osób, w tym wielu wybitnych ludzi nauki, sztuki i polityki. Jak to kwituje (z ekranu) jedna z pępickich sąsiadek: – Wszyscy tu u nas, w Pępicach, dzięki profesorowi byli.

300 osób przyjechało do Pępicy w czerwcu ubiegłego roku, kiedy Stanisław S. Nicieja zegnał się z funkcją rektorską – w ogrodzie Niciejów pojawiły się biesiadne namioty; w piknikowej atmosferze obradował, po raz ostatni pod przewodnictwem profesora, Senat Uniwersytetu Opolskiego, a później, do wieczora, po całej wsi niosły się piosenki Grechuty, Niemena... To był dla niego – przyznaje – wielki dzień, najchętniej zaprosiłby tam jeszcze dwieście osób więcej, „ale byłby to kłopot dla żony”.

Bo Niciejowie (to słowa prof. Mariana Zembali, którego twarz ukazała się właśnie na ekranie) działają razem: – I dlatego tak dobrze im się wiedzie.

A na koniec bohater wieczoru powiedział tak: – Są w Opolu dwa akademiki, którym wymyśliłem nazwy: „Kmicic” i „Niechcic”. Dwa bieguny polskiej historii. Jeden to praca organiczna, twarda, dzień po dniu. Drugi to fantazja, niekiedy bezmyślna, która wpędza w kłopoty, ale bez niej byłoby nudno i smutno. Myślę, że ja mam w sobie ich obu: Niechcica i Kmicica. I staram się, aby jeden drugiemu za często nie wchodził w drogę.

Pomysłodawcą i prowadzącym benefisu prof. Stanisława S. Nicieji był Szymon Wolf, administrator Studenckiego Centrum Kultury UO, który jest także współautorem – z Leszkiem Bilem – filmu, prezentowanego podczas spotkania.

Grał zespół pod kierownictwem Piotra Dziadkowca. Śpiewali: Anna Piechurska (pracownik Uniwersytetu Opolskiego), Jarosław Wasik (dyrektor Muzeum Polskiej Piosenki w Opolu), Łukasz Szuba (student Uniwersytetu Opolskiego), Piotr Jurkowski (laureat wielu festiwali), Gabriela Machej (absolwentka Uniwersytetu Opolskiego), Piotr Tłustochowicz (uczestnik programu Voice of Poland).

Organizatorzy benefisu: Studenckie Centrum Kultury UO.



Piąty festiwal, w 1968 r., należał do zmarłego niedawno Wojciecha Młynarskiego, który proponował „W co się bawić”, zwłaszcza gdy – „Jesteśmy na wczasach”

BARBARA STANKIEWICZ

FESTIWAL HISTORII

Kiedyś Krajowy Festiwal Piosenki Polskiej był dla mieszkańców Opola prawdziwym świętem. Senne na co dzień miasto kołysało się w rytmie kolejnych przebojów, ulicami przetaczały się barwne korowody artystów, którzy rozdawali autografy, przesiadywali w restauracjach i kawiarenkach... Co widać na fotografiach, które co roku, podczas kolejnych festiwali, wykonywał Ryszard Łabus, wieloletni operator filmowy opolskiej telewizji. To jego, liczące tysiące zdjęć, archiwum opowiada dziś nie tylko historię festiwali. Jest także prawdziwym festiwalem historii – na fotografiach widać zmieniające się z biegiem lat miasto, ludzi niegdyś tu żyjących. I artystów, w których życiorysach opolski festiwal zapisał się na trwałe, bo często był przepustką do wielkiej kariery.



W bryczce siedzi Karol Musioł (obok – Magdalena Kasprzyk), w latach 1952–1965 przewodniczący Miejskiej Rady Narodowej w Opolu, w 1976 r. – Towarzystwa Przyjaciół Opola, którego powstania, w 1963 r., był inicjatorem. W styczniu 2017 r., w wyniku plebiscytu ogłoszonego przez „Gazetę Wyborczą” w Opolu i opolski Ratusz, Karol Musioł został wybrany „Opolaninem 800-lecia”



Andrzej Rosiewicz wraz z Asocjacją Hagaw śpiewał swój wielki przebój „Zenek blues”



Festiwałem żyło całe miasto – w korowodzie artystów szli m.in. (na zdjęciu od lewej): Jan Tadeusz Stanisławski (w 1972 r. laureat Nagrody Dziennikarzy), Jan Pietrzak i Andrzej Dąbrowski



Na zdjęciu (od lewej): Magda Umer, Marek Grechuta i Andrzej Dąbrowski



W 1973 r. poznański kabaret „Tey”, którego filarem był widoczny na zdjęciu Zenon Laskowik, dostał nagrodę Krajowego Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu w kategorii najlepszego kabaretu, pokonując wtedy Salon Niezależnych, Pod Egidą oraz Elitę



Nina Kracherowa (fot. Marek Maruszak)

MARIAN BUCHOWSKI

WYMAZYWANE W CZORAJ

Kiedy lewica dojdzie do władzy (czyli nigdy), to i ona także zacznie sięgać w nieodległą historię po budulec do kreowania swej powojennej legendy. Pojawią się wówczas w publicznym obiegu, wzorowane na dzisiejszej prawicowej praktyce, i takie pojęcia, jak „dziennikarze wyklęci” czy „żurnaliści niezłomni”. Z pewnością lewica opolska zaliczy sobie do nich Ninę Kracherową – jednego z najważniejszych w okresie PRL, a na pewno najpopularniejszych dziennikarzy Opolszczyzny. Od jej cotygodniowego felietonu z nadtytułem ZANOTOWANE W CZORAJ bardzo wielu czytelników zaczynało lekturę „Trybuny Opolskiej”. Do końca dni swoich (zmarła 11 lutego 1993 r.) i końca poprzedniego ustroju Nina Kracherowa należała do osób, których polityczne poglądy nie ulegały zmianie ani chybotaniu i można je streścić hasłem jeszcze u początków Sierpnia '80 wiszącym na Stoczni Gdańskiej: „Socjalizm – tak, wypaczenia – nie”. Ale Kracherowa to także autorka kilku ważnych książek prozatorskich, dzięki którym jej nazwisko ma na Opolszczyźnie nie tylko gazetowy wymiar. O dorobku literackim – może kiedyś, przy innej okazji. Tu o działalności dziennikarskiej, która, owszem, budziła niekiedy kontrowersje, czasem u jednych zachwyty, a u innych wściekłość, ale to chyba strasznie słaby argument na poparcie obowiązującej hipotezy, że Kracherowa nie istniała.

Ninę Kracher-Gamratową (występowała kiedyś pod dwuczłonowym nazwiskiem) poznałem w 1963 roku w Raciborzu. Uruchomiony tam rok wcześniej oddział „Trybuny Opolskiej” tworzyli Kracherowa i Zbigniew Głowacz. Ja byłem wtedy słuchaczem raciborskiego Stu-

dium Nauczycielskiego i – w ramach jednego z etapów ucieczki przed wcieleniem w kamasze – próbowałem się tam kształcić na nauczyciela biologii. Z kolegą z filologii polskiej, Andrzejem Żakiem (wówczas też początkującym poetą, a dziś jednym z najsłynniejszych polskich

bioenergoterapeutów), odwiedziliśmy raciborski oddział gazety. Rozmowa, za naszą sprawą, się nie kleiła, bo co pani redaktor Kracher-Gamratowa elegancko skieruje dialog w górne rejony, to my hyc na życiodajne niziny i wypyujemy uparcie, na czyje, konkretnie, nazwisko w „trybunowej” centrali trzeba wysyłać wiersze, żeby sięgnęły druku, jak długo się na druk czeka i ile wynosi honorarium.

Ponownie spotkaliśmy się w 1971 roku, w redakcji miesięcznika społeczno-kulturalnego o znakomitym poziomie i rynkowo fatalnej, jak dla jakiegoś foldera, nazwie „Opole”. Kracherowa – pierwsza dama opolskiej żurnalistyki, drukująca w renomowanych czasopismach ogólnopolskich, autorka książek, członkini Związku Literatów Polskich, i ja – zaledwie z jednym opowiadaniem nagrodzonym na konkursie i chudziutkim tomikiem wierszy, zatytułowanym buńczucznie „Jestem”. Po paru tekstach w „Opolu” zaczęła mnie zauważać, kiedyś nawet wyrwało się jej, że coś mojego jest niezłe. Potem – z biegiem czasu, z przybywaniem rozmów, tekstów i zdarzeń – okazało się, że się lubimy, choć lubić Ninę nie było łatwo. No bo powiedz sam, Czytelniku. Obłądnie pracowita, więc przeciętnie pracowity wyglądał przy niej na lenia, a nam, prawdziwym leniom, dzięki niej było jeszcze trudniej się tłumaczyć, że pracowitość działa niszcząco na talent. Wprawdzie pali, ale co z tego, skoro nie pije. Bardzo pryncypialna (wybaczała jedynie szaleństwa i błędy popełniane w miłosnej gorączce). Szorstka, z wszystkimi na dystans, więc życie towarzyskie niemal zerowe. Ponieważ miała słabość do osób z zaburzonym instynktem samozachowawczym, więc lubiła też Ryszarda Hładkę, enfant terrible opolskiego dziennikarstwa. Rysiek sam publicznie określał się jako osobisty wróg Pana Boga, więc łatwo sobie wyobrazić, co on tam, podczas internowania w Darłówku, nawywiwał w gronie zdominowanym przez religijnie rozhisteryzowanych opozycjonistów. Hładko był sąsiadem Kracherowej, wpadał z wizytą bez czekania na zaproszenie, długo i niekiedy zawzięcie dyskutowali, a przy okazji gospodyni go, samotną chudzinę, dokarmiła. A kiedy odeszła w zaświaty – Rysiek, nieprzejednany antykomunista, odwdzieczył się krótkim, ale – jak na niego – bardzo serdecznym wspomnieniem, wydrukowanym w „Kalendarzu Opolskim”.

Tzw. dobra materialne (dziennikarze do tych siermiężnych dóbr mieli znacznie łatwiejszy dostęp), mody

i wszelkie stadne zachowania były Kracherowej obce, więc wielu traktowało ją jak raroga i nie podchodziło zbyt blisko, bo raróg może znieacka dziobnąć w czule miejsce albo przekłuć nadęty balon. Na pogrzebie Mariusza Gągoli (długoletni szef działu sportowego gazety; zawał w sile wieku) idąca w kondukcje, znana z widzenia pańcia pyta Ninę zjadliwym szeptem: „Jak pani myśli, czy on jest teraz w piekle?”, na co pytająca słyszy: „Nie wiem, czy on, ale pani się tam znajdzie, tego jestem pewna”. W mniej funeralnych okolicznościach wykorzystywała błyskotliwą inteligencję do subtelnie ironicznych ripost i bonmotów, a bywało, że znieacka tratowała rozmówcę wymownym zamilknięciem i odchodziła trzasnąwszy drzwiami.

ZAPAKOWANI W GAZETĘ

Bez trzaskania drzwiami opuściliśmy redakcję miesięcznika i przeszliśmy (Nina i ja) do „Trybuny Opolskiej”. W tym czasie, w związku ze zmianami w podziale administracyjnym kraju i utworzeniem 49 województw, gazeta, nie bardzo wiadomo po co, zmieniła nazwę na „Trybuna Odrzańska” (do poprzedniej nazwy wróci w marcu 1981 r.).

Miesięcznik a gazeta codzienna – jakże różne światy, choć oba tytuły wydawał ten sam monopolista, czyli Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa, Książka, Ruch”. Inne tempo pracy, inny zasięg czytelniczy, inny czytelnik, inne też (czujniejsze!) oko władzy.

Kracherowa także w nowym zespole wybrała osobność. Na redakcyjnych zebraniach milczała, ale tak, że to milczenie było słychać. Wpadała do redakcji około dziesiątej. Oddawała maszynopis, w świetlicy wypijała kawę; suka (owczarek alzacki) towarzysząca niekiedy w tych wyprawach grzecznie warowała u nóg pani. Tematy Nina najchętniej dobierała sobie sama, chyba nawet nie była przyporządkowana jakiemuś działowi w redakcyjnej strukturze, liczyła się z opiniami zawodowymi kierownictwa, ceniła sobie uwagi Bogumiła Olszewskiego. Szybko wracała z redakcji do skromnie urządzonego mieszkania na wysokim piętrze bloku przy ul. Spychalskiego i, wprawiając w ruch maszynę do pisania, wędrowała w świat bohaterów swojej prozy, pisząc kolejną powieść.

PASZTET DLA GENERAŁA

Ze względu na znakomity warsztat dziennikarski, zmysł obserwacji i autentyczny kontakt z parterową rzeczywistością, regularnie dostarczała gazecie atrakcyjne czytelniczo teksty. Niektóre jej przynosiły sławę, a gazecie – kłopoty. Dokładniej: kierownictwu gazety. Bo z Kracherową, mimo jej politycznego zaangażowania, wojewódzkie władze partyjne miawały kłopot. Z jednej strony były jej wdzięczne, że ona, kładąc na szalę swoją zawodową pozycję, dorobek literacki i popularność u czytelników, broni posunięć władzy, jeśli uważa je za sensowne, ale też potrafi, bez uprzedzenia i uzgodnienia z instancją, wrzucić dziennikarski granat w jakieś bagienko z grubymi rybami partyjnego chowu. Na początku byliśmy przekonani, że gdyby któryś z nas, dziennikarskich chudeuszy, pozwolił sobie jakimś tekstem na takie kłusownictwo w partyjnych zasobach kadrowych, to taki tekst byłby ostatnim utworem autora.

Był początek roku 1980. Kryzys gospodarczy coraz głębszy, większości ludzi żyje się podle, nastroje fatalne. Oficjalnie jeszcze spokój, partyjna prasa warszawska pogodna jak śpiew skowronka, tylko opozycja, w niskonakładowej bibule, kracze „komunie” na pochybel. I oto w partyjnej gazecie „Trybuna Odrzańska”, w magazynowym wydaniu z 11 stycznia (nakład: 185.280 egzemplarzy!), ukazuje się tekst Niny Kracherowej zatytułowany niewinnie „Druga twarz lokatora”. Niewinnie, bo nie chodzi tu o lokatora jakiegoś partyjnego „białego domu”, tylko o zwykłych, pospolitych lokatorów zasiedlających wielkopłytowe budownictwo. Tekst zaczyna się banalnie: lokatorzy zalegają z czynszem, śmiecią, szczają po klatkach schodowych, zakłócają ciszę nocną... Dlaczego – pyta Kracherowa przedstawiciela mieszkaniowej administracji – tak się cackacie z niektórymi gagatkami, bywacie tacy wyrozumiali wobec naruszających regulamin i dobre obyczaje sąsiedzkie? Inspektor wymiguje się ogólnikami, ale nie z Niną takie numery. Więc przyciśnięty do muru wyznaje wreszcie prawdę. Biedak, nauczony wcześniejszym doświadczeniem medialnym, wierzył, że i tym razem ma do czynienia z odpowiedzialnym redaktorem z partyjnej gazety, który wie bez pomocy cenzora, która prawda nadaje się do gazety, a która nie. „Administracja – mówi inspektor – boi się interweniować, bo na tym osiedlu w niektórych blokach mieszkają bardzo ważne szyszki”. I podał, dla przykładu, konkretny adres.

Był to blok podlegający Wojskowemu Zarządowi Budynków Mieszkalnych, a więc zamieszkały przez wojskowych, oczywiście nie jakichś kaprali czy sierżantów, tylko przez ugwiżdżone szarże. Za parę dni, w magazynowym wydaniu „Trybuna Odrzańskiej”, Nina Kracherowa obwieszczała nie tylko opolskiemu światu, podając nazwę ulicy i numer tego wojskowego bloku: „Co rano znaleźć można pod oknami i balkonami tego bloku? Proszę bardzo: całe kury, całe schaby, całe szynki, całe kielbasy. Wyrzucane przez okno skrzynki po bananach i pomarańczach. Butelki. Prezerwatywy. Opaski higieniczne, buty, części garderoby...”.

Ten i ów męski czytelnik gazety, zwłaszcza ze starszej generacji, mógł przy lekturze, między jednym a drugim łykem, rzec wtedy do kolegi:

– No i co, że prezerwatywy i butelki? Wojaki przecież, a nie skauty. Ale ten prowiant na łące! Całe szynki. Całe schaby. Nie parę plasterków, tylko całe! Tyle dobra minęło żołądek! Za dużo fasują, nosem przelewa się oficerstwu dobrobyt.

Młodszy warto powiedzieć, a starszym przypomnieć w tym miejscu, że sklepy polskie były wtedy pustawe, kupić jakieś delikatesowe specjalności można było tylko za bony dolarowe w „Peweksie”, po kaszankę czy jakiś wieprzowy gnat ludzie wystawiali w długich kolejkach...

W Komitecie Wojewódzkim PZPR Włodzimierzowi Kosińskiemu (redaktor naczelny „Trybuna Odrzańskiej”) poradono, aby gdzieś zdobył sobie kartonowe pudełko i pakował doń redakcyjne manatki, bo tym paszkwilem towarzyszy Kracherowej zainteresował się sam towarzysz Jaruzel i rozkazał zrobić w Opolu porządek. Oczywiście nie na trawniku pod wojskowym balkonem, tylko porządek w całokształcie. Przecież generał Jaruzel chce za niedługo kierować kadrę oficerską do cywilbandy w terenie, aby – w ramach Terenowych Grup Operacyjnych – oficerowie świecili przykładem i usprawniali rządzenie Polską gminną. A tu taki pasztet w Opolu! I to pod szyldem „Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!”

Kosiński jednak ocalał, a z Niną nie próbowano nawet rozmowy ostrzegawczej. Jedynie przy jakiejś partyjnej okazji zebraniowej przypomniano jej półgębkiem w kularach, że partia, wiecie towarzyszeko Nino, ceni bardzo wasze pióro i krytykę, ale konstruktywną, wyważoną, więc nie używajcie wrogom ustroju swojego wielkiego talentu...

RACHUNEK OD SERCA

Ona (rocznik 1929), Ślązaczka z podraciborskich Markowic, najbardziej lubiła szukać tematów na tzw. wschodniackich terenach. Nie mogła się nadziwić gościnności i otwartości mieszkających tam ludzi, podziwiała siłę emocji i łatwość ich uzewnętrzniania oraz brak nawyku maskowania uczuć; była pod urokiem melodii zabużańskiego zaśpiewu, słyszalnego nawet u paroletnich skrabów. Stała się fanką powiatu głubczyckiego. „Głubczyce i okolica – zwierzała się w tekście wspomnieniowym – to teren zamieszkały przez ludzi dla mnie tak egzotycznych, że studiowałam ich ze dwa dziesiątki lat i do dziś mnie ciekawią”.

Bardzo dbała, aby swej bogatej, pisarsko funkcjonalnej wyobraźni bronić dostępu do równoległe uprawianego dziennikarstwa. Wyłącznie konkret. Chciała nie tylko opisywać rzeczywistość, ale ją także zmieniać. Choćby trochę, po kawałeczku. Z rozrzwieniem wspominała okres pracy w raciborskim oddziale gazety, kiedy pilnowała, aby to, co skrytykowała na łamach, zostało szybko naprawione, skorygowane. Tak, ale w Raciborzu wszystko miała na wyciągnięcie ręki. Teraz, w Opolu, dręczyła ją dziennikarska bezsilność, bo wiedziała, że ludzie, o których kłopotach pisze, bardzo liczą na jej pomoc. Krew ją zalewała, kiedy dziennikarsko penetrując teren zderzała się z bezczelnością i butą lokalnych kacyków, przekonanych o bezkarności. W przypływie wisielczego humoru przywoływała wtedy zdanie lewackiej terrorystki Ulrike Meinhof, że „pisanie to gówno, trzeba strzelać!”

Zawał serca, który Ninę dopadł, był częścią ceny płaconej za brak dystansu. Nawet podpęta pod monitory na sali intensywnej terapii układała w pamięci tekst o skandalicznych warunkach w służbie zdrowia, o jakich opowiadali pacjenci z sąsiednich łóżek.

KLIMAT NADMORSKI W OPOLU

Nadszedł Sierpień’80 i państwu redaktorstwu w partyjnej prasie, zwłaszcza tej codziennej, skończył się luksus bezkarnego plucia pod wiatr nastrojów społecznych. Więc także i na nas, „Trybunę Odrzańską”, sezon ochronny dobiegał końca. Owszem, również wcześniej przychodziły do redakcji, po niektórych publikacjach, anonimowe wyzywające autorów od skurwysynów i kanalii, telefoniczne bluździ wcale nie były rzadkością, po prywatnych domach

lekturze niejednego artykułu (a zwłaszcza komentarza) towarzyszyło kurwowanie albo pusty śmiech. I tego typu reakcje, mimo zmiany ustroju, do dziś mają miejsce w redakcjach. Tylko że po tamtym sierpniu zebrania w zakładach pracy, organizowane przez „Solidarność” – rosnącą w siłę nie tylko liczbą członków i sympatyków – przerażały się w wiece, a poetyka wiecowych oracji to nie emocjonalny umiar akademickiego wykładu, z wyważeniem argumentów, uwzględnianiem podstawowej przyczyny zjawisk, trafianiem głównie do głów, a nie do serc słuchaczy. Oj, dostawało się tam wtedy dziennikarzom!

Wytwórnę pomysłów i hurtownię z propagandową tandetą prowadziły w PRL komitety partyjne, ale oknem wystawowym sklepów handlujących tym badziewiem byli dziennikarze. Dawali nazwisko, byli na widoku publicznym. Te wystawowe okna (trzymając się tej kiczowatej metaforyki) miały różne rozmiary, niektóre bardzo wyróżniały się wielkością, różowym oszkleniem i witrażowymi wstawkami, ale czytelnik nie bawił się w różnicowanie, tylko mówił: „Gazeta napisała!”. Poseł Janusz Sanocki w czasach, kiedy dopiero współorganizował w Nysie „Solidarność”, pytał nas, Mariana Barana i mnie (przyjechaliliśmy robić wywiad z zarządem tamtejszego MKZ „Solidarność”):

– Dlaczego ten wasz szmatławy organ drukuje takie tendencyjne artykuły?! Dlaczego bezkarnie obraża przeciwnika?!

Sanocki nie był jeszcze wtedy właścicielem gazety w Nysie, jeszcze sam nie pisywał – w dużym nakładzie – napastliwych, nieprzebierających w słowach felietonów i komentarzy, wymierzonych w bliźnich o innych poglądach. Kontrargumentowaliśmy, żeby – po pierwsze – nie stosował odpowiedzialności zbiorowej, a po drugie, żeby raczył pamiętać, że w naszej gazecie ukazywało się i ukazuje także wiele wartościowych publikacji...

– Tym gorzej! – Sanocki na to. – Te dobre, uczciwe teksty czynią jeszcze więcej szkody, bo, chcąc nie chcąc, uwiarygodniają gazetę, maskują jej społeczną szkodliwość.

(dokończenie w następnym numerze)



Prof. Franciszek Kokot (fot. Sylwester Koral)

DOBRY LEKARZ UCZY SIĘ CAŁE ŻYCIE

Z prof. dr. hab. n. med. Franciszkiem Kokotem, wybitnym nefrologiem, który w październiku br. podczas inauguracji roku akademickiego oraz kierunku lekarskiego na Uniwersytecie Opolskim odbierze tytuł doktora honoris causa naszej uczelni, rozmawia Radosław Świąś.

– *Ma Pan Profesor na swoim koncie około 1000 ważnych publikacji, liczne nagrody. Wybitny internista, wybitny nefrolog, wybitny endokrynolog, wybitny patofizjolog, jeden z nestorów medycyny, nie tylko śląskiej, ale polskiej – tak się o Panu pisze. Jednocześnie zwykli ludzie, byli uczniowie mówią po prostu: „Dziękuję, panie profesorze”, „jest pan dla mnie wzorem”, „dziękuję, mistrzu”. Skąd się to bierze?*

– Uważam, że wiele tych wypowiedzi padło, by się przypodobać, a tych rzeczywistych, miłych słów, jest już znacznie mniej. Ale takie jest życie, prawda? Zawsze starałem się trzymać dwóch zasad. Pierwsza, by od drugiej osoby nie wymagać tego, czego od siebie nie wymagam.

Druga, która dominowała w moim postępowaniu, to by jako lekarz być darem dla drugiej osoby, darem dla chorego (ale i chory powinien być również darem dla lekarza). Być darem dla kogoś oznacza czynić komuś dobrze. Kiedy chory przychodzi do lekarza, powinien cieszyć się, że ktoś dzieli z nim to nieszczęście bycia chorym. Dzielone nieszczęście jest tylko pół nieszczęściem. A dzielone szczęście jest podwójnym szczęściem. Jeżeli ja wypuszczam pacjenta w dobrym zdrowiu, cieszę się na równi z nim.

– *Zawsze Pan podkreślał, że lekarzowi, nauczycielowi akademickiemu, naukowcowi obca powinna być zawodowa zawiść...*

– Zasada, której przestrzegałem, to przede wszystkim godnie znosić sukcesy moich konkurentów.

Trzeba pamiętać, że kierownik kliniki albo kierownik jakiejś instytucji ma współpracowników, którzy często przewyższają go swoją inteligencją i umiejętnościami. To samo dotyczy studentów, wśród których mogą być przyszli nobliści. Ponadto, jeśli mój współpracownik, mój przyjaciel odnosi sukcesy, to przecież ja też korzystam z jego osiągnięć. One na mnie promieniają.

– *Cofnijmy się do roku 1929. Olesno na Śląsku Opolskim. W tych trudnych czasach na świat przychodzi mały Franek Kokot. Jak wyglądało Pańskie dzieciństwo?*

– Moi rodzice, wspaniali ludzie, byli bardzo biedni. Ojciec murarz, matka chłopka, trzech braci, ja czwarty, jedyny, który po ukończeniu szkoły powszechnej dalej się uczył. Reszta pracowała. Pamiętam dokładnie moment, kiedy nauczyciel szkoły powszechnej przyszedł do mamy, mówiąc: „Pani Kokotowa, niech pani pośle tego Franciszka do gimnazjum”. A mama, chwytając się za głowę, zapytała: „A kto będzie chesne płacił?”. Nauczyciel był uparty i po roku jego nalegania mama się zgodziła. W gimnazjum w Lublińcu przyznawano dwa stypendia, dostępne po drugiej klasie. I ja to stypendium dostałem, co załatwiło kłopoty finansowe. Nie tylko moje. Stypendium wsparło też dom rodzinny.

– *A czym się Pan wyróżniał w młodym wieku, by zasłużyć na stypendium?*

– Przede wszystkim byłem pyskаты. Potrafiłem brzydko się odezwać do nauczyciela, który niewłaściwie się zachował w stosunku do uczniów. Dlatego przez niektórych nauczycieli byłem nielubiany.

– *I trafił Pan na medycynę. Trudno było?*

– O wyborze medycyny zadecydował dyrektor gimnazjum, Stanisław Książek, polonista. Podszedł do mnie po ostatnim egzaminie i powiedział: „Słuchaj Franek, ty pójdziesz na medycynę”. Odpowiedziałem: „Panie dyrektorze, ja jestem dobry w chemii, fizyce, naukach ścisłych”. Miałem jednak do niego wielkie zaufanie i tak w roku 1948, przy około 800 kandydatach na 120 miejsc, zostałem studentem. Na początku było trudno i biednie. Myślałem nawet o rezygnacji. Ponieważ nie należałem do żadnej organizacji politycznej, miałem kłopot z uzy-

skaniem stypendium. Sytuacja zmieniła się po egzaminie z chemii u prof. Stanisława Prebendowskiego. Zaproponował mi pracę laboranta na pół etatu, potem pomógł ze stypendium naukowym. W 1949 r. skończyły się moje problemy finansowe. Zarabiałem więcej niż mój ojciec. Studia, jako jeden z trzech na roku, ukończyłem z czerwonym dyplomem.

– *Jaki wpływ na późniejszą karierę miała praca laboranta?*

– Ogromny. Będąc laborantem w zakładzie chemii, nauczyłem się technologii, chemii, produkowałem kwas krokonowy, który był przedmiotem badań naukowych profesora Prebendowskiego. Posiadałem podstawy naukowe, poznałem metodykę syntezy biochemicznej. Z czasem chciałem chemię powiązać z człowiekiem, dlatego potem przenieśliem się do zakładu farmakologii. Farmakologia jeszcze bardziej rozszerzyła moje horyzonty dalszego rozwoju naukowego. Po siedmiu latach, również z powodów personalnych, bo zmienił się kierownik, z którym nie znalazłem wspólnego języka, trafiłem do interny.

– *Przejdźmy do relacji międzyludzkich, które przez lata były dla Pana ważne. Mistrz – uczeń. Na pozór ta relacja wydaje się jednokierunkowa i to mistrz jest w niej najważniejszy.*

– Ta relacja musi być komplementarna i pełna wycucia. Trzeba zapytać, czy mistrz jest faktycznie dobry? Powtórzę – nie można wymagać od drugiej osoby tego, czego się od siebie nie wymaga. Często mamy kierowników klinik, zakładów naukowych, którzy niewiele dają od siebie, a w stosunku do współpracowników mają wygórowane wymagania. To bardzo niedobre. Na drugiego człowieka można oddziaływać przede wszystkim dobrym przykładem.

– *I trzeba kochać pracę. Cytując Pańskie słowa – praca jest życiodajna.*

– W medycynie określamy to jako anabolik, który ma pozytywny wpływ na rozwój psychiczny i fizyczny człowieka. Wielu ludzi uważa przeciwnie, że bezczynność i lenistwo jest anabolikiem. A to nieprawda, praca jest czynnikiem rozwojowym.

– *Młodzi ludzie, dzisiaj studiujący, bądź wchodzący do zawodu, spotykają całkiem inną medycynę niż ta sprzed ponad 60 lat, kiedy Pan zaczynał pracę. Jak bardzo zmieniły się procedury diagnostyczne i medyczne. I co się stało z tzw. lekarskim nosem?*

– Lekarski nos w dalszym ciągu istnieje, bo on jest odzwierciedleniem doświadczenia życiowego, którego nie można się nauczyć z książki. Wypływa to z kontaktów międzyludzkich, szczególnie z kontaktów ze swoimi przełożonymi. Te relacje międzyludzkie uległy zmianom. Głównie przez rozwój technologiczny medycyna została poćwiartowana na specjalności. Dziś bardzo trudno opanować całość medycyny. Mimo to do chorego można podejść rzetelnie tylko wtedy, kiedy uwzględni się jego globalny stan zdrowia. Chory może przyjść z kaszlem, a faktycznie mieć nowotwór płuc, co zupełnie zmienia procedurę diagnostyczną.

I druga rzecz, medycyna jest takim przedmiotem, gdzie trzeba się nieustannie uczyć. Mamy rewolucję procedur diagnostycznych i leczniczych. Jeżeli ktoś tego nie śledzi, to po prostu szkodzi choremu. Nie przekazuje choremu wiedzy, z której ten mógłby skorzystać.

– *Pacjent też pewnie jest dziś inny.*

– Pacjent się zmienił, zmieniła się jego psychika, co odzwierciedla ogólne zmiany w społeczeństwie. Mamy Internet, praktycznie każdy ma dostęp do wiedzy o postępach medycyny światowej. Wiedza chorego jest dziś tak duża, że staje się roszczeniowy. Przychodzi i pyta lekarza, dlaczego nie zlecił mu takiego a takiego badania, w wyniku którego byłby zupełnie inaczej leczony.

– *Przez te wszystkie lata przez ręce Pana Profesora przeszły tysiące pacjentów, a każdy to inna historia.*

– Chorych hospitalizowanych miałem ok. 75 tysięcy, a leczonych ambulatoryjnie 150 tysięcy. Były wzloty i upadki. W każdym razie to piękny zawód.

– *Pańskie trzy aktywności zawodowe to nauka, dydaktyka, praktyka lekarska. Co było najistotniejsze?*

– Najważniejszy jest chory, to nie ulega wątpliwości. Ale po to, by być dobrym lekarzem, trzeba być na bieżąco w nauce i ciągle się uczyć.

– *No właśnie, Uniwersytet Opolski już niedługo będzie kształcić przyszłych lekarzy. Jakie ma Pan przesłanie dla tych młodych ludzi?*

– Przede wszystkim powinni sobie poszukać ideałów, które będą wzorcami dla rozwoju zawodowego. Dzisiaj nie da się już opanować całej medycyny, dlatego dość wcześnie trzeba się zdecydować na pewne dziedziny, których mamy kilkadziesiąt. Nie można być jednocześnie dobrym chirurgiem i internistą. I jedno, i drugie wymaga doświadczenia, ciągłego uczenia. Każdy, kto zaczyna studiować medycynę, musi pamiętać, że do końca swojego życia będzie musiał się codziennie uczyć.

– *Opolszczyzna nigdy nie miała kierunku lekarskiego. Teraz się to zmienia. Jakie, Pańskim zdaniem, ma to znaczenie dla regionu i miasta?*

– Tylko wyższa uczelnia może obdarzyć mieszkańców medycyną *up to date*, czyli medycyną nowoczesną. Obojętnie uważam, że dla Opola i dla województwa opolskiego powołanie wydziału lekarskiego na uniwersytecie jest wyjątkowym wyróżnieniem, ogromną nobilitacją. Mam duże uznanie dla władz, które podjęły się tego trudnego, ze względów kadrowych i ekonomicznych, przedsięwzięcia.

– *Otrzymał Pan już dziewięć tytułów doktora honoris causa. Ten dziesiąty przyzna Panu Uniwersytet Opolski, uczelnia z regionu, z którego Pan się wywodzi i do którego całe życie Pan powraca. Jakie ma to dla Pana znaczenie?*

– Przede wszystkim jestem ogromnie zaskoczony, bo jest wielu moich rówieśników, którzy są ode mnie lepsi i więcej zrobili dla Opola. To wyjątkowe wyróżnienie. Najgorzej być prorokiem we własnej ojczyźnie. Jeżeli ktoś spotyka się z uznaniem wśród swoich, to takie uznanie musi coś znaczyć. To mnie buduje, jest tym anabolikiem, tymi promieniami słonecznymi, które pozostają dla ludzi w zaawansowanym już wieku.

JAN GOCZOŁ

ELEGIA NA ŚMIERĆ WIERZBY Z OPOLSKIEGO POBRZEŻA ODRY

Wyrok orzeczono zwięźle i jednoznacznie:
Po wstępnej grze pozorów piłami spalinowymi,
ścięćcie siekierami. Bez obecności świadków
mogących pamiętać jej niewinną urodę,
którą wiatr mógł pieścić na wieczne czasy.

Nie do wyobrażenia już te pieszczoty,
że być mogły, kiedy jej już nie ma.
Pamięć je przywołuje na przekór wszystkiemu,
jak zaklinanie świata, który był bardziej
niż wszystkie o nim słowa.

lutu 2017

ADAM WIERCIAŃSKI

ZA SZYBKIE PISANIE (45)

Znowu ktoś nie doczytał Sienkiewicza i popisuje się poprawnością polityczną; przypisuje pisarzowi poglądy, których on nie podzielał: *Kapuściński wiele polskich stereotypów o Trzecim Świecie przełamał. Pokazywał Afrykanów jako ludzi takich jak my, dotkniętych podobnymi nieszczęściami, mających takie same wolnościowe aspiracje. Burzył silny w naszej kulturze Sienkiewiczowski stereotyp rasistowski [sic!] znany jako mentalność Kalego* (Artur Domosławski, *Nieobecność Kapuścińskiego*, „Polityka” 2017, nr 3, s. 51).

Mentalności Kalego nie doszukiwał się Sienkiewicz w „rasie”, kiedy Kali tłumaczył, jak rozumie złe i dobre uczynki (*Dobry [uczynek], to jak Kali zabrać komu krowy*), narrator wtrącił: *Staś był zbyt młody, by zmiarkować, że podobne poglądy na dobre i złe uczynki wygłaszają i w Europie – nie tylko politycy, ale i całe narody* (*W pustyni i w puszczy*, rozdział 35).

Gdzie indziej autorka ciekawego szkicu podniosła sprawę Inflant w powieściach Sienkiewicza: *Inflanty i Niderlandy pojawiają się więc w „Trylogii” w aurze humoru, jako elementy niepoważnego, groteskowego przetargu Zagłoby; czuje się jednak, że Sienkiewicz marginalizuje inflanckość, odsyłając czytelnika do bliżej nieokreślonej, dalekiej przestrzeni [...]. Śmieszność sytuacyjna z „Potopu” trwa w osobliwym życiu pośmiertnym – homogenizowaniu odległych terytoriów z pogwałceniem ich dziejów i sfalsyfikowaniem pierwotnej wymowy tekstu. Niestety, winę za to ponosi także sam Sienkiewicz, konsekwentnie traktując Inflanty jako krainę nieoswojoną, nieidentyfikowaną, daleką – położoną między gdzieś a nigdzie. A przez to egzystencjalnie pokraczną – jak bezimienna kobyła Podbipięty* (Dorota Samborska-Kukuć, *Inflanty Onufrego Zagłoby*, czyli polska wyobraźnia geohistoryczna, [w:] Sienkiewicz z innej strony, pod redakcją Jerzego Axera i Tadeusza Bujnickiego, Warszawa 2015, s. 276).

Rosła wierzchówka Podbipięty wcale nie była pokraczna, narrator nigdy jej tak nie nazywał, wspomniął, jak to Skrzetuski jechał obok pana Longinusa, który siedząc na ogromnej inflanckiej kobyli strapiiony był i smutny jak zawsze, kiedy indziej napisze, jak się zachowuje ogromne bydło pana Longina. Konie u Sienkiewicza nie noszą imion; maść, rasa, region, z którego pochodzą, słu-

żą identyfikacji. Wiadomo, że pan Rozwan Usu siedział na *czarnym anatolskim dzianecie*, Chmielnicki jechał na *białym koniu*, Kmicic prezentował ks. Bogusławowi czarnego jak kruk konia *natolskiego*; żołnierze z podjazdu Kanneberga widzieli jeźdźca na *rosłym bułanym bachmacie*, czyli Wołodyjowskiego, a husarię prowadził wtedy *mąż siedzący na dzielnym tarantowym koniu*, czyli sam Stefan Czarniecki.

Nie bez przyczyny jeździł Podbipięta na inflanckiej kobyli, był to przecież *mąż wzrostu tak wysokiego, że głowę prawie powały dosięgał*. Kiedy uwięzieni pułkownicy jechali pod konwojem do Birż, w Szawlach zobaczyli po raz pierwszy szwedzkich rajtarów, Wołodyjowski z uznaniem mówił o żołnierzach i koniach; kto inny zauważył: *– To inflanckie konie, nader silne – rzekł Mirski. – I nasze towarzystwo husarskie i pancerne w Inflanciech szuka koni, bo to u nas szkapy drobne* (*Potop*, t. I, rozdział 17). Jak by wyglądał wysoki, żyłasty pan Longinus z ciężkim Zerwikapturem na żmudzkim mierzynku?

A gdyby Kmicic nie był w młodości w Inflantach i nie poduczył się tam języka niemieckiego, nie byłby tak użyteczny w Częstochowie. O Inflantach w powieściach Sienkiewicza nie wspomina się za często, to prawda, ale chyba nie można zarzucić pisarzowi, że traktuje on je jako krainę *położoną między gdzieś a nigdzie*. Zakłada autor, że czytelnik wie, jaki język urzędowy tam obowiązywał, i dlaczego wspomina się czasem o ewentualnym połączeniu Inflant. Książę Janusz Radziwiłł, kiedy wysyłał Kmicica z listami, zagadnął: *Ty podobno umiesz po niemiecku?*

– *Miałem towarzysza, szlachcica kurlandzkiego, niejakiemu Zenda, którego mi laudańscy ludzie usieklili. Od niego się nieźle po niemiecku poduczyłem. W Inflantach też często bywałem* (*Potop*, t. I, rozdział 23).

Najomość niemieckiego przyda się Kmicicowi w niedalekiej przyszłości, dzięki temu dowie się o planach Szwedów, uprzedzi ks. Kordeckiego, powie mu, o czym mówili Lisola z Wrzeszczowiczem: *Obaj rozmawiali przy mnie po niemiecku, nic się mojej obecności nie strzegąc, gdyż nie myśleli, abym mógł ich mowę wyrozumieć, którą ja z dzieciństwa znając tak dobrze jak i polską, to wymiarowałem, że Weyhard instygował, aby klasztor zająć i do*

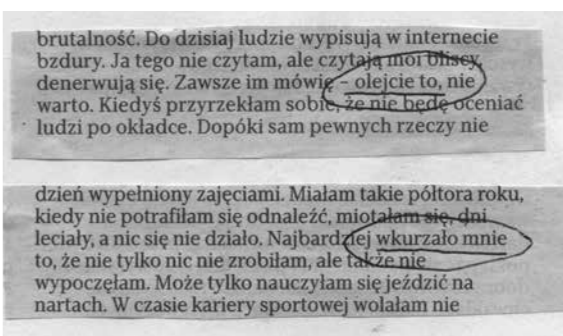
skarbcza się dostać, na co od króla otrzymał pozwolenie (*Potop*, t. II, rozdział 12).

Inflanty nie były dla bohaterów Trylogii *krainą nieoswojoną*, wiedzieli oni na przykład o tym, że od kilku dziesięcioleci (od 1629 roku) kraj ten był podzielony: *Przewidywano już koniec wojny, byli tacy, którzy mówili, że Karolowi jeden tylko ratunek pozostał: wykupić się i oddać Rzeczypospolitej Inflanty szwedzkie* (*Potop*, t. III, rozdział 9).

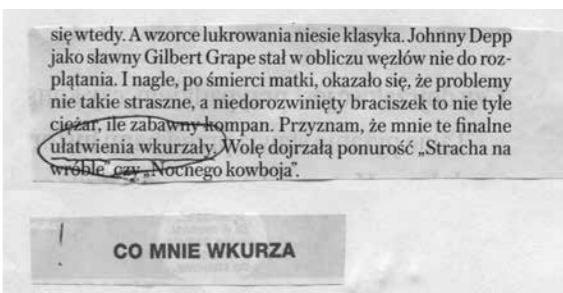
Naiwności ogłoszone w Roku Sienkiewiczowskim: *Na przykład Przemysław Czaplinski przedstawił nie tak dawno tomiszcze Olgi Tokarczuk „Księgi Jakubowe” jako wielką antysienkiewiczowską koncepcję – tak, jakby nie było wcześniej Mrożka, Miłosza ani jeszcze starszego Brzozowskiego, którego recepcja zachowała przecież wielokierunkową polemiczną żywotność* (Adam Poprawa, *Pocałunków? Scho-dów? Książek?*, „Nowa Dekada Literacka” 2016, nr 3, s. 112).

Gdzie tam powieści Tokarczuk do Sienkiewicza? Po co ośmieszać takimi zestawieniami zdolną pisarkę z innej parafii artystycznej. Jeszcze jej powieści Sienkiewiczowi nie zagrażają, kto nie wierzy, niech przeczyta z uwagą *Bez dogmatu* czy *Listy z podróży do Ameryki*. Nie ten język, nie ta wyobraźnia, nie ta swoboda w poruszaniu się w czasach i przestrzeniach, nie ta znajomość historii i geografii historycznej. Jaka tam *antysienkiewiczowska koncepcja*? A ci pamfletyści: Mrozek, Miłosz, Brzozowski (a gdzie Waław Nałkowski?, ten dopiero wypisywał nie-stworzone rzeczy) już się znudzili, odpisują jeden od drugiego, a krytycy powtarzają ich obrazoburcze sądy bez głębszego zastanowienia.

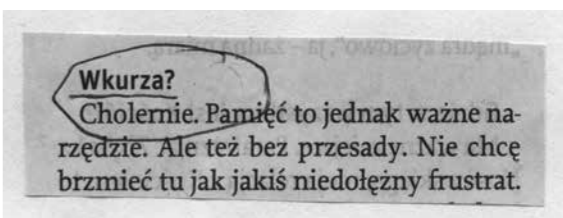
A może by tak czasem przypomnieć i to, co pisał w 1925 roku Juliusz Kleiner (*stał się w najpełniejszym i najszlachetniejszym znaczeniu – pisarzem ludowym [...]. Bardziej niż ktokolwiek inny – Sienkiewicz stworzył solidarność duchową nowej i dawnej Polski*), przytoczyć wypowiedzi późnego Gombrowicza (*Dziś staję się coraz bliższy Sienkiewicza i coraz dalszy Simone Weil [...]. Kultura poszła w stronę ekstremizmów, ja, jako człowiek przekorny, idę w kierunku odwrotnym. Jestem dziś bliski odkrycia na nowo pewnych dodatnich stron Sienkiewicza!*), wspomnieć, co pisali Stefan Żeromski czy Aleksander Brückner, Antoni Gołubiew (*Wielka kultura artystyczna nie pozwoliła*



„Rzeczpospolita” 2017, nr 29, s. 26



„W Sieci” 2017, nr 6, s. 60, 95



„Tygodnik Powszechny” 2017, nr 7, s. 29

Równa w dół, kto może. „Wkurzacz”, nadużywający wulgarnego eufemizmu, rozpychają się, gdzie mogą, nawet na łamach katolickiego pisma społeczno-kulturalnego. Kilka lat temu ukazało się tam kuriozalne zdanie: *Natomiast gdy pytasz o Boga wkurzonego [sic!], to trzeba zrozumieć, że wkurzenie się [sic!] jest emocjonalną reakcją na niekorzystną sytuację, która ma prowadzić do zmiany* („TP” 2015, nr 18). Ani teolodzy, ani językoznawcy nie zainteresowali się tą dziwną wypowiedzią. Zadziwiająca głuchota językowa.

Sienkiewiczowi – bez względu na jego sympatie i poglądy polityczne – odmawiać Kozaków, a nawet czerni w stylu paszkwilu politycznego. Właśnie w opisach burzącego się ludu, w opisach Sycy zaporoskiej, [...] – właśnie wszędzie tam, gdzie dochodzi do głosu lud ukraiński, Sienkiewicz jest tak obiektywny, jak może być obiektywna tylko wielka sztuka), co sądzili o tym pisarstwie Jarosław Iwaszkiewicz, Jan Parandowski, Stanisław Lem, Jan Błoński, Paweł Jasienica, Stefan Kisielewski, Andrzej Bobkowski, Tadeusz Konwicki czy Piotr Wierzbicki.

I może by tak czasem nazbyt pewni swego, ale i za szybko piszący filolodzy („Trylogia” to arcydzieło literatury popularnej, wspaniała powieść przygodowa, wielkie czytadło – zapewniała z całą powagą znawczyni literatury), zagładnęli do prac historyków. Pięknie i mądrze pisał o pomniejszonym niekiedy Sienkiewiczu Wiesław Majewski: *Upłynęło przeszło 100 lat od napisania „Trylogii”. Jak jednak widać, w wielu wypadkach okazuje się, że Sienkiewicz lepiej orientował się w dziejach epoki, o której pisał swój cykl, od swych krytyków, historyków XX w., można go więc określić jako przodka nas, historyków. Zwrot „ku pokrzepieniu serc” nie oznacza bezkrytycznego poglądu na przeszłość. Można więc umieścić Sienkiewicza w nurcie historiograficznego krytycznego patriotyzmu* (Wiesław Majewski, *Sienkiewicz – przodek nas, historyków*, [w:] *Epoka „Ogniem i mieczem” we współczesnych badaniach historycznych*, zbiór studiów pod redakcją Mirosława Nagielskiego, Warszawa 2000, s. 104).

O dwóch zdaniach z interesującego, ze znawstwem napisanego szkicu o Jarosławie Iwaszkiewiczu: *I w końcu rzecz najważniejsza: po trwającej od pierwszych dni okupacji pomocy udzielanej Polakom narodowości żydowskiej [sic!] i wsparciu potrzebujących po powstaniu warszawskim, które w środowisku literackim zdążyło już przybrać wymiar legendy; W tym kontekście padło [w przemówieniu na ogólnopolskim zjeździe delegatów Związku Zawodowego Literatów Polskich we wrześniu 1945 r. w Krakowie – A.W.] osławione [sic!] zdanie: „Chciałbym [...], abyśmy ofiarne pracowali, abyśmy nie zamykali się w naszym gronie, aby nie głosili hasel bez podstaw, pamiętając także i o tym, iż wieże z kości słoniowej mogą być pomalowane i na czerwony kolor* (Radosław Romaniuk, *Vox humana*, „Twórczość” 2017, nr 2, s. 42–43).

Iwaszkiewicz miał udzielać w czasie okupacji pomocy Polakom narodowości żydowskiej. Ale pisarz nie znał i ni-

gdzie nie używał takiego dziwołogu nie tylko językowego. Pomocy udzielał Żydom polskim i Polakom żydowskiego pochodzenia (byli wśród nich zapewne i obywatele polscy narodowości żydowskiej, osoby o podwójnej tożsamości kulturalnej, Żydzi–Polacy i Polacy–Żydzi przywiązani do kultury polskiej i żydowskiej).

Kiedy Gomułka nastawał, aby kierowany przez Iwaszkiewicza Związek Literatów Polskich potępił w 1968 roku „syjonistyczne spiski”, pisarz odpowiedział: *Nie dlatego z narażeniem życia chronięm Żydów w czasie okupacji, aby teraz przylączyć się do tej nagonki...*

Zdanie o wieży pomalowanej na kolor czerwony cieszyło się dobrą sławą (wcale nie było osławione), stało się popularne, w skróconej formie zaczęło żyć życiem własnym (*Wieże z kości słoniowej mogą być pomalowane i na czerwony kolor*), powtarzano je z aprobatą, trafiło z czasem do słownika znanych cytatów (zob. Henryk Markiewicz, Andrzej Romanowski, *Wielki słownik cytatów polskich i obcych*, wydanie nowe poprawione i znacznie rozszerzone, Kraków 2007, s. 191).

A że nie wszyscy uczestnicy zjazdu delegatów zrozumieli aluzję, i poeta musiał w *Podróży do Patagonii* (1949) zrobić przypis – kiedy wspomniał o łódzkim domu ZZLP (*O nim to myślał autor, mówiąc w swoim czasie, że „wieże z kości słoniowej mogą być pomalowane na czerwono”*), to już inna sprawa.

Jeszcze o myleniu pochodzenia skądś z pochodzeniem etnicznym: *Poruszeni pogłoskami Niemcy rosyjskiego pochodzenia [sic!] zorganizowali nawet demonstracje w kilku regionach kraju* (Piotr Semka, *Sędzia nieznan*, „Do Rzeczy” 2017, nr 12, s. 7).

Niemcy, którzy przyjechali ze Wschodu po rozpadzie Związku Sowieckiego, określani są w Niemczech jako *Russlanddeutsche*, w Rosji – *rusckije niemcy*. Kilkaset tysięcy repatriantów niemieckich przyjętych w latach 1989–1992 przez RFN – to nie *Niemcy rosyjskiego [sic!] pochodzenia*, ale Niemcy etniczni z Kazachstanu, Federacji Rosyjskiej, Kirgistanu i innych krajów należących kiedyś do ZSRR. Co innego pochodzą z Rosji, a co innego być pochodzenia rosyjskiego. Pochodzenie niemieckie obywateli b. ZSRR było przecież warunkiem przesiedlenia. Niektórzy *rusckije niemcy* mogliby udowodnić swoje niemieckie pochodzenie od osadników jeszcze z czasów carcy Katarzyny II; do 1941 roku większość Niemców mieszkała w europejskiej części ZSRR, m.in. na Powołżu,

gdzie po rewolucji utworzono autonomiczną republikę Niemców Powołża, i na południowej Ukrainie. Latem 1941 Niemcy, obywatele sowieccy, zostali deportowani do Kazachstanu i na Syberię Zachodnią (Kraj Altajski i obwód omski).

Utalentowana pisarka (sztuka opowiadania + dar odczuwania historii) w powieści z czasów pierwszych Piastów włożyła w usta bohaterów słówka i wyrażenia z dzisiejszej, nazbyt potocznej polszczyzny pochodzące:

Sven zaśmiał się nieoczekiwanie. Potrafił wybuchnąć śmiechem gwałtownym jak ogień.

– Srebrny Ole! Do dupy [sic!] z tym wszystkim! Olaliśmy [sic!] ich i przyplynie tutaj po żywe srebro. Wywalczyliśmy je mieczami w Maldon!

– Nie ściemniaj [sic!], Svenie! Nie przede mną. Zarobisz i wrócisz odbić swój kraj z rąk Erika – syknął Olav.

Odległe czasy Mieszka I, Bolesława Chrobrego i jego za mało znanej siostry – Świętosławy, a bohaterowie mówią niekiedy językiem współczesnych gimnazjalistów. Wiadomo, postmodernizm. Prawie wszystko wolno. Ale znakomita autorka zapomniała, zdaje się, że w tamtych czasach *dupa* (obocznie: *dup*) nie była słowem wulgarnym, jeszcze nie nadawała się do wyrażenia obelżywych; było to niewinne określenie *jamy, wnęki, nory, dziury* czy *dziupli*. W *Słowniku staropolskich nazw osobowych* można znaleźć wiele nazwisk związanych etymologicznie z tym słowem: Johani Dupa, Laurencius Duppa, Jacobus Dupa, Sophiae Dupczanka, laszek Dupewsky, a także: Dupski, Dupny, Dupka, Dupiński i Dupieński. Zapisy pochodzą z XIV i XV w., nikogo, widać, te nazwy osobowe wtedy nie raziły.

Dopiero w drugiej połowie XV wieku *dupa* stała się eufemizmem, tak zaczęto nazywać zamiennie *rzyć*. Z czasem *rzyć* uległa dewulgaryzacji, a neutralna dotąd *dupa* stała się określeniem wulgarnym. *Rzyć* istnieje dotąd w wielu gwarach, m.in. w Wielkopolsce, na Śląsku czy na Podhalu. I fruwa ciągle ptaszek o nazwie *białorzytka*. Nawiasem: zrost *pasorzyt* od 1936 roku zaczęto pisać inaczej – *pasozyt*; ówczesni właściciele języka tak zadekretowali. I zubożyli taki udany ciąg zrostów: *pasigęba, pasibrzuch, pasorzyt*.

Słowo *ściemniać* też nie pasuje do zamierzczłych czasów, a brzydalstwo *olewać* niedawno trafiło z gwary przestępczej do języka młodzieżowego, stamtąd dopiero do słownika niektórych piszących. Nie wszyscy

Marek Migalski dorzuca swoje pięć groszy do kwestii polityki zagranicznej („Rzeczpospolita”): „[wizje „polityki jagiellońskiej” braci Kaczyńskich i „polityki piastowskiej” Tuska i Sikorskiego] miały jedną niebagatelną zaletę – były jakieś. Były koherentne i oparte na pewnej wewnętrznej logice.

„Polityka” 2017, nr 8, s. 130
A może to były trzy grosze?

Podaję, że w przeszłości dramat Adama Mickiewicza uznawano jako bardzo nowatorski.

– Ja nie muszę tego podejrzewać, ja to doskonale wiem. Wielokrotnie mówiłem, że nowatorskość formy czwartej części „Dziadów” może zdumiewać. To jest tekst napisany zgodnie z prawidłami dramatu psychologicznego, który zaczęto uprawiać w Europie prawie sto lat po Mickiewiczu. To dramat napisany z niesły-

„Gazeta Wyborcza” 2017, nr 41; dod. „Festiwale toruńskiej Od Nowy”, s. 4
Czy nie lepiej: przypuszczać albo sądzić czy myśleć?

wiedzą, co ono znaczy naprawdę i od czego pochodzi. Felietonista „Tygodnika Powszechnego” napisał niedawno, że coś lub kogoś *serdecznie olewa*. Zapomniał (nie wiedział?), że *olewanie* z pęcherzem się przestępcom kjarzyło, nie z sercem.

Coś się stało z wrażliwością językową naszej klasy (piszącej).

Tyle wzmówień i nieścisłości znalazło się w ambitnej książce Jerzego Besali – *Tam kiedyś była Rzeczpospolita. Ziemie ukraińskie*, Poznań 2016, Zysk i S-ka Wydawnictwo. Zawinił autor, ale zawiniłi też redaktorzy, że o recenzencie naukowym nie wspomnę.

Dygresja o Ormianach w dawnej Polsce: *Ormianie wnieśli dużo do kultury polskiej. Najbardziej znani to urodzony pod Zamościem* [poeta urodził się we Lwowie, a zmarł w Czernińcu pod Zamościem – A.W.] *absolwent lwowskiej szkoły katedralnej, a potem starannie wykształcony w Krakowie i na Zachodzie Szymon Szymonowicz, autor pięknych „Sielanek” i innych dzieł. Szymon Zimorowicz zaznaczył swą obecność między innymi poematem miłosnym „Roksolanki, to jest Ruskie panny”, wydanym w 1629 roku* (s. 73).

Szymon Szymonowicz nie był Ormianinem z pochodzenia, jego przodkowie wywodzili się z Ziemi Łęczyckiej, jego ojciec pisał się – Szymon z Brzeziny. Niektórzy badacze pomylili kiedyś Brzeziny w Łęczyckiem z Brzeżanami Ziemi Lwowskiej, gdzie rzeczywiście siedzieli Ormianie Szymonowicze. A bracia Zimorowice, synowie kamieniarza Ozimka, też chyba nie z Ormian.

Mylenie postaci: *a Maciej Strykowski „z urodzenia Rusin, z narodowości Polak”, nazwał Lwów „głową wszystkich Rusi”* (s. 88). Po co Orzechowskiego nazywać Strykowskim? To Stanisław Orzechowski z ziemi przemyskiej rodem mawiał o sobie: *gente Roxolanus (Ruthenus), natione Polonus*. Mazur Strykowski pochodził z Łęczyckiego.

Wmówienia o Stanisławowie (s. 96): *Po odzyskaniu niepodległości w 1918 roku Stanisławów stał się stolicą województwa o największej procentowo liczbie Polaków na kresach* [sic!]. *Zapewne to zdecydowało o tępieniu polskości na tych ziemiach zarówno przez NKWD, jak i gestapo, które zamordowało około 250 przedstawicieli inteligencji polskiej na podstawie list sporządzonych przez Ukraińców* (mord w Czarnym Lesie w sierpniu 1941 roku).

Na ziemiach wschodnich II Rzeczypospolitej najwięcej Polaków (procentowo) mieszkało w województwach

wileńskim, nowogródzkim, tarnopolskim i lwowskim. Województwo stanisławowskie zajmowało trzecie miejsce od końca, wyprzedzało jedynie wołyńskie i poleskie.

O Pokuciu: *Osobliwością tej krainy stała się ludność Huculów, Bojków i Łemków o wyraźnie odrębnych cechach kulturowych* (s. 100). Te trzy grupy etnograficzne nie zmieściłyby się na niewielkim Pokuciu. Tylko Huculi tam mieszkali (stąd zamiennie określenie – Huculszczyzna), Bojkowie siedzieli na zachód od nich, między Łomnicą a źródłami Sanu, a Łemkowie daleko, daleko, jeszcze bardziej na zachód, za Bojkami, w Beskidzie Niskim, do 1947 roku sięgali aż po Krynicę.

Błędna odmiana i pisownia nazw miejscowych: *w Śniatyniu* (s. 74), *przez okolice Śniatynia* (s. 229), *uradowali się w Husiatyniu* (s. 232), *w Czehryniu, Czehrynia* (s. 346), *w Czehryniu, Czehryń* (s. 347, 349, 357). Nawet na mapie (po stronie tytułowej) błędnie: *Czehryń, Śniatyń*.

Powinno być: w Śniatynie, Śniatyna, Husiatynie, Czehrynie, Czehryna, Czehryn, Śniatyn.

O unii horodelskiej: *Litewska szlachta katolicka została zrównana z polskimi rodami, a do polskich herbów przypuszczono 27 [sic!] rodów bojarskich z Litwy* (s. 119).

Tych bojarskich rodów katolickich przypuszczonych przez szlachtę polską do herbów było więcej, nie 27, ale 47.

Dodatkowe województwo: *Na terenach województwa podolskiego [sic!] utworzone w II Rzeczypospolitej...* (s. 259). Nie było takiego województwa przed wojną, dawne Podole austriackie leżało w Tarnopolskiem.

Materii pomieszanie: *Pokój ryski z 1921 roku pozostawił na wschodzie około miliona Polaków; znaczna część mieszkała w zwartej grupie właśnie koło Żytomierza. Stolicą tego autonomicznego okręgu polskiego [sic!] został Dołbysz (ukr. Dowbysz), którego nazwę w 1926 zmieniono na Marchlewszczyznę [sic!], od nazwiska polskiego rewolucjonisty komunistycznego* (s. 366).

Nie było nigdy na Ukrainie sowieckiej autonomicznego okręgu polskiego. W 1926 roku na Wołyniu, niedaleko polskiej granicy, utworzono – zgodnie z obowiązującą wtedy w ZSRR polityką *korienizacji* (autochtonizacji) – niewielki Polski Rejon Narodowościowy im. Marchlewskiego (41 906 mieszkańców, w tym 68% Polaków), Dołbysz przemianowano na Marchlewsk, a *polrejon* zaczęto nazywać Marchlewszczyzną.

Po co tak szybko pisać książki, po co je tak szybko wydawać?

BARTOSZ SUWIŃSKI

LEKTURNIK 1

*

Czytam wiersze Jerzego Lieberta: to poezja, która karmi się smutkiem pochowanym głęboko w sercu, lotem portarganego przez burzę motyla, momentem przesilenia lata, kiedy wszystko na moment zastyga i drży. To prosta melodia znoju, którego przeznaczeniem okazuje się liche płomień gromnicy. Nad kolejnymi wersami płyną chmury uszyte z jutowych worków. „Najpiękniejsza poezja – czytamy w wierszu *Rozmowa o Norwidzie* – to są zwykłe słowa”.

*Daleko na polach sinych
Zwał chmur nad lasy urasta,
Jak dobrze, jak bardzo dobrze
Opuszczać gorące miasta.*

*I jeszcze jaśmin tu pachnie,
I świerszcze deszczu szeleszczą,
Tych kropli, tysiąca kropli
Serca malutkie nie zmieszczą
(3 lipca 1923)*

*

Zastyganie widzenia w dobrze skrojonej formie wiersza, możliwie skrytej, a zarazem szeroko otwartej, na przygody spojrzenia złaknionego przedstawień (z) natury. Pejzaż jest wytchnieniem, ostoją na spienionym morzu dni. Wiersze bywają zauroczone chwilą, sięgającą swymi granicami do splątanych nurtów podziemnych soków, korzeni, z których idą pędy, późniejsze pauzy w zawierusze istnienia poety, kiedy przeobleką się w liście, kwiaty. Będą nęcić i wodzić, brać na siebie słowa. Dalej przystanki wzroku adorującego trawy, leszczyny i kaczęce. *Ptaki o gardle szarym jak popiół / wydziobują słowa na progu imperium / snu*. Michael Krüger bacznie flirtuje z opowiadającą się szczegółowo rzeczywistością – jest przy niej, tu ściele swoje posłanie. (M. Krüger, *Pejzaż z drzewem*, wybór i tłum. A. Kopacki, szkice A. Zagajewski, A. Kopacki, Warszawa 2013).



Prof. Susan Yelich-Biniecki

NIE BIJA, A BOLI

Z prof. Susan Yelich-Biniecki z Kansas State University rozmawia Barbara Stankiewicz

– Przyczyny i skutki mikroagresji – to temat szczególnie Pani bliski, a w Polsce stosunkowo mało znany. Co się kryje pod pojęciem mikroagresji?

– Ten człon „mikro” jest kluczowy, bo nie o oczywistą agresję tu chodzi, ale o mowę ciała, drobne uszczypliwości, komentarze, żarty, pytania, sposób zwracania się do drugiej osoby (najczęściej nieświadomy, ale nacechowany pewnym rodzajem wyższości wynikającej z przynależności do większości). W takim zachowaniu często odbijają się stereotypy dotyczące np. grupy, do której należy rozmówca – może to być mniejszość narodowa, religijna, orientacja seksualna, to może być człowiek różniący się od nas kolorem skóry, statusem materialnym... Albo człowiek innej płci, np. kobieta, która pracuje w zespole zdominowanym przez mężczyzn...

– Jakiś przykład?

– Myślę, że dla wielu kobiet będzie to przykład bardzo czytelny, bo doświadczyły takiej sytuacji: jest narada, w której bierze udział grupa pracowników – kilku mężczyzn i kobieta. Z reguły wszyscy wszystkich słuchają z uwagą – do momentu, kiedy głos zabierze kobieta. Co robią wtedy mężczyźni? Zerkają na zegarek, rozmawiają ze sobą, czasem wychodzą. Albo np. tłumaczą kobiecie jakąś sprawę w protekcyjny sposób, z przekonaniem, że ma ona na ten temat mniejszą wiedzę niż oni... Tym samym wysyłają – świadomie lub nie – czytelny komunikat: ty i to, o czym mówisz, jest dla mnie mniej ważne...

– Nie biją, a boli.

– Mikroagresja jest dość subtelną formą dyskryminacji, która komunikuje komuś, że powinien być inny niż jest. Komunikuje – raniąc drugą osobę, sprawiając jej przykrość. A jeśli nie był to tylko incydent, bo z podobnymi komunikatami miała do czynienia często, rodzi się w niej

złość, frustracja i poczucie mniejszej wartości. Derald Wing Sue, profesor psychologii doradztwa na Uniwersytecie Columbia, który zajmuje się mikroagresją, dowodzi w swojej książce „Mikroagresje w codziennym życiu” („Microaggressions in Everyday Life”), że może ona mieć głęboki i szkodliwy wpływ na otaczające nas osoby; pisze, że to śmierć zadana nie jednym ciosem, ale poprzez tysiące drobnych ukłuć.

– Podkreśliła Pani, że te sygnały niekoniecznie muszą być świadome...

– Często nie zdajemy sobie sprawy, jak delikatnych strun dotykamy, dopóki ktoś naszych nie trąci. To kwestia empatii. Bo czasem, kierując się dobrymi intencjami, chęcią pochwalenia kogoś czy wsparcia, odnosimy skutek zgoła przeciwny od zamierzonego. Kiedy mówię do Azjatki, której rodzina mieszka w Stanach Zjednoczonych dłużej niż moja rodzina: „Jak ty świetnie mówisz po angielsku!”, ona słyszy w tym: „Jak to możliwe, to nie do wiary, że ktoś taki jak ty, tak dobrze opanował język angielski”. Albo inna sytuacja, z którą miałam do czynienia: panie w przedszkolu skarżyły się mamie jednego z dzieci, które miały pod opieką, że jej dziecko nie zachowuje się właściwie. Argumentowały: „Nic dziwnego, skoro pani tak dużo pracuje”. Ta kobieta pełniła służbę jako oficer w wojsku (na marginesie: myślę, że gdyby dziecko wychowywał tato – nie przyszedłby im do głowy podobny komentarz). Ta kobieta dostała jasny przekaz: „jesteś nie-dobrą matką”, mimo że pani z przedszkola pewnie miała dobre intencje. Z nieświadomą mikroagresją spotykają się często obcokrajowcy. Może ona wyrażać się np. w zdumieniu wykładowcy, kiedy student, cudzoziemiec, udzieli poprawnej odpowiedzi: „O, to ty o tym wiesz?”. Jak brzmi ten przekaz? „Miałam cię za niezbyt mądrego, a ty mnie zaskoczyłeś”.

Świadomość, jak bardzo raniące są podobne sygnały, składające się na pojęcie mikroagresji, jest szczególnie

ważna dla pedagogów, dla osób kierujących grupą podwładnych. Podkreślam słowo „świadomość”, bo tu nie chodzi o jakąś autocenzurę, ale o prawdziwe zrozumienie tego problemu. A przede wszystkim o umiejętność usłyszenia swoich słów z perspektywy drugiego człowieka.

– Łatwiej nam przyjąć, że rozmówca, niechcący przez nas dotknięty podczas rozmowy, jest po prostu przewrażliwiony...

– I dlatego właśnie skutki mikroagresji są tak poważne. Bo nie dość, że jej ofiara cierpi, to jeszcze często próbuje przejawy mikroagresji zignorować lub wyprzeć, ponieważ nie chce być posądzona o nadwrażliwość, robienie problemu z niczego. Tym bardziej, że słyszy: „przestań, no co ty”, albo – „przecież nic się nie stało, nie histeryzuj, nie przesadzaj”... Bo musimy pamiętać o tym, że nieświadomie traktujemy taką sytuację jak incydent, tymczasem ten człowiek spotyka się z nią często, dla niego to jest kolejny podobny komunikat, że coś z nim jest nie tak, kolejny raz poczuł się upokorzony, zawstydzony...

– Na Kansas State University prowadzi Pani zajęcia z przedmiotu społeczne podstawy edukacji dorosłych. Kim są słuchacze?

– Zajmuję się pedagogiką ludzi dorosłych, czyli andragogiką. Moimi słuchaczami są m.in. wysoka kadra dowódcza armii amerykańskiej, kadra zarządzająca szpitala, administracja wyższej uczelni, nauczyciele, którzy uczą imigrantów angielskiego... Wiedza o przyczynach i skutkach mikroagresji jest szczególnie cenna dla ludzi zarządzających zespołem, dla menedżerów, szefów, bo łatwiej się zarządza ludźmi, co w końcowym efekcie przekłada się na wynik finansowy firmy, choć nie tylko o pieniądze przecież chodzi...

– Niektórzy przełożeni robią wrażenie, jakby sądzili, że mikroagresja wzmacnia ich autorytet, zwiększa skuteczność działania, a empatia jest wadą.

– Podam przykład z pewnego uniwersytetu w Stanach, na którym pracowali pochodzący z Czech bracia. Okazało się, że dziekan, zwracając się do nich, ani razu nie użył ich imion czy nazwisk, a mówiąc o nich używał zwrotu: „ten Czech”. Tym samym wysyłał komunikat, że nie traktuje ich zbyt poważnie, że w odniesieniu do nich

wystarczy sam kraj pochodzenia. Oczywiście, „tego Czecha” możemy sobie zamienić na „tę Polkę”, wtedy łatwiej nam będzie zrozumieć samopoczucie ludzi, do których dziekan się zwracał. Zresztą nie trzeba daleko szukać, przecież wiadomo, że w Stanach Zjednoczonych popularne były do niedawna dowcipy o głupich Polakach, owe *polish jokes*... Łatwo sobie wyobrazić, jak się czuje Polak, którego po raz kolejny poczęstowano takim dowcipem. Stawianie się na miejscu drugiej osoby i wyobrażenie sobie, jak może się czuć – takie ćwiczenie empatii zawsze daje wgląd w siebie i pomaga zrozumieć własne ograniczenia.

– To coś więcej, niż tylko ostrożność, kontrolowanie swoich słów...

– Studenci, z którymi pracuję, zwykle na początku zajęć mówią o potrzebie cenzurowania wypowiedzi, polemizują: „przecież mógł mi zwrócić uwagę, że moja uwaga go dotknęła”.

Ano niekoniecznie mógł, bo np. była to uwaga przełożonego... Z czasem zaczynają rozumieć, że tu nie chodzi o cenzurę, wyeliminowanie pewnych słów, ale o zmianę sposobu myślenia, o zwracanie uwagi na kontekst.

– Tylko jak nad tym pracować?

– Nic tak nie pomaga w zrozumieniu problemu, jak doświadczenie podobnej sytuacji. W środku semestru rozdaję studentom tzw. ankiety wydarzeń krytycznych. Przykładowe pytania: kiedy czuleś się najbardziej zaangażowany na mojej lekcji, kiedy nie, kiedy coś cię dotknęło, a kiedy i co cię zaskoczyło? Dzięki tym ankietom wiem, co mogę jeszcze poprawić, na co zwrócić uwagę na kolejnych zajęciach. Jednocześnie dowiadujemy się, co jeszcze dzieje się podczas naszych uczelnianych kontaktów, co nam przeszkadza, co wpływa na nasze samopoczucie. Studentka na przykład skarży się, że ilekroć zabiera głos, ktoś jej przerywa. Rozmawiamy o tym, okazuje się, że grupa nie zdawała sobie z tego sprawy.

– Z dużą zazdrością słucham tego, o czym Pani opowiada. Bo w Polsce trudno mówić o mikroagresji, prawdziwym problemem jest otwarta agresja, hejt. Na niuanse komunikacji nie mamy czasu i energii (a w wielu wypadkach, niestety, także ochoty) – trzeba być ciągle przygotowanym na prawe i lewe sierpowe hejtu w rodzaju:

„najgorszy sort”, „czerwona hołota”, „lewacki pomiot”, „lesba”, „katol”, „pisuar”. A zwrot – „polityczna poprawność” brzmi jak obelga...

– „Polityczna poprawność” to zwrot, którego ja już też nie używam, bo te słowa znaczą dziś coś zupełnie innego. Mam wrażenie, że politycy nam je ukradli, zawłaszczyli. A poza tym – tu nie o politykę przecież chodzi, tylko o budowanie prawdziwej wspólnoty, w której każdy czuje się dobrze, bez względu na to, jakiej jest płci, rasy, wyznania, bez względu na status ekonomiczny i orientację seksualną. To proces prowadzący do autentycznej akceptacji faktu, że jako społeczeństwo nie jesteśmy jednorodni, różnimy się i pozwalamy na to, żeby takimi być, że szanujemy swoją odrębność.

– Ba! Dziękuję za rozmowę.



Kadr z serialu animowanego pt. „Sąsiedzi”

AGNIESZKA KANIA

UCIECZKA Z OBRAZAMI

Co zrobić z popsutym piecem? Naprawić, to oczywiste. Zdarzają się jednak usterki, które przerastają majstrów, nawet tych z papierami mistrzowskimi. Chociaż stukają i przedmuchiują, spuszcza wodę i dokręcają śruby, sprawdzają filtry i przepychają wężyki, usprawniają pompy, kręcą, dłubią i świdrują, regulują i uszczelniają, zaciskają i kombinują – to junkers ani drgnie.

– To wina kaloryferów – ogłasza szef brygady i zabiera się za wymianę pokręteł. Nagle rzuca okiem na rury. – Za dużo. Musimy skrócić obieg. – W środku zimy? – pytam nieśmiało. – Uwinimy się raz dwa – obiecuje. Wyjmuje piłę tarczową i widzę, że celuje w sam środek „Mostu w Pińczowie” Buckiego. – Zniszczy pan! – krzycząc i zasłaniam sobą płótno. – Co pani, przecież piła nie chwyci obrazu.

Szukam innej ekipy; specjaliści przyjeżdżają po kilku dniach, badają i znów stukają i tarmoszą, grzebią w palniku i termostacie, suszą uszczelki, czyszczą zatkałe tuleje i wymieniają pompy na lepsze, szybsze, o większej

mocy. – Piec chodzi, tylko że nie grzeje – mówi wreszcie kierownik. – Winny jest bojler. Trzeba kupić nowy.

Myjemy się w zimnej wodzie, śpimy pod kilkoma kołdrami, nawet pies, gęsto owłosiony Szogun, szczeka zębami i kręci nosem. Po tygodniu zjawia się listonosz. Jesteśmy uratowani! Podpisuję odbiór paczki i wołam tych od kotłów. – To jednak nie baniak – mówi po chwili majster.

Mariusz przytargał tymczasem kozę (wyszperał ją na starociach: żeliwną, kutą na cztery nogi, pomalowaną na czarno specjalną farbą), wybił dziurę w ścianie kominowej i wstawił tam rurę z kwasiaka, kupił też grube polana z drzew owocowych, przyniósł świerkowe szczapy i wyruszył do lasu po chrust na rozpałkę. Ciepło przyszło z dymem, pokój zaczął się, zapylił i przyprószył kurzem, oczy zapiekły, usta wyschły, w każdym kącie czuć było swąd smażonego plastyku. Spalona farba skwierczała, czerni łuszczyła się i odlatywała płatami z piecyka: z jego rzeźbionych drzwiczek, pokrywy i popielnika, ukazując

rdzę i pęknięcia. Farba nie była odporna na ogień, za to świetnie tuszowała dziury i szczeliny. W jednej chwili obrazy, książki i notatki, koguty z porcelany i drewniane koniki na biegunach pokryły się plamami, sufit zbrzązował, a szyby zmatowiały od szadzi. – Uciekamy! – zarządziłam.

WIEPRZKI W GARDENIE

Ale nie tak łatwo rozstać się z Półwsią. Jak zostawić Edka i jego lusterka z audika zamontowane w oknach szlafciemu (nikt się nie prześlizgnie, ani człowiek, ani czworonóg), jak pożegnać wąsatego, czerwonego na twarzy Bernarda, który się odgraża, że zastrzeli Szoguna. – Krowy mleka nie dają, odkąd ten dzikus bryka po uwrociach! – krzyczy (uwrocie to łąka, gdzie można zawracać końmi). – Żeby go tak baba żytnia ubiła, a niech go porwie kozioł odarty solą natarty – złości się z traktora. – Pies chodzi na smyczy – próbuję usprawiedliwić futrzaka. – Już od samego patrzenia na hunda mućkom schną wymiona. – To niech się gapią pod nogi – mruć, ale rolnik ma uszy jak zajac. – I jeszcze się mądrzy chazajka, spacerków się jej zachciało – psioczy, a oczy robią mu się wtedy białe i wściekle.

Czy można ot, tak zostawić podchmielonego Johana? On co rano ciągnie karetkę (drewniany wózek z długim dyszlem) zawaloną złomem, noga za nogą wlecze się aż za farę, na plac koło Piechotów. Tam sprzedaje druty i menażki, części żeliwnych pieców i kolanka, rury wydechowe, zardzewiałe klamki, śruby i pokręta, a zarobione złotówki wymienia na piwo w butelkach. – Kiedy cię widzę, sąsiadeczko, od razu mi się serce raduje – woła, jedną ręką zdejmując beret, drugą podciąga opadające spodnie, bo ostatnio bardzo schudł.

Jeszcze trudniej odejść od szczerbatego Tośka. – Ja zech się urodził dyrektorem – tłumaczy i wyklóca się z prezesami firm, kierownikami sklepów i śmieciarzami, bo tamci mają swoje zasady, a on swoje.auta nie prowadzi, okolicę objeżdża na kole; wygalantowany, w niedzielnym ancugu, wydaje polecenia. Temu każe sprzątać po foglach, co moroszą przy laubie, tamtemu wypomni brudną ślepe w dachu, to przewróci oleje przy werkszteli, gdzie parkują same beemki, to znów naburmuszy się z powodu złamanej ławki pod apfelbaumem. On w najciemniejszym kącie ogrodu wypatrzy zdziczały mangold i z daleka wyczuje nadgnity agrest. – Synu – mówi mi – kaj ty łazisz, nie ma cię doma, a tu wieprzki mrą w gardenie.

Ale co było robić. Zaczęłam się rozglądać za budua-rem. Cekał niedaleko teatru, brudny, zapuszczony, lecz w stylowej kamienicy, którą upodobał sobie muzyk i poeci. Mieszkanie niewielkie, za to wysokie, w sam raz dla kolekcji obrazów (przecież nie zostawię ich w zimnym domu).

KTO PODROBI POLNARA?

W czasach PRL-u do drewnianej podłogi przybito linoleum, pod sufitem zawisły kasetony ze styropianu, a przedpokój zasłoniła plastikowa boazeria. Drzwi zapakowano zieloną farbą, pokoje zrobiono na szaro i brunatno, pachniało tam skórą, pastą do butów i naftaliną. W kuchni natomiast piętrzyły się szafki i szafeczki, półki, skrzynki, stoliki, komódki, pudełka i słoiki. Całość sprawiała przygnębiające wrażenie. Jedynie salon z wykuszem, pobielony, bez sztucznych lamperii i wykładziny, zachęcał do wejścia. Stało tam wąskie, twarde łóżko, a nad nim ryngraf z orłem w koronie. Po dwóch stronach drzwi balkonowych umieszczono pianino Klingmanna i trzydrzwiowy bufet z orzechową politurą (projektował go sam Jindřich Halabala). – Niemca i Czecha zostawiam – powiedział właściciel – resztę gratów zabieram.

Krystian Ressel ma papiery mistrza i uczniów z do-brzenieckiej budowlanki pod opieką. Czeladnicy wzorują się na pryncypale, patrzą, słuchają i wykonują jego polecenia. Zerwali okleiny, wyheblowali i nawoskowali deski, oszlifowali portale, spiłowali boazerie, wyczyścili okucia, natarli oliwą zawiasy, wygładzili mury, zaszpacchlowali dziury w ościeżnicach i pomalowali parapety. Obiecali też pomoc przy przeprowadzce. Umówionego dnia przyjechali pod dom na Półwsi, wynieśli stoły, krzesła i kanapę, fotele, komodę i bielizniarkę, na koniec zdjęli ze ścian akty, pejzaże i abstrakcje. Zaczęło się pakowanie. – Ostrożnie – wołam z kuchni, gdzie owijam w gazety talerze i wazy. – Nie takie cuda woziliśmy na pace. Dupne lustra targaliśmy do Opola. I pokazują, jak ogromne były te kryształki, wyższe niż Damian i Kamil. – Lustro to pestka, jak się zbije, to kupicie nowe. A dziura w obrazie to koniec. Malarz nie żyje, który z was podrobi Buckiego czy Polnara? – Ja bych tam nabazgrał gołą babę – chwali się Patryk.

Zasłaniam meble, pakuję do pudeł szpargały, ubieram w kołdry oleje i gwasze, ukrywam w pierzynach Szejnweisy i Moryty, owijam kocami akwaforty i linoryty, a potem stoję na pace i podtrzymuję je w czasie jazdy. Koło szóstej majster ogłasza fajrant. – Jeszcze tylko książki – pro-

szę nieśmiało. – Wszystkie? – pyta Kamil i liczy w myślach tomy. – To jakieś sześć tysięcy! – Tylko te ważniejsze – zachynam, ale zaraz kapituluję. Przywiozę sobie na raty.

GLEBOKI CIEN

– Naprawiłaś dziurę? – pyta Jolanta Golenia-Mikusz, malarka po krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Siedzimy w pokoju z wykuszem, prawie pustym, jeśli nie liczyć dwóch stolików z targu staroci, kilku krzesel i bufetu. Na ścianach wiszą już obrazy, z głośników sączy się muzyka, salonik bardziej przypomina kawiarnię niż buduar. – W półmroku nie widać skaz – tłumaczę. – Ale dziura znikła – upiera się artystka. – Przewidziało ci się. To tylko światło. Jola podrywa się z krzesła i podchodzi do płótna. – A nie mówiłam. Zaspachlowana! Fiu, fiu, niezła robota.

Na początku roku 2000 często zaglądałam do Galerii Studziennej, kręciłam się koło „Zmierchu” i wymyślałam go u siebie. Pewnego dnia przywiozłam płótno do starego domu na Półwsi i postawiłam pod ścianą w dużym pokoju.

– Sztuka to świętość – mówiłam synowi. Miał wtedy pięć lat i naturę psotnika. Grał w piłkę nożną z wilczurem Tarzanem, celował z procy do śliwek w kącie ogrodu i jeździł na wrotkach po kuchni i przedpokoju. Z pracy wracałam pod wieczór, kładłam się na kanapie i wpatrywałam w abstrakcję Ewy Balas. W krwistych czerwieniach poszukiwałam nowych kształtów, wypatrywałam cieni pośród brązów i bordo, zarysu otwartej księgi pod górną ramą i śladu po bijącym sercu na środku obrazu. Odkrywałam postacie ukryte w granacie i niewyraźne sylwetki zagubione w poczeriałym tle. Ale najbardziej lubiłam smugę w prawym dolnym rogu. Sprawiała wrażenie, jakby ktoś przez nieuwagę upuścił wiadro pełne światła i jasność rozlała się po płótnie.

Nagle zobaczyłam tam dziurę. I to dużą. Na trzy palce. – To cień – pochlipywał Sebastian – tylko że głęboki.

Już miałam huknąć, zmyć mu głowę, ciskać gromy, ale słowa, których użył, przypomniały mi inną historię, tę sprzed czterystu lat. 17 lutego roku 1600 padał drobny deszcz. Skazańca wepchnięto do wozu zaprzęzonego w woły; dwukółka nie mieściła się w wąskich uliczkach Rzymu, końce uprzęży zahaczały o cegły i klinowały się w szczelinach murów, dlatego też woźnica skręcił w tłumne drogi. A tam zaraz ustawił się pochód. Mieszkańcy wygrażali pięściami, krzyczeli i pluli w stronę więźnia. Mężczyzna wychylił się i powiedział półgłosem: – Jestem głębokim cieniem. Nie męczcie mnie.

Urodził się pięćdziesiąt dwa lata wcześniej w mieście Nola, w domu najemnego żołnierza i wieśniaczki. Od wczesnego dzieciństwa był głodny wiedzy, posłano go więc do Wenecji, gdzie wstąpił do zakonu Dominikanów (syn ubogich rodziców nie miał szans na studiowanie). W 1572 roku wyświęcono go na księdza, trzy lata później obronił doktorat z teologii i wyjechał do Rzymu. Charakter miał wybuchowy, toteż posprzeczał się z bratem zakonnym, doszło do jakiejś szamotaniny, bójk i śmiertelnego wypadku. Zaszczuty i ścigany za zabójstwo porzucił habit i w przebraniu cieśli krążył po Turynie, Padwie i Mediolanie. Pewnego dnia przemknął do Genewy (gdzie poznał i polubił kalwinizm), potem udał się do Tuluzy. Tu zabawił trochę dłużej, zdążył nawet napisać doktorat z filozofii Arystotelesa i przyjął katedrę na uczelni. Lecz znów wyszła na jaw jego skłonność do kłótni. Wyżwał słuchaczy od matolów i uciekł do Paryża.

We Francji zamknął się na kilka dni, wziął pióro do ręki i zadedykował królowi rozprawę *De umbris idearum* (O cieniach idei). Za chwilę wykladał już w Oksfordzie i znowu się potknął, bo tym razem skrytykował angielskie społeczeństwo. Ktoś życzliwy doradził mu Niemcy: otarł się o książęce dwory i szkoły, błyszczał i uwodził kobiety, aż któregoś dnia dopadła go nostalgia, postanowił zatem zobaczyć, co nowego w Wenecji. Zaprosił go do siebie bogaty patrycjusz Giovanni Moceni. Zamieszkał u niego w pałacu przy Canale Grande, przytył, nabrał rumieńców, dużo czytał i medytował, a wieczorami wprowadzał gospodarza w tajniki pamięci albo udzielał mu korepetycji z magii i czarnoksięstwa. Szybko się jednak znudził. Uczeń nie należał do pojętnych, był za to mściwy. Podejrzał, jak mistrz szykuje się do drogi, i złożył na niego donos do Trybunału Inkwizycji.

Kiedy w maju 1592 roku Giordano Bruno przestąpił próg celi więziennej, miotał się i krzyczał, wygrażał pięściami i wyzywał strażników od baranów. Zarzucono mu herezję: uważał, że poza naszym istnieje wiele innych światów (każdy z nich ma swoją duszę – *Anima Mundi*), tłumaczył, że Ziemia się kręci, mówił, że Chrystus nie był synem Bożym, lecz człowiekiem (co prawda najpiękniejszym w dziejach rodzaju ludzkiego). – Czy potomek stwórcy prosiłby o uchylenie kielicha gorzkości? – pytał sędziów podczas przesłuchania. Nie wierzył w piekło i niepokalane poczęcie, kapłanów nazywał osłami, a mszę świętą zbytkiem.

Tamtego dnia nagi wszedł na stos, grały dzwony, chrust palił się szybko, ale mokre polana długo nie chciały się zająć. Wreszcie zapłonęły na czerwono, bordowo i granatowo. Jak „Zmierch” Ewy Balas, obraz z głębokim cieniem pośrodku jasnej smugi.

Czeladnicy z firmy pana Ressela musieli się niezłe przestraszyć. Zobaczyli dziurę i pomyśleli, że powstała podczas przeprowadzki. Nie wpadli jednak w panikę. Naciągnęli płótno, wygładzili poszarpane koło przedarcia brzegi, położyli szpachlę, dobrali kolor, biel pomieszali z umbrą i pomalowali szerokim pędzlem, pewnie tym samym, którego używają do bejcowania podłóg. I udało się. Nawet malarka z dyplomem Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie pochwaliła ich dzieło.



Suknia inspirowana fakturą szkła prasowanego Drostów (fot. Jakub Woźniak)

ELŻBIETA GOSŁAWSKA

DUET Z CERAMIKĄ W TLE

Okres PRL-u, szczególnie lata 60. i 70., kojarzą się Polakom z brakiem towarów na rynku, szarością i bylejąkością różnych produktów. Jednak te czasy to również okres świetności polskiego szkła, ceramiki i wzornictwa przemysłowego. Po wojnie nasz kraj miał fabryki, surowce, technologie i znakomicie wykształconych projektantów, tworzących w szkłe na kilku polskich uczelniach artystycznych. Do rozwoju polskiego wzornictwa, czy – jak dzisiaj mówimy – dizajnu, przyczynił się również ówczesny system gospodarczy. Fabryki nie musiały liczyć się z pieniędzmi, nie obowiązywały prawa popytu i podaży. Projektanci mogli tworzyć to, co podpowiadała im wyobraźnia i nie byli rozliczani ze sprzedaży swoich wzorów. Zjawisko to miało także drugą stronę – nie było praw autorskich dla twórców, a projekty i wzory były własnością fabryki. Projektanci nie pracowali dla pieniędzy ani dla sławy, lecz w przekonaniu, że trzeba odrodzić polską gospodarkę i wzornictwo, dać ludziom produkt użytkowy tani, funkcjonalny, a jednocześnie ładny.

WELCOME, MISTER DURALEKS

Przez wiele lat wzornictwo przemysłowe z PRL-u było niedoceniane. Pokolenie Polaków wychowane w tamtych czasach nie lubiło tych przedmiotów. Wyroby szklane kojarzyły się z pospolitością, przeciętnością i były mało szlachetne w porównaniu do kryształów. Cechały się jednak bardzo dobrą jakością i niską ceną. Były dostępne dla każdego. Gdy w 1989 roku w Polsce zmienił się system polityczny i gospodarczy, wszyscy zaczęli wymieniać wszystko na rzeczy nowe i zachodnie. Piękne serwisy i szkło zastąpiono nietłukącym się duraleksem. Minęło dwadzieścia kilka lat i nagle okazało się, że wzory z tamtych lat przeżywają swój renesans. Mają one dziś wartość nie tylko sentymentalną, ale też kolekcjonerską.

Świetne polskie naczynia ze szkła i porcelany są poszukiwane na całym świecie przez miłośników polskiego dizajnu. Są oni w stanie zapłacić za te wzory duże pieniądze. Coraz więcej osób poluje więc na aukcjach internetowych i na targach staroci. Młodzi ludzie odkrywają urok szklanych przedmiotów zepchniętych do lamusa historii.

Co wspólnego ma wzornictwo szkła i porcelany z Pokojem koło Opola? W Pokoju mieszka niezwykle duet – małżeństwo Drostów: Eryka Trzewik-Drost i Jan Sylwester Drost. Oboje związali swoje długie życie zawodowe z projektowaniem szkła prasowanego i porcelany. W pracy dizajnerskiej Eryka i Jan realizowali własne projekty i wizje artystyczne, a równocześnie dopracowywali sposoby wykonania form metalowych i metody realizacji hutniczej oraz dalszą obróbkę finalną każdego wyrobu.

Artystyczny punkt widzenia w projektowaniu form szklanych i ceramicznych jest mocno ograniczony procesami technologicznymi. Aby uzyskać zadowalający efekt, artyści starali się osiągnąć kompromis między oczekiwaniami użytkowników, a możliwościami przemysłu. Współpracowali ze specjalistami z zakresu technologii i hutnictwa szkła oraz konstruktorami metalowych form do odlewu projektów szklanych. Używali tworzyw i mas plastycznych do przygotowania modeli i prototypów naczyń, nanosząc na nie różnorodne struktury powierzchniowe, przypominające naturalne faktury występujące w przyrodzie. Projekty duetu Drostów były wielokrotnie kierowane do produkcji wielkoseryjnej, co wymagało dbałości o każdy detal. Potrafili połączyć tradycje szklanego i ceramicznego rękodziela, nowatorskie technologie oraz techniki formowania i zdobienia z własnymi wizjami artystycznymi, funkcjonalnością i ekonomiczną opłacalnością projektowanych przedmiotów. Ich przygoda ze szkłem trwa do dzisiaj.



Eryka Trzewik-Drost i Jan S. Drost (fot. Agata Bronka)



Jan S. Drost z zaprojektowaną przez siebie lampą (fot. Agata Bronka)

TWÓRCZE PÓŁWIECZE

Jan Sylwester Drost urodził się 29 grudnia 1934 roku w Kłodnicy (obecnie dzielnica Kędzierzyna-Koźła). Ukończył ówczesne gimnazjum w Koźlu, a później, w latach 1952-1958, studiował w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych we Wrocławiu, na Wydziale Szkła i Ceramiki, w pracowni profesora Stanisława Dawskiego. Po zdobyciu dyplomu, w 1958 roku, przez rok pracował w Zakładach Mechaniczno-Optycznych „Opta” w Katowicach. Nie była to praca marzeń dla artysty z głową pełną pomysłów, ale zdobył tam praktyczną wiedzę o obróbce szkła, która przydała się w dalszej pracy zawodowej. W 1960 roku rozpoczął pracę w Hucie Szkła Gospodarczego „Ząbkowice” w Ząbkowicach Będzińskich. Pracował tam prawie 50 lat, aż do likwidacji huty w 2004 roku. Był projektantem, technologiem, artystą i kierownikiem do spraw wzornictwa. W 1972 roku wyjechał do Szwecji na praktyki studyjne w hutach szkła oraz zakładach ceramicznych. Został też stypendystą szwedzkiego rządu. Uczył się na Wydziale Projektowania Przemysłowego Akademii Sztuk Pięknych w Sztokholmie, w Centrum Wzornictwa Przemysłowego Svenska Slodforeningen w Sztokholmie i *Malmö* oraz Instytucie Szkła Glasforskningensinstitutet w Vaxjo. Podpatrywał słynne skandynawskie wzornictwo, znane z prostej i czystej formy.

Po powrocie do kraju otrzymał dwuletnie stypendium twórcze Rady Funduszu Rozwoju Twórczości Plastycznej. Od 1958 roku jest członkiem Związku Polskich Artystów Plastyków. Jego projekty można było oglądać na wielu wystawach w kraju i za granicą, np. w 1962 roku w warszawskiej Kordegardzie. W 2000 roku w Muzeum Narodowym we Wrocławiu miała miejsce wystawa „Wzornictwo szkła Eryki i Jana S. Drostów”, w 2007 roku ich projekty pokazano w Warszawie na wystawie „Wiecznie młode – polski vintage”, a w 2016 w Łodzi „Szkłoty”. Formy szklane Jana Sylwestra były wystawiane na wielu pokazach zagranicznych.

Najbardziej znane projekty to linia szklanych naczyń RADIANT (nagroda i złoty medal na Ogólnopolskiej Wystawie Szkła Artystycznego i Użytkowego w Katowicach w 1977 r.), a linia DIATRET została nagrodzona złotym medalem na I Międzynarodowym Triennale Szkła i Porcelany w czeskim Jabloncu w 1973 roku. I najszlachetniejsza chyba linia ASTEROID z 1972 roku – to prawdziwy rarytas. Za ten wzór artysta zdobył złoty medal na II Międzynarodowym Triennale Szkła i Porcelany w Jabloncu w 1976

roku. Projekt ów znalazł się wśród 10 najważniejszych wzorów śląskiego dizajnu w 2013 roku i jest prezentowany od 1984 roku na stałej ekspozycji The Corning Museum of Glass w mieście Corning w stanie New York w USA. Wśród modeli dekoracyjnych były też kompozycje przestrzenne, np. ORBITY, OKTET, KROPLE, wazon SPIRALA.

Jan S. Drost otrzymał za swoją twórczość artystyczną liczne nagrody i wyróżnienia, np. Nagroda Rady Ministrów przy Prezesie Rady Ministrów za szczególne osiągnięcia w rozwoju wzornictwa i estetyki przemysłowej w zakresie szkła prasowanego (1968), Nagroda Ministra Przemysłu (1989/90).

Oprócz projektowania przemysłowego zajmował się też architekturą wnętrz (w zakresie wystawiennictwa). Jego praca została doceniona kilkoma nagrodami Polskiej Izby Handlu Zagranicznego i Dyrekcji Międzynarodowych Targów Poznańskich za koncepcję przestrzenną, kompozycję graficzną i całościowe rozwiązanie architektoniczno-plastyczne wnętrza pawilonu „Polskie Szkło” (1969, 1970, 1978) na Międzynarodowych Targach Poznańskich. Prace artysty znajdują się również na wystawach stałych w muzeach regionalnych, muzeach narodowych (Kraków, Wrocław, Poznań), Ośrodku Wzornictwa Nowoczesnego Muzeum Narodowego w Warszawie oraz za granicą w Museedu Verre w Liege (Belgia), Museum fur Industriedesign w Berlinie (Niemcy), Muzeum Szkła Współczesnego w Pradze (Czechy) oraz w Fińskim Muzeum Szkła w Riikimaki (Finlandia).

Z POKOJU W ŚWIAT SZKŁA I CERAMIKI

Eryka Trzewik-Drost urodziła się 19 listopada 1931 roku w Pokoju. W latach 1951-1957 studiowała na tej samej co Jan Sylwester uczelni i wydziale. Los połączył ich na długie lata. Stworzyli zgodny duet ze szkłem i ceramiką w tle, lub – jak kto woli – na pierwszym planie. Eryka po obronie dyplomu w 1957 roku pracowała w Zakładach Porcelany „Bogucice” w Katowicach. Przez siedem lat była projektantką ceramiki użytkowej i ozdobnej. Jej serwisy kawowe i obiadowe należą do klasyki polskiej porcelany. W 1962 roku stworzyła porcelanową figurkę *Pierwszy bal*, która jest do dzisiaj produkowana przez AS Ćmielów. W 1966 roku rozpoczęła pracę w Hucie Szkła Gospodarczego „Ząbkowice” w Ośrodku Wzornictwa, którym kierował jej mąż. Tu stworzyła ornamentowe szkło użytkowe i estetyczne. Inspiracje czerpała z natu-

ry. Wzory ozdabiała kwiatami, liśćmi, trawami. Odzworowywała fakturę piasku, kory, szronu. Tworzyła liczne talerze, cukierki, patery na owoce i słodczyce, salaterki, półmiski, maselniczki, wyciskarki do cytryny, kaganki, świeczniki, popielniczki, karafki, kubki, wazon i figurki dekoracyjne. Porcelanowy zestaw kawowy LUNA z 1963 roku był produkowany w kilku wersjach kolorystycznych i do dziś cieszy się zainteresowaniem na aukcjach internetowych. Inne zestawy to czarno-biały JAŚ, turkusowo-biały EPOS, ANEMONY, MUSZLA, unikatowe figurki EGIPCJANKA, TANIEC LUDOWY, patera ZODIAK, wazon ZEBRA, wazon ŁĄKA, świecznik KAROLINKA, zestaw naczyń CONTI i CONTI (II), COEUR, STRAWBERRY. Jej zestaw FLORA z 1978 roku zdobył II nagrodę i srebrny medal na Ogólnopolskiej Wystawie Szklanej w Katowicach, a CORA uzyskał I nagrodę i złoty medal na tej samej wystawie rok później. Eryka projektowała także kompozycje przestrzenne. Do szczególnie ciekawych należy np. GŁOWA.

Eryka Trzewik-Drost od 1957 roku jest członkiem Związku Polskich Artystów Plastyków, a jej projekty można było podziwiać na licznych wystawach, np. w Muzeum Zagłębia w Będzinie (1960) i w Muzeum Narodowym we Wrocławiu (2000) oraz na licznych wystawach szkła i porcelany. Ostatnio jej porcelana była wystawiana w Muzeum Villa Caro w Gliwicach, na wystawie „Do widzenia rokoko” (2016).

Prace artystki były także pokazywane za granicą. Brała udział w wystawach biżuterii artystycznej (Arezzo, Włochy 1966, Moskwa 1968), wzornictwa przemysłowego (Lublana, Jugosławia 1968, Moskwa – Ryga 1969, Praga 1974, Berlin 1981), polskiego szkła, tkaniny i ceramiki (Praga, Bratysława, Moskwa, Ulan Bator, Miscolec 1982, 1985). Można je było oglądać w Londynie (1974) w Polish Cultural Institut *Artistic Glass*, w Lipsku (1980) na wystawie *Polskie szkło unikatowe*, w Berlinie (1981) *Design in Polen*, w Moskwie, Leningradzie i Sofii (1986) *Polskie współczesne szkło i tkanina*, w Wiesbaden (1990) *200 Jahre Kunstschulen in Breslau* i w Kijowie (2008), na wystawie *Polski vintage*.

Projektantka otrzymała wiele nagród i wyróżnień. Wśród nich Nagrodę Ministra Kultury i Sztuki (1960), Nagrodę Rady Wzornictwa przy Prezesie Rady Ministrów (1968), nagrody w ogólnopolskim konkursie na projekty szkła kryształowego prasowanego (1968), zdobin szkła szlifowanego i malowanego (1969), wyróżnienia w Ogólnopolskim Konkursie Kopernik (1971) i na Ogólnopolskiej Wystawie Szklanej Artystycznej i Użytkowej (1974).

Jej prace, podobnie jak projekty męża, znajdują się w polskich i zagranicznych muzeach na wystawach stałych, np. w muzeach regionalnych i narodowych (Wrocław, Kraków, Poznań). Poza granicami Polski można je zobaczyć w Museum für Industriedesign w Berlinie, Musee du Verre w Liege (Belgia) i w Muzeum Szklanej Współczesnej w Coburg (Niemcy).

PRAWDZIWY SPOKÓJ NIE LUBI BEZCZYNNOCI

Po zakończeniu pracy zawodowej państwo Drostowie zamieszkali w Pokoju, rodzinnej miejscowości Eryki. Tu żyją sobie spokojnie wśród życzliwych mieszkańców i blisko natury Stobrowskiego Parku Krajobrazowego. Pan Jan, który zna kilka obcych języków, angażuje się w pracę tłumacza dokumentów w języku niemieckim i łacińskim, dotyczących historii Pokoju. Pani Eryka maluje olejne obrazy, przedstawiające księżycy Pokój i jego nieistniejące obiekty. Oboje biorą udział w życiu kulturalnym miejscowości, uczestniczą w koncertach, wystawach i prelekcjach, promujących Pokój w powiecie namysłowskim i w województwie opolskim. Są zapraszani na wystawy polskiego wzornictwa przez placówki kulturalne i muzealne, na których można obejrzeć ich dorobek artystyczny.

W 2014 roku szkło prasowane projektowane przez duet Drostów zainspirowało młodą projektantkę mody – Ewę Rzechorzek. Stworzyła ona kolekcję ubrań damskich, w której wykorzystała bogactwo faktur i ozdobnych ornamentów, obecnych w szkle małżeństwa Drostów. Przeniosła je na tkaniny różnymi technikami, np. plisowaniem, marszczeniami. Użyła też płynnej żywicy, robiąc z niej krople na tkaninach. Powstały ubrania inspirowane liniami naczyń Asteroid, Igloo, Okulus, Muszla.

W 2016 roku dawny modernistyczny krakowski hotel Cracovia został zakupiony przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego z przeznaczeniem na Muzeum Narodowe w Krakowie. Dyrekcja chce, aby budynek stał się Muzeum Polskiej Architektury i Dizajnu. Byłoby to miejsce na organizację wystaw stałych i czasowych oraz wernisaży przedstawiających rozwój polskiego wzornictwa, a także na galerię sztuki, warsztaty i magazyny muzealne. Miejmy nadzieję, że w niedalekiej przyszłości tak się stanie, a projekty i wzory duetu Drostów znajdą w nim swoje stałe i należne miejsce.



Rys. Andrzej Hamada

800 LAT MIASTA OPOŁA

ANDRZEJ HAMADA

OD BARTYZANY DO KURTYZANY

Zakładane w średniowieczu miasta otaczano wałem obronnym z palisadą, a później potężnym murem. Ze względów bezpieczeństwa, ale też dla kontroli przybywających podróżnych i kupców, od których pobierano cło. W murach obronnych były wysokie wieże i baszty, wieże nadbudowywano zwykle nad bramami wjazdowymi do miasta, baszty stawiano w pewnych odstępach wzdłuż linii muru; wszystko dla wzmocnienia siły obronnej miasta.

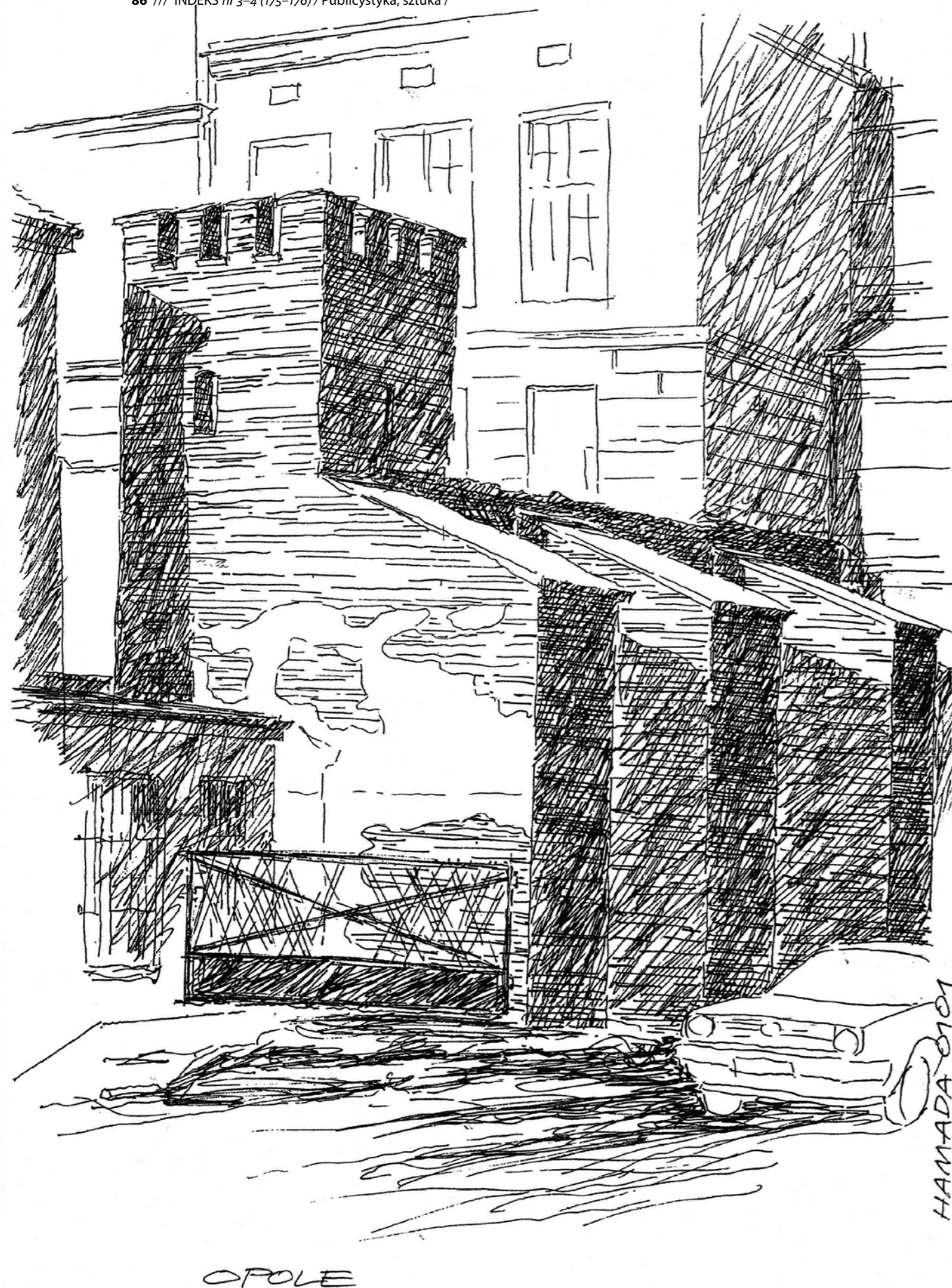
W niektórych miejscach, na załamaniach linii muru, nadbudowywano dodatkowo niewielką wieżyczkę, dla wzmocnienia obrony. Taką wieżyczkę nazywano bartyzaną.

Zwieńczona również, jak mur, krenelażem z blankami umożliwiała rażenie z boku przeciwnika zbliżającego się do muru.

Opolskie mury obronne, wzniesione w XIII–XIV wieku, istniały do początków XIX wieku, też miały wieże bramne i baszty; wież bramnych było pięć, a baszt około czternaście. Pośród nielicznych, do dziś zachowanych fragmentów tych murów mamy wieżę zamku Górnego i dwie baszty: artyleryjską i Wilk, ale także i bartyzanę. We fragmencie przy wieży zamkowej, przy ul. Władysława II Opolczyka, naroże w załamaniu linii muru zdobi piękna bartyzana, zwieńczona groźnym krenelażem z blankami.

To wyjątkowa rzadkość historyczna, bo nawet Kraków ze wspinałym fragmentem średniowiecznego muru obronnego, z bramą Floriańską i basztami – Stolarską oraz Pasamoników, i z oryginalnym barbakanem – takiej bartyzany nie ma.

Szymon Koszyk – „Civis Opoliensis”, powstaniec śląski i znakomity gawędziarz, który wychował się na Zaodrzu,



Rys. Andrzej Hamada

na opolskim „blychu”, opowiadał o specyficznej społeczności Zaodrza. O robotnikach sezonowych, którzy w zimie dobywali lód z Odry, a w lecie dorabiali sobie na „Minerwie”, tj. na dźwigu przeładunkowym u północnego cypla wyspy Pasieki (dziś jest tam pozostałość fundamentów tego ogromnego dźwigu), a potem przesiadywali w licznych tam knajpach, przepijając cały zarobek. W tych knajpach bywało różne ciekawe towarzystwo. Bywali tam: „bumsry”, czyli stacjonujący na Zaodrzu artylerzyści, no i kręcące się przy nich różne panienki – „słowikule” i „fuchtle” (pracownice fabryki cygar).

Ale pan Szymon Koszyk znał nie tylko Zaodrze. Miał bogate życie, znał różne kraje Europy, i znał dobrze Opole. Jego opowieści były pasjonujące. Pamiętam takie spotkanie z nim, w Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki (KMPIK), w budynku „Europy”, przy placu Wolności. Zapamiętałem jego barwną opowieść o ulicy Staromiejskiej. Ta ulica, należąca w Opolu do najstarszych (800 lat!), nazywała się różnie: była najpierw, od XVI wieku Różaną (Rosengasse), potem Tkacką (Webergasse) i Długą (Langegasse). Przy tej ulicy stacjonowali w XIX wieku kirasjerzy 9. regimentu, mieli tu stajnie i często jeździli tu na koniach. Wtedy nazywano tę ulicę także Jeździecką (Reitergasse).

Tacy kirasjerzy byli nie lada atrakcją dla młodych panienek, ściągały tu z całego miasta tabuny amatek łatwego zarobku. Z tego powodu do tej ulicy przyłgnęła zaraz niezbyt pochlebna nazwa: Halbwelt, czyli półświatek.

Panienki z ulicy Staromiejskiej były jednak lepszego sortu niż zaodrzańskie słowikule, były bardziej miastowe, prawdziwe kurtyzany – powiedział Szymon Koszyk.

Kurtyzana jak bartyzana, bardzo bliskie to sąsiedztwo. Przy wzgórzu uniwersyteckim pośród starych murów bartyzana, a tam na dole... kurtyzany. Kurtyzany w Opolu, jak na sławnym paryskim placu Pigalle czy hamburskim Repperbahn.

Namawiam więc Czytelników do spacerów, w ramach obchodów 800-lecia miasta, do spaceru ku opolskiej bartyzanie, jest godna obejrzenia.

No i proszę nie mylić bartyzany z kurtyzaną.



Papa Karol Musioł, z łańcuchem przewodniczącego MRN w Opolu, w trakcie żakinydy na opolskim Rynku (fotografia ze zbiorów Towarzystwa Przyjaciół Opolu)

800 LAT MIASTA OPOLA

URSZULA ZAJĄCZKOWSKA

OPOLSKI ŁAŃCUCH Z KRAKOWSKIM HERBEM

Insygnia to przedmioty podkreślające godność pełnionego urzędu, władzy, symbolizujące pełnioną funkcję. Insygnia dzielimy zazwyczaj na świeckie i kościelne.

Insygnia władzy świeckiej wywodzą się od czasów starożytnych. W średniowiecznej Europie insygnia świeckie podkreślały najczęściej władzę nad określonym terytorium. Te królewskie insygnia składały się m.in. z korony, berła, jabłka królewskiego.

Insygnia królewskie, tzw. regalia władców europejskich, zawierały dodatkowo przedmioty służące do pogrzebów królewskich (insygnia funeralne) wkładane do grobu wraz z ciałami zmarłych monarchów. Przedmioty te miały znaczenie symboliczne. Korona była symbolem godności, chwały, władzy królewskiej, monarchii, imperium, zaszczytów, bogactwa, a także nieśmiertelności, zwycięstwa, pomyślności, przepychu. Jabłko symbolizowało wieczność, nieśmiertelność, wieczną młodość, mądrość, władzę królewską. Berło było symbolem potęgi, władzy, panowania, honoru, autorytetu, zwycięstwa, tyranii, despotyzmu, a także prawości, sprawiedliwości, cnoty i bogactwa. Do insygniów świeckich zalicza się również laski marszałkowskie, buławy hetmańskie czy też buńczuki paszy tureckich.

Wraz z tworzeniem się samorządności miejskiej powstały insygnia przynależne przedstawicielom reprezentującym władzę miejską. W Krakowie zachowały się insygnia Rady Miejskiej z pocz. XVI wieku: berelko pozłacane, z inicjałami IHS – oznaczającym sprawiedliwe sprawowanie sądów, pierścień burmistrza z 1532 r. – w pierścieniu było oczko z herbem Krakowa (prawdopodobnie była to też pieczęć) oraz lada Rady Miejskiej z 1751 r.

Na temat dawnych insygniów miejskich Opola wiemy niewiele. Znane są jedynie pieczęcie miejskie – najstarsza pochodzi z końca XIII wieku.

Współcześnie symbole i odznaki, po których jednoznacznie rozpoznamy prezydenta, burmistrza czy urzędnika Urzędu Stanu Cywilnego, są nadal nieodłącznym elementem pełnienia tych funkcji publicznych. Doniosłość sprawowania jednej z nich wymaga, aby symbole władzy cechowała najwyższa jakość wykonania.

Symbolem wielu urzędów jest łańcuch, który ma wiele znaczeń. Symbolizuje m.in. Wszechświat, drabinę z Ziemi do Nieba, małżeństwo (Nieba i Ziemi); sprawiedliwość, obowiązek, bezpieczeństwo, połączenie, komunikację. Łańcuch oznacza mocne więzy społeczne, psychiczne, integrację, scalanie (podobnie jak symbolika nici, powrośta, liny, sznura, powrozu, cumy, arkanu, przewiąsła).

Łańcuch jest atrybutem władzy: prezydenta miasta, burmistrza, przewodniczącego rady gminy (miejskiej), starosty lub marszałka województwa. Łańcuch, mający charakter współkonstytuujący sprawowaną godność, to insygnium, które z tej przyczyny musi zawierać najważniejszy, a zarazem i najdosłowniejszy znak jednostki samorządowej, czyli jej herb. Herb miasta powinien być główną ozdobą łańcucha, jeżeli łańcuch przeznaczony jest dla prezydenta czy burmistrza.

Pozostałe insygnia prezydenta czy burmistrza to pieczęć i symboliczny klucz do miasta. Do tego zestawu dochodzi herb i flaga miasta. Przewodniczący rady miasta wyposażony jest w łańcuch, laskę i dzwonek.

Co powinno odróżniać łańcuch prezydenta od przewodniczącego? To zależy w dużej mierze od koncepcji zamawiających. Przykładem może być ufundowany prezydentowi Ostrowa Wielkopolskiego w 2004 roku, z okazji 600-lecia tego miasta, łańcuch składający się z 11 ogniw – każde symbolizuje jedno osiedle w mieście. Łańcuch przewodniczącego składa się natomiast z 23 ogniw – tylu radnych zasiada w radzie miasta.

W Opolu, od czasów średniowiecza, najwyższą funkcję w samorządzie miasta sprawował burmistrz. W roku 1809, wraz ze zmianami administracyjnymi w Prusach (Opole należało od 1742 do Prus), w miejsce burmistrza utworzono stanowisko nadburmistrza i stan ten utrzymał się do roku 1945. Po zakończeniu drugiej wojny światowej wprowadzono w Polsce nowe regulacje administracyjne – najwyższą funkcję w mieście powierzono prezydentowi. Pierwszym prezydentem miasta Opola został, w 1945 roku, Maksymilian Tkocz.

Kolejna reforma administracji przeprowadzona w 1950 roku zlikwidowała stanowisko prezydenta miasta,



Srebrny łańcuch przewodniczącego MRN w Opolu, prezent Krakowa

wprowadzając w to miejsce stanowisko „przewodniczący Miejskiej Rady Narodowej”. Pierwszym przewodniczącym MRN w Opolu został Lucjan Skalski. W listopadzie 1953 roku na to stanowisko powołano Karola Musioła, który pełnił je do lutego 1965 roku. W okresie pełnienia obowiązków przewodniczącego MRN przez Karola Musioła doszło do nawiązania współpracy między Opolem a Krakowem. Wtedy też został ufundowany prezent w postaci srebrnego łańcucha dla przewodniczącego Rady Miasta Opola. Fakt darowizny został zaznaczony na łańcuchu: z przodu, na czołowym miejscu, znajduje się tarcza z herbem Opola i godłem Polski, natomiast łańcuch zamyka herb Krakowa.

W roku 1975 przywrócono w Polsce stanowisko „prezydent miasta”. Zmiana ta nie wpłynęła na zmianę przynależności łańcucha, który pozostał w gestii przewodniczącego rady miasta.

Natomiast łańcuch prezydenta Opola został zamówiony i wykonany w 1998 roku. Nie jest tak reprezenta-

cyjny, jak łańcuch przewodniczącego Rady Miasta – nie jest to dzieło jubilerskie, stąd też prezentuje się zdecydowanie skromniej. Wiele do życzenia pozostawia sama konstrukcja, co widać podczas jego użytkowania, wyraźnie brakuje mu przeciwwagi dla herbu. Myślę, że łańcuch prezydenta Opola powinien zostać wymieniony na nowy, aby był równie okazałym atrybutem jak łańcuch przewodniczącego MRN. Dobrą okazją są obchody 800-lecia Opola.

Ważnym symbolem miasta jest hejnał. Hejnał Opola został skomponowany w 1952 roku przez Zbigniewa Franka, który wykorzystał melodię ludowej piosenki „Opole, Opole to jest piękne miasto”. Od roku 1990 melodię wygrywa z ratuszowej wieży Tadeusz Ciuła. W XXI wieku hejnał został zaaranżowany w nowej wersji, którą wykonano po raz pierwszy 1 czerwca 2012 r.

FIZYKA DLA LAIKA

WOJCIECH DINDORF

MY, WODA I KWARKI

Jesteśmy z wody.

Rodziliśmy się w płynie (ponad 95 proc. czystej wody), a mimo tego jesteśmy twardzi, choć wiotcy. Ukształtowani z płynu, wilgotni – bo krew, ślina, pot, moc i łzy, oczy też z cieczy, stawy „oliwione” (powiedzmy – do pewnego wieku), nos zakatarzony, żółć w woreczku wodoszczelnym, soki trawienne też nie z kamienia. A propos: jak się gdzieś kamień pojawi, to lament wszczynamy.

Jak to jest, że jesteśmy z wody, a się nie rozpadamy? Pewne jest, że to „lepiszczce”, które nam się rozlecieć nie pozwala – to oddziaływania elektryczne. Ładunki elektryczne nie pozwalają nam się rozproszyć (choć często czujemy się rozproszeni, ha ha).

O tych ukrytych w subatomowych cząstkach tajemniczych ładunkach elektrycznych uczono nas w szkole na lekcjach fizyki, w dziale elektrostatyka. Choć może lepsza by była nazwa: *elektroelastyka* czy *elektroplastyka*. Bo siły oddziaływań między ładunkami są szczególniego gatunku. Pozwalają nam oddychać, sercu pozwalają pompować krew, żołądkowi trawić, powiekom-wycieraczkom-kurtynom oczy obsługiwać, otwierać i zamykać różne zawory, wentyle, zastawki, szczęką żuć, palcom chwytać, głaskać, drapać, instrumenty najprzeróżniejsze obsługiwać, ciało pozycję zmieniać, sporty uprawiać... Lista długa, a wszystko to nic w porównaniu z rolą, jaką odgrywają elektrony w przekazywaniu sygnałów do wszystkich (oficjalnie pięciu) zmysłów. Pozwalają nam widzieć! Myślenie nasze jest też oparte na zachowaniu się elektronów.

Dobrze, że żyli tacy geniusze, jak Newton, Hooke, Coulomb, Faraday czy Einstein. Dużo nas nauczyli o naturze tych sił. A fizycy, mniej niż osiem dziesięcioleci temu, myśląc logicznie (to znaczy matematycznie), doszli do wniosku, że powinny istnieć w przyrodzie ładunki mniejsze niż te, dotąd za najmniejsze uważane.

Tak im z rachunków wychodziło.

Dotąd bowiem (przez ponad pół wieku od odkrycia), elektron był traktowany jako ciało materialne noszące, daną mu przez naturę, najmniejszą porcję ładunku, umownie zwaną *ujemnym* ładunkiem elektronu. Antyładunkiem, ilościowo dokładnie takim samym, jak

ładunek elektronu, tyle że *dodatnim*, obdarowane były również małe pozytony. Masy i ładunki tych minicząstek były z tymi cząstkami związane tak, że połączenie elektronu z pozytonem pozbawiało ich obu właściwości na raz: tak ładunku, jak i masy. A co zostawało? Bo przecież nic w przyrodzie nie ginie – zostawała energia. Energia fali elektromagnetycznej. Ile tej energii? Einstein odpowiedział: $E = mc^2$, a więc prawie nic. Choć c^2 to ogromna liczba, rzędu 10^{17} dżuli na kilogram.

Wspomniałem o mniejszych, niż elektron, ładunkach. Dobrze, ale dodam jeszcze tylko, że prawie dwa tysiące razy „cięższy” od elektronu proton (np. jądro atomu wodoru) posiada ładunek taki sam, jak pozyton. I tu ciekawostka. Jeśli się zdarzy, że proton „połknie” elektron, to pozostanie duża masa, neutralna, bez ładunku, masa o wielkości prawie takiej, jak suma mas elektronu i protonu. Powstanie neutron – bardzo ważna, ciężka cząstka wchodząca w skład atomów wszystkich pierwiastków, z wyjątkiem najpowszechniejszego we Wszechświecie atomu wodoru.

I teraz pomyślmy: jak to jest? Na ogromnym, w stosunku do elektronu, protonie jest tyle ładunku, ile ma elektron. Rozcieńczony zatem? A jeśli nie rozcieńczony, to gdzie go szukać?

Może to właśnie takie proste myślenie zachęciło fizyków (zwanych też czasem śmiesznie *fizykami jądrowymi*) do zainteresowania się protonem? Przekonani byli, że trzeba za wszelką cenę rozwalić proton – by ten pokazał, co w nim się kryje.

Trudno było przekonać polityków, żeby otworzyli portfele i zainwestowali w maszyny, które miały rozbić coś, co podręcznikowo było cząstką elementarną, a więc nieskładającą się z czegokolwiek.

Dzisiaj mamy wielokilometrowe superzderzacze protonowe i liczniki – podglądające miejsca zderzeń (albo zdarzeń), wielkie jak wielopiętrowe kamienice, zbudowane po to, by „zobaczyć” (pomierzyć i policzyć) kwarki mniejsze rozmiarem, masą i ładunkiem niż może sobie człowiek (nie tylko zwykły) wyobrazić. Kwarki bardziej elementarne niż protony. Już znamy kilka gatunków, które – jak rybki w akwarium – pływają sobie w protonie.

Intensywne badania trwają nadal.

W istocie, to od fizyków w CERN-ie oczekujemy odpowiedzi na pytanie: skąd jesteśmy i dlaczego jesteśmy tacy, jacy jesteśmy; skąd wzięła się krew w naszych żyłach, i dlaczego możemy myśleć. Z wiekiem, coraz wyraźniej skłaniam się ku pogładowi, że nasze JA, jeszcze wyraźniej niż w ogromnym, wieloatomowym DNA, zapisane jest na poziomie kwarków – albo nawet w ich wnętrzu, o którym my, dwudziestopierwszowieczni Ziemianie, dopiero zaczynamy się dowiadywać. Tam mogą być nasze, prywatne, małe „dna”, które nie dadzą się zniszczyć przez żadne kremacje, ani kosmiczne burze.

Nawet się nie domyślamy, jak ogromne lub jak bardzo zminiaturyzowane urządzenia będą stosowanie do „otwierania” kwarków i odczytywania przedwiecznych „ksiąg” zawierających dokładny opis wszystkich detali, dotyczących powstania Wszechświata, a z nim – każdego człowieka, zwierzęcia, zuczka, liścia i źdźbła trawy. Jeśli w kieszonce koszuli, na pendrivie, mogę dzisiaj mieć zapisaną 30-tomową encyklopedię, to dlaczego w jednym atomie, więcej – w jednym, atomowym, wiecznym protonie nie może się zmieścić wszystko, co mnie dotyczy? Całe JA?

Być może, że tak, jak nie ma dwóch jednakowych drzew, liści, płatków śniegu, ziarenek piasku, tak nie ma i dwóch jednakowych protonów. (A propos ziarenek piasku: w jednym ziarenku jest mniej więcej tyle protonów, ile ziaren piasku jest na wszystkich plażach na Ziemi. A stosunek promieni: proton-ziarnko piasku i ziarnko piasku-Ziemia też jest prawie taki sam).

Jeśli komuś po tym, co tu przeczytał, kręci się trochę w głowie – to tak ma być.

Świat jest i będzie jeszcze dla wielu pokoleń, aż do końca świata, pełen tajemnic. Fizyka właśnie ma za zadanie je odsłaniać.

//////////
BARTŁOMIEJ KOZERA

LOS LIŚCIA

O ile się nie mylę, to bodaj Homer był pierwszym, który porównał pokolenie ludzkie do rozwoju liścia, a dzieje ludzkości do następujących po sobie cyklów rodzenia się i więdnienia. Fascynuje mnie przyroda właśnie dlatego, że to rodzenie się i giniecie można oglądać wiele razy. Napawać się radością powstawania i smucić faktem zanikania. Wyprowadzać z tego jakieś wnioski dla siebie.

Oto wyróżnić można w życiu liścia i człowieka trzy pory: wiosna – młodość, lato – dorosłość i jesień – starość. Przejrzyjmy te stany. Na wiosnę wszystkie liście mają podobną barwę, różnią się więc przede wszystkim kształtem. Dokładnie tak samo jest z młodymi ludźmi. Ich świadomość jest w miarę jednorodna, formowana przez taki sam system szkolny, podobne zajęcia. Oni różnią się głównie wyglądem.

Liście najlepiej wyglądają wiosną. Zieleń wtedy jest żywa, one zaś nietknięte są przez czas. Gładkie, bez szczyrb. Lubię oglądać te wczesnowiosenne liście. Jeśli nudzi monotonia, to pociąga świeżość.

Już w lecie liście zaczynają się różnić. Ich kolor zielony ma już wiele zdecydowanych odcieni. Nadto niektóre liście padają ofiarą gąsienic, więc kończą wcześniej swoje życie. To jest nasza dorosłość. Tożsamość, czyli identyczność z sobą, jest już widoczna. Zaczynamy się różnić w swoim człowieczeństwie. Idziemy różnymi drogami, mamy różne zainteresowania, różne zawody, ale wszyscy jesteśmy jeszcze w tej samej sytuacji – pracujemy, zakładamy rodziny. Jesteśmy, jak się rzekło, różnie zieloni.

W końcu przychodzi jesień. Wiele liści już spadło, z pozostałych każdy jest inny. Większość jest poszczerbiona, niewiele zostało nietkniętych przez czas. Liście są ciekawe, z zainteresowaniem się je ogląda, ale lada moment ich los się spełni. Budzą więc zdumienie i zachwyt wielobarwnością, ale i nostalgię, bo znamy ich koniec.

A potem? Wiadomo, liście spadają, butwieją i stają się humusem, by znów pojawić się na wiosnę. I tak od nowa. Taki nieskończony bieg sztafetowy pokoleń liści.

Dokładnie tak samo będzie z nami. Będziemy żyć dalej w szumie trawy czy gibkości sitowia. W przyrodzie bowiem nic nie ginie, tylko wszystko się przekształca. Po życiu jest inne życie, ale radykalnie różne.

Jedno się w tym porównaniu z człowiekiem nie zgadza. Człowiek rodzi człowieka, a liść nie rodzi liścia, robi to drzewo. Nie bez powodu pierwotni bogowie mieszkali w drzewach. Ich moc rodzenia jest boska. I to rodzenie jest sensem ludzkiego istnienia. To jest też boski moment człowieka. A to znaczy, że trzeba mieć kogoś, komu przekażemy pałeczkę w tym naszym biegu sztafetowym przez życie. Trzeba zadbać, poprzez wychowanie, by ten ktoś pobiegł ładnie. Ładniej nawet niż my. To jest obiektywny sens naszego życia. Sens życia znajduję w powstawaniu i ginieciu. W rodzeniu się i umieraniu.

WITOLD SUŁEK

WRACAJĄ ŻURAWIE

Większość z nas przyzwyczajona jest zapewne, że literaturę piękną, poezję, wydają wydawnictwa tym, lub prawie wyłącznie tym, się zajmujące, a naukowe, akademickie publikują pozycje z tego, jakże właściwego im, zakresu. Okazuje się jednak, że taki podział nie jest kategoriyczny i chociaż te popularne wydawnictwa sięgają chętnie po popularnonaukowe tytuły, poradniki psychologiczne, motywacyjne lub biznesowe, to odwrotnie jest już to rzadkie (owszem, przy okazji monograficznych opracowań jakaś antologia, wybór wierszy, ale regularne wydawanie prozy?).

Czy wynika to z chęci zachowania powagi? Że nie uchodzi, nie powinno się? Doradzać, sugerować, opisywać i komentować owszem, ale wydawać? A przecież zajmując się literaturą, badając ją pod każdym możliwym kątem i w każdym zakresie wychodząc daleko poza samo literaturoznawstwo, wydaje się zupełnie na miejscu, by wydać w oficynie akademickiej powieść, która można opatrzyć komentarzem, a w przypadku literatury obcojęzycznej starannie przełożyć (to częsty powód narzekań, ale przy tej masie tłumaczeń nic dziwnego, że ich poziom często pozostawia wiele do życzenia – a języki mniej popularne to już w ogóle kłopot, bo zdolnych z nich przekładać translatorów mało i literatura wielu krajów jest przez to w Polsce prawie nieobecna). Powieść ważną i dyskutowaną w danym kraju (że mało komercyjną? Cóż by jednak komercyjność miała oznaczać, skoro są „mało komercyjne” tytuły, nagradzane krajowymi i zagranicznymi nagrodami), którą rodzimi wydawcy, nastawieni głównie na zysk, pomina i która przez to dla wytrawnych czytelników, złaknionych literatury ambitnej, pozostaną niedostępne.

Z ogromną ciekawością przyglądam się zatem, jak sytuacja się ma, bo do zajmującego się już przez wiele lat poezją i prozą głównie Bliskiego i Dalekiego Wschodu Wydawnictwa Akademickiego Dialog dołączyło Wy-

dawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, które wydaje „Serię z Żurawiem”, a w niej już trzy tytuły: Takashi Hirai-de „Kot, który spadł z nieba”, Ionana Parvulescu „Życie zaczyna się w piątek” i „Kruso” Lutza Seilera, oraz drugą serię, nazwaną po prostu „Literatura piękna”, w której tytułów znacznie więcej i nazwisko bardziej znane w kraju naszym jedno się pojawia – czyli Perec ze swoim „Kondotierem”. Wypisywanie ich wszystkich nie jest konieczne, każdy czytelnik może na stronie wydawnictwa przeczytać również ich krótkie opisy – istotna jest dla mnie przekrojowość narodowa, to, że mamy do czynienia z próbą (oby udaną, gdyż wszystkiego nie czytałem, aby tu się wymądrzać i na razie ufność pokładam w rzetelności, bądź co bądź, renomowanego wydawnictwa). Najnowsza pozycja to Milen Ruskow „Wzniesienie”, której poświęcę chwilę, bo są powody. Raz, że dawno żadnego bułgarskiego pisarza na księgarskich półkach nie widziałem, a dwa, że książka w 2014 roku dostała nagrodę europejską. I jeszcze trzeci powód: zdaje się być podobna do „Wiecznego Grunwaldu” Twardocha czy Henryka Wańka „Jak Johannes Kepler wędrował”... Przypomina je przede wszystkim formą, językiem, stylizowanym na dawny, bo nie wiernie odtworzonym, ale i realiom historycznym, fikcją dobrze wpisaną w autentyczne wydarzenia. Tu mamy walki wyzwolenicze Bułgarów z Turcją, kształtowanie się świadomości narodowej i wynikające z niej trudności oraz pytanie – na czym ją budować. Wszystko bez pompatyczności i melodramatyzmu, ale też i narrator, prosty człek, chyba najlepszym tu narratorem być mógł, aby sięgnąć najgłębszego sensu tego, co znaczy naród.

Mam nadzieję, że seria będzie się rozwijała i z czasem dotrze też do szerszego kręgu odbiorców (co nie jest łatwe przy polityce sieci handlowych, które zdominowały rynek księgarski), bo po macdonaldyzacji i kebazyacji grozi nam greyzacja. Może więc chociaż jednego pola warto nie oddać?



Stanisław Wyspiański, „Autoportret”, pastel, 1902 (Muzeum Narodowe w Warszawie)

WŁADYSŁAW HENDZEL

WE ŚNIE PŁAKAŁEM Z ZACHWYTU

Stanisław Wyspiański we wspomnieniach Lechonia

Jan Lechoń (właśc. Leszek Serafinowicz, 1899–1956), wybitny poeta, krytyk literacki i teatralny, tłumacz, niezwykle aktywny twórczo w życiu kulturalnym i artystycznym po roku 1918, przez jakiś czas pełnił obowiązki attaché kulturalnego ambasady polskiej w Paryżu. Po klęsce Francji osiadł, w roku 1940, w Stanach Zjednoczonych (Nowy Jork), gdzie rozwinął ożywioną działalność, przede wszystkim w środowiskach polonijnych. Był m.in. założycielem Polskiego Instytutu Nauk i Sztuk w USA, współpracował z radiem, gdzie popularyzował swymi odczytami i pogadankami literaturę i kulturę ojczystą, zajmował się redagowaniem polskich periodyków. Gorz-

ki los emigranta, oddalenie od kraju i przyjaciół, osobiste przeżycia dały o sobie niebawem znać w postaci groźnej depresji i nerwicy. Za radą lekarzy zaczął poeta od roku 1949 pisać dziennik, który miał stanowić lek na załamanie psychiczne. Dziennik ten prowadził do roku 1956, czyli do samej śmierci. Wydany drukiem w postaci trzech opasłych tomów (wyd. 1–3, Londyn 1967–1973) zawiera wiele niezwykle interesujących informacji dotyczących literatury, kultury, sztuki. Jest także cenny „jako źródło wiedzy o złożonej osobowości poety, o ludziach, których znał, i o zdarzeniach, których był uczestnikiem” (Artur Hutnikiewicz).

Z twórczością autora „Wesela” poeta zetknął się bardzo wcześnie. Wspominając dzieciństwo i wczesną młodość, spędzoną w Warszawie przy ul. Marszałkowskiej 38, zanotuje: „I tam zacząłem podziwiać Wyspiańskiego” (I, 145).

Najwięcej wspomnień o Wyspiańskim wiąże się z „Weselem”. O dramacie tym, postrzeganym zresztą w postaci scenicznej, pisze zawsze w tonacji najwyższego podziwu, niemal uwielbienia, określając utwór jako „arcydzieło nad arcydziełami”, innym zaś razem uzna go „za poezję najczystsza i najbardziej ideową”. W pewnym momencie stwierdzi: „Kompleks *Wesela* przetrwał we mnie jakieś 35 lat” (I, 157).

Bardzo głęboko utkwiała w pamięci poety warszawska premiera „Wesela”, okrojonego zresztą mocno przez cenzurę, mająca miejsce w roku 1905 w Teatrze Rozmaitości. Pod datą 31 III 1952 wspomni ją jako „pamiątkę [...] do dziś dnia [...], wzruszenie jedyne, które zdecydowało, że zostałem poetą i to takim właśnie, jakim jestem” (II, 402). Innym razem, wracając do mocnych wrażeń premierowych, wyzna: „We śnie płakałem z zachwytu nad *Weselem* Wyspiańskiego. Śniąc deklamowałem: „Tu wam mało, tam wam mało” i w każdym słowie czułem rozpacz, poezję i geniusz poety, który wydobyl z siebie te słowa. Śniąc myślałem: Jaka to prawda! Czemu nikt jej nie rozumie?” (III, 295).

Po kilkudziesięciu latach poeta mógł wymienić z pamięci „bez żadnych ściągaczek” premierową obsadę aktorską dramatu Wyspiańskiego.

Szczególnie mocno zapadła mu w pamięć postać Heleny Sulimy, grającej Rachełę, która „w czarnej, secesyjnej sukni, owinięta w czerwony szal, mówiła: *A tak, a tak! Przez ogród pójdę, przez sad, a pan niech tu w oknie stoi*” (III, 108–109).

W przekonaniu Lechonia *Wesele* było „czynem”, który, podobnie jak krytyka literacka Brzozowskiego czy działalność polityczna Piłsudskiego, przeorał świadomość narodową Polaków. Poeta podziwiał odwagę Wyspiańskiego w mówieniu rodakom całej prawdy o rzeczywistości, tej dawnej, jak i aktualnej. Mając na myśli dobrze mu znaną Francję, zauważył: „Dzisiejsza Francja czeka na swego Wyspiańskiego, aby jej powiedział wreszcie prawdę, jak nasz Wyspiański przed pół wiekiem” (II, 781). Wyspiański będzie jakby punktem odniesienia dla wielu

poruszanych przez autora „Dziennika” kwestii. W swoich notatkach często dokonuje rozrachunku ze swoją poetycką młodością, która, w jego przekonaniu, okazała się „drogą kłęski”. W roku 1955 z goryczą zapisze: „Rozum wzbrania mi rozpaczać, ale sumienie nie pozwala mi się rozgrzeszyć. I mogę tylko powtarzać za Wyspiańskim, który mógł być właśnie spokojny, bo napisał arcydzieło [*Wesele*] i parę dzieł nie doskonałych, ale genialnych” (III, 669–670).

Wspominając jedno z wielu spotkań w środowisku polonijnym w roku 1951, wspomni: „Wczoraj miałem taką rozmowę pełną gier, ruchów, odruchów, przydechów, pauz. Była to, zdaje się, rola sceptycznego intelektualisty, może coś z Dziennikarza w *Weselu* – prozą” (II, 105).

Swoje rozmyślenia nad jakąś dwuznaczną kwestią z bieżącego życia zamknie puentą: „Wszystko się zmienia – w zależności od perspektyw. *Punkt widzenia, kąt widzenia*, jak mówi Pan Młody w *Weselu*” (III, 321). Wspominając młodość i „piękności tamtych czasów [...] przeznaczone, jak nam się zdawało, dla milionerów z bajki, dzisiaj matki dzieciom”, przywoła słowa Wyspiańskiego: „O młodości, jakożeś daleko, a to zda się wczora, jeszcze wczora” (III, 56). Ciepłe wspomnienie o Leonie Lewkowiczu, „byłym legionście-piątaku, Żydzie wierzącym i mówiącym po hebrajsku, a zarazem Polaku, jakich mało” zamknie słowami Wyspiańskiego: „Jeszcze się trochę takich Polaków zostało, co są piękni” (II, 213).

Podobnych odwołań, cytatów, nawiązań do Wyspiańskiego jest więcej.

Lechoń na kartach swego „Dziennika” przywołuje także inne utwory Wyspiańskiego, chociaż czyni to jakby na marginesie innych kwestii. I tak na przykład w „Wyzwoleniu” zwróci szczególną uwagę na nowatorskie koncepcje teatralne poety, dowodząc: „Wyspiański był wizjonerem teatru i miał rzeczy tak głębokie, jak Goethe, w sposób bardziej natchniony, nieziemski i, można powiedzieć, był większym poetą [!]. Tylko przedmiotem jego poezji był mikrokosmos Polska, a Goethe urządził sobie swoje pompatyczne i nieludzko greckie wykłady w kosmosie” (I, 116). Żarliwość i siłę oskarżeń padających pod adresem współczesnego społeczeństwa we wspomnianym dramacie Lechoń porównywał do niektórych scen „Samuela Zborowskiego” Juliusza Słowackiego. Pisząc, po raz któryś, o swym niespełnionym poetycko żywocie, przywoła postaci Eryonii z „Wyzwolenia”, „które już się mszczą na mnie jak na Konradzie Wyspiańskiego” (III, 479).

W „Sędziach” i „Bolesławie Śmiałym” podziwia niezwykłą poetyckość wielu scen (II, 179). Nieco dłużej zatrzyma się przy „Nocy listopadowej”, dramacie, który poznał w znakomitej adaptacji i reżyserii Ludwika Schillera. Z warszawskiego przedstawienia zapadła mu mocno w pamięć m.in. muzyka skomponowana do tej sztuki przez Lucjana Marczewskiego. „Marsz Kory – wyzna w „Dzienniku” – przez lata miałem w uszach i tak wspinał się do hellenizmu Wyspiańskiego” (III, 161).

Autor „Dziennika” pochylił się też nad sztuką poetycką Wyspiańskiego, a także, co istotne, przyjrzy się ogólnej ocenie „zjawiska”, jakim był w naszej literaturze twórca „Wesela”. W przekonaniu Lechonia był on twórcą niezwykle oryginalnym, niekiedy ową oryginalnością, gdy idzie o leksykę, metaforykę, frazeologię czy wersyfikację, budził niechęć u aktorów i krytyków literackich. „Wyspiański – pisze – był wielkim poetą dramatycznym, to znaczy się [!]: sztuki robią to samo wrażenie, co wiersze. Sam tekst był tu tylko jednym z elementów tego wrażenia, takim samym jak kolor kostiumów, asocjacje budzone w nas przez postacie historyczne, muzykę, światło. Z tego wszystkiego powstawał sens sztuki publicystycznej i metaforyczny” (III, s. 490).

Lechoń nie ukrywał swego przekonania, że ten niezwykle oryginalny język dramatów czasami „drażnił w czytaniu”, zwłaszcza jego „ubóstwo, twardość i czasami jakby patetyczna banalność. Dopiero na scenie „gra wszystko, składając się na ową poezję dramatyczną, na ów wspaniały wiersz, żywy, kolorowy, pełen sensu i tajemniczy zarazem” (II, 590).

Autor „Dziennika” uważał, że w twórczości Wyspiańskiego jest wiele scen, fragmentów „rozgadanych, chwilami niezgrabnych, ale znaczących przez geniusz”. Dostrzegał je w takich dramatach, jak: „Warszawianka”, „Noc listopadowa”, „Sędziowie”. „Byłby Wyspiański – w poezji naszej uznany za dziwaczny geniusz, gdyby był tylko twórcą tych niedoskonałych utworów. Ale napisał on poza tym *Wesele*, które jest doskonałością od pierwszego do ostatniego słowa, doskonałością w rodzaju przed nim i po nim nieobecnym” (III, 558).

Lechoń zauważa również, że ten niezwykle styl Wyspiańskiego próbowano wielokrotnie naśladować. Czynie to m.in. tak wybitni autorzy, jak Ludwik Morstin czy Hubert Rostworowski. Próby owe, stwierdza autor, nie przyniosły ciekawych rezultatów.

W pewnym momencie na kartach swego „Dziennika” Lechoń wyznaje: „Mistrzami mej młodości byli romantycy i Wyspiański” (I, 228). Ale, można śmiało powiedzieć, żyli w nim i z nim do końca życia”. Pod datą 27 V 1952 zanotuje: „We śnie Wyspiański. Nie pamiętam, gdzie, i co, i jak, ale gdy sobie to rano przypomniał, ten sen uradował mnie jak taka dobra wróżka” (II, 449).

¹ Zamieszczone w tekście cytaty pochodzą z wydania: Jan Lechoń, *Dziennik*, t. 1–3, Warszawa 1992–1993.

WIZYTA SŁAWOMIRA IDZIAKA W INSTYTUCIE SZTUKI

23 marca 2017 r. gościem Instytutu Sztuki Uniwersytetu Opolskiego był **Sławomir Idziak**, jeden z najwybitniejszych operatorów filmowych, autor zdjęć do ponad 50 filmów, współpracujący między innymi z Ridleyem Scottem, Andrzejem Wajdą, Krzysztofem Zanussi, Krzysztofem Kieślowskim.

W ramach współpracy Opola z organizacjami pozarządowymi w zakresie promocji miasta, Fundacja Film Spring Open Sławomira Idziaka zrealizuje w naszym mieście projekt pt. „Mieszkańców Opola portret własny”.

Wyjątkowość przedsięwzięcia polega na maksymalnym zaangażowaniu mieszkańców Opola, przy wykorzystaniu najnowszej technologii oraz wiedzy profesjonalnej ekipy filmowej i osobistym udziale mistrza Sławomira Idziaka.

Grupa zainteresowanych praktyczną edukacją audiowizualną uczestników (m.in. studenci Instytutu Sztuki Uniwersytetu Opolskiego) – około 15-18 osób związanych z Opolem, pod opieką pedagogów – znanych profesjonalistów, zrealizuje projekt filmowy (dokumentalny lub fabularny), którego tematem jest Opole, od fazy scenariusza poprzez realizację, post-produkcję, kończąc na internetowej dystrybucji. Proponowane zadanie realizowane będzie przez dwa tygodnie we wrześniu 2017 roku.

Projekt będzie powstawał na pokładzie Cinebusa – autobusu służącego do produkcji filmów, posiadającego najnowocześniejszy sprzęt audiowizualny.

Rezultatem działań będzie grupowy film na temat Opola. Realizatorzy będą zachęcać mieszkańców, aby dołączyli do zabawy i sami realizowali filmy za pomocą telefonów komórkowych.

Fot. Grzegorz Gajos





Michał Stachowicz, Sarkofag Zygmunta III, 1817, Biblioteka Narodowa w Warszawie

WŁODZIMIERZ KACZOROWSKI

DOLEGLIWOŚCI JEGO WYSOKOŚCI

Co było powodem śmierci Zygmunta III Wazy? (część IV)

Zaraz po śmierci Zygmunta III chirurdzy królewscy przeprowadzili sekcję zwłok, próbując ustalić, co ostatecznie stało się przyczyną śmierci Zygmunta III Wazy. Nie znaleziono zmian chorobowych w sercu, śledzionie, wątrobie i nerkach. W płucach, gdzie podejrzewano zastój wydzieliny, nie dostrzeżono zmian patologicznych. Przypuszczano, że istotne zmiany chorobowe dotyczyły centralnego układu nerwowego. Nie zdecydowano się jednak na sekcję mózgu.

Przeprowadzona retrospektywnie analiza objawów patologicznych, występujących u króla, pozwala przypuszczać, że u podłoża schorzenia Zygmunta III leżał proces miażdżycowy, nasilony zwłaszcza w obszarze naczyniowym mózgu. W rozwoju miażdżycy, przebiegającej równolegle z procesem starzenia się, istotną rolę odgrywają czynniki środowiskowe, a wśród nich dieta obfita w tłuszcze nasycone pochodzenia zwierzęcego (np. mięso wieprzowe, wołowe, masło). Zwyczajnie

kulinarne panujące na dworze królewskim, oparte na tradycyjnej kuchni staropolskiej, jak również nawyki żywieniowe Zygmunta III, bez wątpienia sprzyjały rozwojowi zmian aterosclerotycznych.

Do innych czynników, uznawanych za zwiększające ryzyko zmian miażdżycowych poprzez wzrost poziomu ciał lipidowych osocza i przyspieszenie procesu krzepnięcia krwi, należą nadmierne emocje i stresy. Można przypuszczać, że zarówno tryb życia Zygmunta III, spoczywające na nim obowiązki i odpowiedzialność za losy kraju i narodu, jak i osobiste, tragiczne przeżycia w związku ze śmiercią żony, królowej Konstancji, utrata korony szwedzkiej oraz próba zamachu na jego życie, wywarły znaczący wpływ na przebieg schorzenia monarchy.

Obserwacje kliniczne przeprowadzone u króla wskazywały na stany niedokrwienia mózgu, wyrażające się zawrotami i bólami głowy, zaburzeniami mowy, niedowładem kończyn, rozwijającymi się stopniowo z okre-

sami remisji, trwającymi kilka miesięcy. Zwalniający przebieg choroby Zygmunta III, stopniowy rozwój niedowładów połowicznych, pojawienie się afazji i agnozji mogą wskazywać na powikłania zakrzepowo-zatorowe w zakresie naczyń mózgu. Zachowane szczegóły dotyczące objawów chorobowych, wskazujące na pojawienie się u króla okresowo krwotoków z nosa, sugerują współistnienie nadciśnienia tętniczego, nasilającego zmiany miażdżycowe. Objawy te wraz z występowaniem podagry i uporczywych bólów stawów stopy, będące wyrazem skazy moczanowej, dopełniały całości obrazu klinicznego. Fakt istnienia dny moczanowej, spotykanej głównie u mężczyzn stosujących wysokokaloryczną dietę z uwzględnieniem alkoholu, zwłaszcza wina, wskazuje na istotną rolę czynnika żywieniowego w schorzeniu Zygmunta III.

Przeprowadzona analiza objawów chorobowych Zygmunta III pozwala przypuszczać, że stanowiły one kliniczne powikłania miażdżycy skojarzonej z zaburzeniami metabolicznymi. Najgroźniejszym powikłaniem okazał się udar mózgu (*apoplexia cerebri*), który można traktować jako wysoce prawdopodobną przyczynę zgonu króla.

„W głowie więc leżała przyczyna śmierci”

Zaraz po śmierci Zygmunta III chirurdzy królewscy dokonali sekcji zwłok, usuwając zarazem z ciała monarchy wszystkie organy wewnętrzne, które pochowane zostały w oddzielnym naczyniu (urnie), a następnie przystąpiono do balsamowania zwłok. Kanclerz wielki litewski Albrycht Stanisław Radziwiłł odnotował: „Po południu [30 IV 1632 r. – W.K.] otwarto ciało króla; wszystkie wewnętrzne organy okazały się zdrowe, płuca, serce, śledziona, wątroba cała, żadnej flegmy; mógł jeszcze żyć 20 lat; w głowie więc leżała przyczyna śmierci, ale głowy nie ruszano. Serce było bardzo duże, znak to jego ociężałości. Ciało królewskie złożone na łóżku miało całkiem inny wygląd aniżeli za życia”. Z kolei Jakub Sobieski, krajczy koronny w rękopisie: *Acta interregni po śmierci Króla JM Zygmunta III i diariusz actu i sejmu koronacji Władysława IV, w domu JMP Sobieskiego, krajczego kor[onnego] i przez IMci samego accurate trutinowane A.D. 1632 Aprilis ultima die* opisał nie tylko szczegółowo ostatnie dni życia Zygmunta III i jego śmierć, lecz także sposób, w jaki ciało króla balsamowano: „Tego dnia (było to w piątek) [30 IV 1632 r. – W.K.], kilka godzin po śmierci exenterowano Króla Imci, bawełny i ziół pachnących *loco intestinorum* nakładszy. Ubrali go *vestistu Regali*, koronę... kosztowną włożywszy, *sceptrum* dawszy mu w rękę prawą, a w lewą

jabłko, i tak ubrane ciało nieśli na kitajkach, za którym i królewicowie Ichmć śli. Przyniosłszy je do izby drabankiej, kędy więc ś.p. Król Imć *publicae* jadywać zwykł, postawili ciało na majestacie wywyższonym, na wezłowiach złotogłowych i pod kosztownym baldakimem, korona, *sceptrum* i jabłko szwedzkie, na wezłowiach takichże leżały”.

O ile sam fakt umieszczania w trumnach wapna oraz ziół jest znany i tłumaczony chęcią zabezpieczenia zwłok przed zbyt szybkim gniciem w okresie pomiędzy śmiercią a pogrzebem, który niekiedy trwał dość długo, to sprawa określenia gatunku roślin wkładanych do trumien jest bardzo złożona. Z problematyką tą spotykamy się w licznych opracowaniach Michała Rożka. Autor, podsumowując znane z relacji fakty „balsamizacji” zwłok królewskich, pisze, że: „Przy tak specyficznych balsamacjach ograniczano się z reguły do otwarcia jamy brzusznej i klatki piersiowej, wyciągnięcia serca, wnętrzości, kąpieli solnej, nasycenia i zasypania ciała chmielem lub popiołem, ziołami lub bawełną, czasem nasączenia dodatkowo maściami. Wyjmowano niekiedy mózg, a miejsce po nim wypełniano końskim włosiem. Po dokonaniu ostatecznych czynności wnętrzości i serce składano w specjalnych urnach, które uroczystie grzebano. W przypadku monarchów nie wszystkie trafiły na Wawel”.

Warto nadmienić, że po dokonaniu sekcji zwłok i balsamowaniu organów wewnętrznych Zygmunta III serce wraz z pozostałymi organami złożono w specjalnej urnie, którą wysłano do Krakowa na Wawel w tej samej trumnie co zwłoki króla. Jej dalsze losy są nieznane. Na urnie tej wygrawerowano inskrypcję w języku łacińskim. Poniżej został pomieszczony tekst w języku polskim.

Najjaśniejszy Władca Zygmunt III, Król Polski i Szwecji, Wielki Książę Litwy, Świętemu Kazimierzowi Jagiellończykowi¹, Swojemu wielkiemu przodkowi² i patronowi, Któremu za życia oddawał ustawiczną cześć, (Jemu) także po śmierci ofiarował swoje wnętrzości, Które, złożone w tym naczyniu, Czekają na połączenie z ciałem pogrzebanym w Krakowie³, W dniu Zmartwychwstania zmarłych. Najjaśniejszy Władca Władysław Zygmunt, Król Szwecji i Polski, dziedziczny Władca Szwecji, Najukochańszemu Ojcu dla

¹ Kazimierz Święty (1458–1484), książę polski.

² W tekście łac. *avunculus magnus*, dosłownie: brat babki; określenie to nie oddaje prawdy historycznej. Święty Kazimierz był bratem Zygmunta I Starogo, dziadka Zygmunta III Wazy. Dlatego zastosowano w przekładzie określenie: „wielkiemu przodkowi”.

³ Pogrzeb pary królewskiej, Konstancji i Zygmunta III, odbył się 4 II 1633 r. w Krakowie.

pmięci wystawił. Zmarł w Warszawie, Dzień przed Kalendami Maja⁴, roku Pańskiego 1632 w wieku 66 (lat).

Korona moskiewska, berło polskie

Po przeprowadzeniu czynności chirurgicznych przy ciele Zygmunta III przybrano je w królewskie szaty: kapę z białego jedwabiu, przetykanego złotymi nićmi, białą dalmatykę, rękawiczki i obuwie. Ubrane zwłoki wystawiono na widok publiczny w Zamku Królewskim na paradnym łożu w „pokoju, gdzie [król] zwykł był publicznie słuchać mszy św., gdy jeszcze był zdrowy”. Dekorację tej sali Juliusz A. Chrościcki zaklasyfikował jako *salle d'honneur* (sala paradna). Zasadniczy sprzęt w sali paradnej stanowiło łożo paradne (*bed of state*). Przy konstrukcji łoża dla Zygmunta III wykorzystano stół, układając na nim ciało na wysokim wezglowiu. Nad łożem zawieszono baldachim, zbudowany na planie czworokąta, z czerwonej tkaniny, ozdobionej złotą nicią i przybraną perłami. Po bokach łoża ustawiono 6 poślaczanych świeczników, w nogach umieszczono złoty krzyż. Przy zwłokach króla, mającego na głowie koronę moskiewską⁵, w rękach berło i jabłko królestwa polskiego, złożono insygnia szwedzkie⁶. Zachowana rycina Filipa Janscha ukazuje pomieszczenie, w którym wystawiono ciało Zygmunta III. Salę tę Bohdan Guerquin określił jako Sień Gwardii. W tym pomieszczeniu zwłoki królewskie wystawione były przez osiem dni, nie ulegając rozkładowi.

W dniu 7 maja 1632 r. o czwartej po południu złożono ciało królewskie do dębowej trumny obitej czerwonym aksamitem. Królewicz Władysław zdjął ojcu z głowy koronę, królewicz Jan Kazimierz wraz z królewiczem Aleksandrem przekazali mu insygnia królewskie jako kreowanemu następcy tronu polskiego. Z kolei Kasper Denhoff, wojewoda derpski, 4 złote pierścienie Zygmunta III przekazał Władysławowi, „szacowane na półtrzeciakroc tysięcy złotych, które [Władysław – W.K.] włożył na swoje palce”, a ojcu nałożył na palec pierścień szafirowy „bardzo wielki, który szacowano na dwanaście talarów”.

⁴ Kalendy (łac. *calendae*), pierwszy dzień miesiąca u starożytnych Rzymian; tu: 30 kwietnia 1632 r.

⁵ Koronę, określaną w źródłach jako moskiewską, podarował Zygmuntowi III car Dymitr Samozwaniec zaraz po swojej koronacji w Moskwie w roku 1605. Koronę tę, podobnie jak szwedzkie regalia, traktował Zygmunt III jako prywatną własność (M. Rożek, *Polskie koronacje i korony, Kraków 1987*, s. 82).

⁶ Koronę szwedzką Zygmunt III przywiózł po koronacji w Uppsali w 1594 r. Na łożu śmierci przekazał ją synowi Władysławowi. Użyta w czasie uroczystości żałobnych w Warszawie po śmierci Zygmunta III poświadczała pretensje polskich Wazów do tronu szwedzkiego (*ibidem*, s. 81–82).

Królewicz Władysław włożył na głowę ojca złotą koronę „na urząd robioną [...] niczym niesadzoną”.

Ostatecznie ciało Zygmunta III zostało złożone 15 maja 1632 r. w kaplicy zamkowej przy zwłokach królowej Konstancji, do czasu wyznaczenia przez sejm elekcyjny pogrzebu pary królewskiej w Krakowie. Albrycht Stanisław Radziwiłł pozostawił taką relację: „Nie bez żalu oglądano Ich Majestat. Jeszcze przed rokiem zadziwiali swym blaskiem cały niemal świat, a teraz obie ich trumny razem zestawione świadczyły, że światowy majestat jest żałośnie zwodniczy”.

Należy podkreślić, że w dniu 23 sierpnia 1632 r., a więc jeszcze przed elekcją nowego króla, królewicz Władysław wystosował list do wójtów Gdańska z prośbą o zrealizowanie zadeklarowanej przez nich pożyczki na trumnę dla Zygmunta III. Z treści listu wynika, że wykonawca trumny wystawił rachunek na 5 tys. florenów. W związku z powyższym Władysław zwrócił się z prośbą, aby Gdańsk przekazał wyżej wymienioną sumę pieniędzy mistrzowi gdańskiemu, wykonawcy powyższego zlecenia. Królewicz zapewniał również, że po odbytej elekcji dług zostanie spłacony. Wzmiankowana wcześniej trumna z drewna dębowego, do której złożono ciało Zygmunta III zaraz po śmierci, nie była zatem tą prawdziwą. W Gdańsku obstalowano trumnę cynkową, tam również zamówiono trumnę królowej Konstancji. Sarkofagi obojga wykonano najprawdopodobniej równocześnie, a w każdym razie w jednym i tym samym warsztacie artystyczno-konwisarskim. Świadczy o tym szereg motywów ściśle lub prawie ściśle powtarzających się oraz równy poziom artystyczny i techniczny obu sarkofagów także w tych partiach, które się między sobą różnią. Oba cynowe sarkofagi królewskie, znajdujące się na Wawelu, są prawdziwymi dziełami sztuki.

Boki sarkofagu królowej Konstancji wypełniają personifikacje cnót głównych i teologicznych oraz cnoty cierpliwości. Na wieku umieszczono płaskorzeźbiony krucyfiks oraz grawerowane postaci Madonny i św. Jana Ewangelisty, nadto medaliony z ewangelistami i scena wyobrażająca zmartwychwstałego Chrystusa. Krótki bok dolnej części sarkofagu wypełnia herb polsko-litewsko-szwedzko-habsburski rozmieszczony na trzech coraz mniejszych, na siebie nałożonych tarczach oraz długi napis łaciński.

Sarkofag Zygmunta III jest niezwykle okazały, wsparty na lwach, z figurkami przy ścianach Jozuego, Judy Machabeusza, królów Saula, Dawida, Salomona oraz alegoriami Wiary, Religii i Męstwa. Pokrywają go płaskorzeźbione

wyobrażenia współczesnych królowi wydarzeń, jak oblężenie Smoleńska w 1610 r., poselstwo moskiewskie przed polskim władcą, bitwa pod Chocimiem w 1621 r., poselstwo tureckie przed monarchą, ponadto tarcze herbowe Rzeczypospolitej i Królestwa Szwecji. Na wierzchu trumny znajduje się płaskorzeźba z ukrzyżowanym Jezusem i grawerowanymi postaciami Najświętszej Marii Panny i św. Jana Ewangelisty. Boki wieka trumny wypełniają panoplia oraz instrumenty. W otoczeniu plastycznych ornamentów roślinnych znajduje się długi napis łaciński.

Żałoba po królu „pracowitym i kontrowersyjnym”

Po śmierci Zygmunta III w wielu miastach Rzeczypospolitej odprawiano w miejscowych kościołach msze św. za duszę zmarłego, m.in. w Krakowie, Poznaniu, Wałczu, Gdańsku. W stołecznym Krakowie w kościele Panny Marii stanęło *castrum doloris*, ozdobione tkaninami. Rada Miejska Gdańska bezzwłocznie wystosowała na ręce interreksa – Jana Wężyka, prymasa i arcybiskupa gnieźnieńskiego, pismo kondolencyjne, w którym wyrażała głęboki żal i współczucie z powodu śmierci polskiego władcy. Rajcowie miejscy zebrali się na nadzwyczajnym posiedzeniu, w czasie którego ustalono sposób publicznego ogłoszenia wiadomości o zgonie Zygmunta III, oddania czi zmarłemu w kościołach gdańskich oraz rygory obowiązujące mieszkańców na czas żałoby. Zarządziła ponadto, poprzez przygotowane 6 maja 1632 r. ordynacje, aby 9 maja we wszystkich kościołach gdańskich i najbliższej okolicy (w posiadłościach wiejskich miasta, kościołach wiejskich) zorganizowano uroczystości żałobne. W kościele Najświętszej Panny Marii w Gdańsku, gdzie odbyły się główne uroczystości żałobne, w trakcie celebrowania nabożeństwa żałobnego zostało wygłoszone kazanie, w którym przedstawiono *curriculum vitae* Zygmunta III. W tym kontekście należy dodać, że Jan Mochinger, pseudonim Nehanius Reginhomus (1603–1652), profesor retoryki w Gdańskim Gimnazjum Akademickim (1630–1632), pełniący jednocześnie funkcję oficjalnego mówcy swej uczelni i Rady Miejskiej, wygłosił 25 maja 1632 r. publiczną mowę w Gimnazjum (*De plangore urbis Gedanensis super excessu Sigismundi III*), będącą w swej istocie panegiryczną oracją ku czci Zygmunta III. Mówca wspominał związek króla z Gdańskiem, jego troskę o miasto, a zwłaszcza o wzmocnienie jego obronności. W oczach Mochingera Zygmunt III był godnym spadkobiercą Kazimierza Jagiellończyka, który pierwszy obdarzył miasto przywilejami. Uchodził za monarchę wykształconego, znał łacinę, język włoski, niemiecki. W życiu prywatnym był łagodny

i wyrozumiały. Po śmierci Zygmunta III Szymon Dacius (1605–1659), autor okolicznościowych utworów, napisał na tę okazję utwór funeralny.

Trudno przesądzić, na ile odbywające się w Rzeczypospolitej uroczystości żałobne po śmierci Zygmunta III były manifestacją szczerego i prawdziwego uczucia żalu oraz przywiązania społeczeństwa do osoby zmarłego. Można przypuszczać, że śmierć władcy, kierującego stem państwa przez prawie pół wieku, musiała wstrząsnąć uczuciami mieszkańców Rzeczypospolitej. O nastrojach panujących wówczas wśród społeczeństwa szlacheckiego najlepiej świadczy fakt wystosowania przez Krzysztofa Radziwiłła, hetmana polnego litewskiego, w dniu 5 maja 1632 r. listu do Samuela Lenka, w którym stwierdził: „z wielkim żalem doszła mnie ta nieszczęsna o śmierci króla Pana Naszego nowina”. A przecież książe Krzysztof Radziwiłł nie miał powodów do zmartwienia po śmierci nieprzyjawnego mu pod każdym względem monarchy. Zważywszy, że książe nie był zmuszony do ukrywania swoich uczuć wobec adresata, swojego sługi i współwyznawcy, można przyjąć, że wyrażony w cytowanym zdaniu żal był autentyczny. Książe napisał również miły i osobisty list z kondolencjami do córki zmarłego władcy, królowej Anny Katarzyny. Jest także rzeczą znamienne, że panegiryczny wiersz⁷, rozpowszechniony po zgonie Zygmunta III, przypisywano powszechnie czołowemu przywódcy obozu innowierców – Rafałowi Leszczyńskiemu, wojewodzie bełskiemu. Można wątpić, aby był on autorem tego wiersza, zwłaszcza że sceptycznie odnosił się do kandydatury wymienionego w wierszu królewicza Władysława, popierając raczej królewicza Aleksandra. Być może innowiercy starali się celowo demonstrować cześć i szacunek dla zmarłego króla, włączając się do powszechnej żałoby. Szlachta bowiem przez cały okres bezkrólewia dobrowolnie nosiła po zmarłym królu żałobę.

Odejście Zygmunta III budziło wśród społeczeństwa Rzeczypospolitej obawy i lęk przed zbliżającym się *interregnum*. Przyczyny tego lęku były zresztą w pełni uzasadnione, gdyż Rzeczpospolita znajdowała się w niebezpiecznej sytuacji zewnętrznej. Odszedł król niezwykle sumienny, pracowity, a jednocześnie kontrowersyjny.

⁷ „Zaszło słońce, Polacy, Umarł Zygmunt Trzeci! Cóż uczynim? Starszemu tedy z jego dzieci Złotą koronę włożym na królewskie skronie: I tak będzie dzień jasny, chociaż zaszło słońce” (J. Nowak-Dłużewski, *Okolicznościowa poezja polityczna w Polsce. Dwaj młodzi Wazowie, Warszawa 1972*, s. 13).

BARTOSZ SUWIŃSKI

WIGILIA 2016

Najpierw dzielą się opłatkiem jak kawałkiem chrupkiego chleba, którego skórka zaślepiła dziurę i ząb osiadł w dziąśle jak łajba w przystani.

Już pierwsza gwiazda na niebie, łuska schowana w portfelu, ość rzucona w ogień. Zupa stygnie na talerzach, paruje groch z kapustą.

Po co komu wyszukane porównania, zbytek zabiegów na lepsze jutro, które i tak odarte jest ze światła.

Pasterze zakrzusili się kadzidłem, króle złamali laski, pogubili dary.

Judasz rozdał srebrniki.
Ksiądz trafił na ostry dyżur.
Wierni wrócili do stołów.
Zwierzęta przemówiły ludzkim głosem.

Oni zostali sami. Matka z dzieciątkiem,
w grocie, dopaliło się ognisko, żar zastygł,
głaz przytknął noc jak wieko. Głucho wszędzie.
Cicho wszędzie. Nic już będzie.

ODESZLI

KS. PROF. DR HAB. ALOJZY MARCOL



Fot. Szymon Zmarlicki („Gość Niedzielny. Gliwice”)

25 marca 2017 r. zmarł ks. prof. dr hab. Alojzy Marcol, lat 85, długoletni profesor w Wyższym Seminarium Duchownym w Nysie oraz na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Opolskiego.

Ks. prof. dr hab. Alojzy Marcol urodził się 4 czerwca 1931 r. w Nędzy koło Raciborza (obecna diecezja gliwicka) jako syn Franciszka i Marii z domu Grzesik. Był trzecim spośród siedmiorga rodzeństwa. W rodzinnej wiosce uczęszczał do szkoły powszechnej. Po jej ukończeniu kontynuował naukę w gimnazjum ogólnokształcącym w Raciborzu, ale w 1945 r. musiał ją przerwać z powodu działań wojennych. W tym roku zmarł także jego ojciec internowany przez radzieckie władze wojskowe. Przez cały następny rok pracował w Lasach Państwowych, zarabiając w ten sposób na utrzymanie licznego rodzeństwa. W styczniu 1947 r. podjął na nowo naukę w gimnazjum w Raciborzu, pozostając w nim aż do końca roku szkolnego. Ponieważ już wtedy nosił się z zamiarem wyboru

drogi kapłańskiej, za radą swojego proboszcza ks. Waltera kontynuował edukację w Niższym Seminarium ojców werbistów w Nysie, w którym w 1952 r. złożył egzamin dojrzałości. Po maturze wstąpił do Wyższego Seminarium Duchownego Śląska Opolskiego w Nysie-Opolu.

Święcenia kapłańskie przyjął 23 czerwca 1957 r. w Opolu z rąk ks. bpa Franciszka Jopa. Bezpośrednio po święceniach został skierowany na studia specjalistyczne z zakresu teologii moralnej w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim (1957–1960). W 1960 r. obronił magisterium i licencjat z teologii (KUL) na podstawie pracy pt. „Problem atomowy w świetle nauki Piusa XII”, pisanej pod kierunkiem ks. doc. dra hab. Władysława Poplatka. Po studiach został wykładowcą w Wyższym Seminarium Duchownym w Nysie, równocześnie pracując nad doktoratem. Stopień naukowy doktora teologii uzyskał 22 listopada 1962 r. na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim na podstawie rozprawy „Obiektywność wartości etycznych w ujęciu Jana Hessena”, pisanej również pod kierunkiem ks. doc. dra hab. Władysława Poplatka (recenzentami byli: ks. doc. dr hab. Stanisław Olejnik i ks. bp doc. dr hab. Karol Wojtyła).

Obok pełnionej funkcji wykładowcy, w latach 1962–1964 oraz 1969–1977, był rektorem kościoła pw. św. Franciszka w Nysie, a od 1977 do 1983 r. – rektorem nyskiego seminarium. W 1974 r. został członkiem Europejskiego Stowarzyszenia Etyków „Societas Ethica” i Stowarzyszenia Teologów Moralistów obszaru języka niemieckiego. 18 maja 1987 r., na podstawie rozprawy „Joseph Wittiga teologia narratywna”, uzyskał tytuł doktora habilitowanego. 20 grudnia 1991 r. został mianowany na stanowisko profesora nadzwyczajnego Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie, zaś 19 listopada 1993 r. prezydent RP przyznał mu tytuł profesora.

Obok pracy dydaktycznej w seminarium był również pracownikiem naukowym Akademii Teologii Katolickiej (1983–1994), a od 1994 do 2002 r. – profesorem na Wydziale Teologicznym w Opolu. Po przejściu na emeryturę, w 2002 r., nadal był aktywny naukowo, prowadząc m.in. zajęcia zleczone w Opolu i na uczelni cysterskiej w Heiligenkreuz w Austrii (do 2007 r.).

PROF. DR HAB. GRZEGORZ BRYLL



Prof. Grzegorz Bryll

28 marca br. zmarł profesor dr hab. Grzegorz Bryll, były prorektor Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu oraz Uniwersytetu Opolskiego. Za jego kadencji i przy jego aktywnym udziale uczelnia uzyskała pełne uprawnienia akademickie, przekształcając się w Uniwersytet Opolski w 1994 roku. Prof. Grzegorz Bryll urodził się 2 stycznia 1935 r. w Gostyniu w Wielkopolsce, gdzie spędził dzieciństwo. W latach 1949–1953 był uczniem Liceum Pedagogicznego w Lesznie, a po uzyskaniu świadectwa dojrzałości w 1953 roku rozpoczął studia w Wyższej Szkole Pedagogicznej we Wrocławiu, a następnie w Opolu, po przeniesieniu uczelni do naszego miasta. Był jednym z pierwszych magistrów matematyki opolskiej WSP. Po studiach na krótko wrócił do rodzinnego Gostynia, gdzie znalazł pracę jako nauczyciel matematyki i fizyki w miejscowym liceum ogólnokształcącym. W 1958 roku za namową swojego

promotora prof. Jerzego Słupeckiego wrócił do Opolu, podejmując pracę jako asystent na Wydziale Matematyczno-Informatycznym WSP.

W początkowym okresie swej działalności naukowej zajmował się teorią gier macierzowych i teorią gier pościgowych. Doktorat z matematyki obronił w 1968 roku, po czym został wykładowcą w ówczesnej Wyższej Szkole Inżynierskiej w Opolu, gdzie w latach 1971–1975 był dziekanem Wydziału Elektrycznego, a później, w latach 1975–1981 pełnił funkcje prorektorskie. Po habilitacji w 1982 roku powrócił do macierzystej uczelni (opolskiej WSP). W latach 1985–1989 pracował w Algierii, gdzie kierował Departamentem Matematyki w Centrum Uniwersyteckim w Blidzie. W latach 1991–1996 pełnił funkcję prorektora, początkowo na WSP, a później na Uniwersytecie Opolskim. Kierował zespołem do opracowania wniosku o utworzenie Uniwersytetu Opolskiego oraz komitetem organizacyjnym uroczystości otwarcia Uniwersytetu Opolskiego. Tytuł profesorski otrzymał w 1997 roku. W latach 1991–2006 był kierownikiem Katedry Logiki Matematycznej w Instytucie Matematyki i Informatyki UO. Na emeryturę przeszedł w 2006 roku.

Dzięki Niemu ośrodek opolski osiągnął znaczące miejsce na mapie logiki światowej. Był autorem ponad 130 publikacji, w tym 10 książek i skryptów. Profesor Grzegorz Bryll był współtwórcą nowej dziedziny w logice – teorii odrzucania wyrażań. Prowadził badania w zakresie logik wielowartościowych, pragmatyki logicznej oraz historii logiki, zwłaszcza logiki stoickiej.

Interesował się zagadnieniami dydaktyki matematyki, kontynuując dzieło Słupeckiego. Jak mówił w wywiadzie do *Gazety Wyborczej* w 1997 r.: „Lubię dwie rzeczy: uczyć siebie i innych. (...) Trzeba trafić do każdego, do każdej psychiki znaleźć drogę”.

Był współautorem ważnych publikacji: *Theory of Rejected Propositions*, *Studia Logica 1971-72*; *Badania formalne nad logiką stoicką*, wyd. OAK, Warszawa 1998; *Wybrane zagadnienia dydaktyki matematyki*, wyd. GOW, Poznań 2009.

KS. KARDYNAŁ MILOSLAV VLK, DOKTOR HONORIS CAUSA UO



24 stycznia 2002 r. ks. kardynał Miloslav Vlk przyjął godność doktora honoris causa Uniwersytetu Opolskiego (fot. Tadeusz Parcej)

18 marca br., w wieku 85 lat, zmarł ks. kardynał Miloslav Vlk, który w 2002 r. przyjął godność doktora honoris causa Uniwersytetu Opolskiego.

Ks. kardynał Miloslav Vlk urodził się 17 maja 1932 roku w Lisnicy. Szkołę średnią ukończył w Czeskich Budziejowicach w roku 1946. Po odbyciu służby wojskowej i dwóch latach pracy robotniczej mógł podjąć studia historyczne i archiwistyczne na Uniwersytecie Karola w Pradze. Owocem tych studiów są publikacje naukowe, między innymi na temat „Kodeksu jeneńskiego”. W latach 1960–1964 pracował w archiwum miejskim w Czeskich Budziejowicach.

W roku 1964 pozwolono mu wstąpić do Seminarium Duchownego w Litomierzycach. Święcenia kapłańskie przyjął 23 czerwca 1968 r., w okresie Praskiej Wiosny.

Został następnie sekretarzem biskupa Josefa Hloucha w Czeskich Budziejowicach. W latach 1971–1978 ks. Miloslav Vlk pracował w kilku parafiach południowoczeskich jako proboszcz i administrator. W 1978 r. władze państwowe odebrały mu prawo do wykonywania posług kapłańskich. Podjął wtedy pracę fizyczną w Pradze w zakładzie oczyszczania miasta, gdzie przez osiem lat mył okna wystawowe. Przez następne trzy lata był archiwistą w banku.

W styczniu 1989 r. mógł wrócić do pracy duszpasterskiej. Uczestniczył w wydarzeniach aksamitnej rewolucji. W 1990 roku został biskupem czeskobudziejowickim, a w 1991 r. arcybiskupem i metropolitą praskim.

W latach 1993–2001 ks. abp Miloslav Vlk pełnił obowiązki przewodniczącego Rady Konferencji Episkopatów Europy (CCEE); na tym stanowisku podejmował liczne inicjatywy na rzecz pojednania, współpracy Kościołów i narodów jednoczącej się Europy. 11 listopada 1994 roku papież Jan Paweł II mianował go kardynałem. Ks. kardynał Miloslav Vlk brał udział w sesjach Światowego Synodu Biskupów w Watykanie, wziął też udział w konklawe, które w 2005 roku wybrało papieża Benedykta XVI.

Był doktorem honorowym Papieskiej Akademii Teologicznej w Krakowie oraz uniwersytetów w Illinois, Minnesocie i w Passau.

LISTY, POLEMIKI

Szanowna Redakcjo!

W ostatnim numerze „Indeksu” pani Agnieszka Kania – w pięknym eseju – odkrywa baśniowe światy zaklęte w naszej najciekawszej fontannie Opola. Nie każdy jednak opis dotyka baśni i mitów. Pani Agnieszka pisze: „zniszczono baseny przeciwpożarowe (pod koniec wojny były cztery, po jednym w każdym rogu placu)”. Otóż tak nie było. Były tylko dwa duże baseny po obu stronach fontanny, już bez wody, dokładnie w tym miejscu, gdzie dzisiaj są kwiatowe dywany.

W 1945 roku byłam uczennicą żeńskiego Gimnazjum i Liceum Ogólnokształcącego przy ul. Kościuszki 14. Na lekcji wychowawczej profesor polonista – Czesław Kurek – wyprowadził naszą klasę na znajdujący się tuż obok szkoły plac Daszyńskiego. Dużo opowiadał o kamiennych postaciach na fontannie, a potem trzeba było z tej wycieczki napisać wypracowanie domowe. Doskonale pamiętam, że najlepsze, na piątkę, napisała Zosia Załuska.

Ale baseny były tylko dwa.

Łączę najlepsze życzenia
Nana Drogowska, Turawa

Szanowni Państwo,

W grudniowym numerze „Indeksu” (2016), pisma, które bardzo sobie cenię za niezwykle pięknie prezentujący się wygląd graficzny i ciekawe relacje z akademickiej sceny, szczególnie bliska mi jest relacja z „mrówczych” początków [tekst dr Wandy Matwiejczuk „Mrówcze początki” – przyp. red.] – wszak byłem pierwszym mieszkańcem „Mrowiska”! Cóż, moje czasy studenckie skończyły się po październiku 1956 r., po mej wizycie u rodziców zamieszkałych pod Hannoverem. Potem los osadził mnie w uniwersytecie w Getyndze. W końcu ulokował mnie na brzegach Dunaju.

Dzięki cudownym kolegom udało mi się zachować kontakty z opolską uczelnią – zaczęły się one od profesorów: Borka, Studenckiego, a trwają do dziś, dzięki przyjaźni z panią prof. Dorotą Simonides, profesorami z rusycystyki i germanistyki, a nade wszystko z profesorem Stanisławem S. Nicieją.

O zasługach i osiągnięciach mych przyjaciół dowiaduję się ze stronic „Indeksu”, stąd tak bardzo sobie to pismo cenię.

Prof. dr Heinz Kneip, Regensburg

3

INDEKS

RELACJE, RECENZJE, NOTY

109

str. 159

KIERUNEK LEKARSKI CORAZ BLIŻEJ

AGNIESZKA JUKOWSKA

TRWA BUDOWA COLLEGIUM MEDICUM UO

Prace mają się zakończyć pod koniec lipca

Obok budynku uniwersyteckiego przy ulicy Oleskiej 48 pracują ciężkie maszyny – trwa budowa Collegium Medicum UO.

Modernizacja budynku przy ulicy Oleskiej, prowadzona przez firmę Mostostal Zabrze GPBP SA, ma zakończyć się pod koniec lipca tego roku. Rozbudowa będzie prowadzona w kierunku ulicy o. J. Czapłaka, a obecny budynek przy ulicy Oleskiej zostanie podniesiony o jedno piętro. Pomieści m.in. sale audytoryjne, laboratoria oraz sale do ćwiczeń. Inwestycja będzie kosztować około 42 mln zł, z czego 32 mln zł pokryje Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego, Uniwersytet Opolski musi zapewnić 20-procentowy wkład własny. W zebraniu wymaganej kwoty naszej uczelni pomagają samorządy i środowiska biznesowe Opolszczyzny.

Budowa Collegium Medicum będzie realizowana w trzech etapach, w taki sposób będą też uruchamia-

ne kolejne, ministerialne transze. Do października mają być gotowe sale i laboratoria dla studentów pierwszego roku kierunku lekarskiego. Cała budowa zostanie zakończona w 2019 roku.

W ostatnich dniach marca zabetonowane zostały ściany drugiego piętra, rozpoczęto betonowanie szyb windowych i betonowanie stropu. Oprócz prac w nowym budynku trwają intensywne roboty w budynku istniejącym (m.in. zbijanie tynków, wykuwanie otworów na drzwi, a także prace związane z zagospodarowaniem terenu i zewnętrzną kanalizacją sanitarną).

Pierwsi studenci kierunku lekarskiego rozpoczną naukę już w październiku tego roku. Czeka na nich 60 miejsc, finansowanych w ramach subwencji przez ministerstwo, a 40 studentów tego kierunku będzie mogło podjąć studia odpłatnie.

PATRYK KORZEC

CO TO ZA BUDOWA?

Otwarcie Collegium Medicum zbliża się wielkimi krokami. Budowa trwa. Już od października naukę rozpocząć ma tam 60 studentów. A co na temat budowy wiedzą studenci Uniwersytetu Opolskiego?

Od kilku tygodni przy ul. o. Józefa Czapłaka trwa budowa siedziby dla nowego kierunku lekarskiego. Prace posuwają się wręcz w błyskawicznym tempie, lecz czy obecni studenci Uniwersytetu Opolskiego wiedzą, co budowane jest tuż obok obleganego przez nich kampusu? Zapytałem o szczegóły budowy przechodzących obok niej studentów, z których większość wracała lub zmierzała na zajęcia. Wyniki były zadziwiające, gdyż na 20 osób zapytanych o budowę, na którą właśnie patrzą, jedynie cztery odpowiedziały poprawnie. Sześć osób wiedziało, że jest to nowy wydział, lecz nie pamiętało jaki, a pozostali wrzucali jedynie ramionami. Moje drugie pytanie, jak zwykle po podpowiedzi, iż tutaj budowane jest Colle-

gium Medicum, dotyczyło terminu otwarcia siedziby nowego kierunku. Teraz było już lepiej, gdyż ponad połowa zapytanych odpowiedziała poprawnie. Ostatnie pytanie dotyczyło liczby osób, które mają rozpocząć tam studia medyczne; odpowiedzi były bardzo rozbieżne. Żadna z nich nie trafiła w liczbę 60, zaledwie pięć osób pomyliło się o włos, pozostałe odpowiedzi oscylowały w przedziale od 10 aż do tysiąca.

Jak widać, opolscy studenci średnio orientują się w sprawach, które dzieją się dosłownie na ich podwórku. Ogólnodostępne w mediach informacje nie docierają do nich lub docierają połowicznie, na co wskazują ich częstokrotne odpowiedzi.



Budowa Collegium Medicum UO (fot. Sylwester Koral)



Stan budowy w połowie kwietnia br. (fot. Sylwester Koral)

BARBARA STANKIEWICZ

RECEPTA NA INDEKS

W październiku br. na Uniwersytecie Opolskim pojawią się pierwsi studenci kierunku lekarskiego (rekrutacja rozpoczęła się już 24 kwietnia br.). Tymczasem przy ul. o. J. Czapłaka rośnie budynek Collegium Medicum, a kolejne samorządy dokładają swoje finansowe cegiełki do kwoty potrzebnej na uruchomienie kierunku. Trwają, pod kierunkiem prorektora ds. zarządzania i rozwoju prof. dr hab. Wiesławy Piątkowskiej-Stepaniak, intensywne prace organizacyjne, w które zaangażowane jest także opolskie środowisko medyczne. O wypowiedzi na temat powstającego kierunku poprosiliśmy dr. Jerzego Jakubiszyna, dr Barbarę Radecką, dr. Dariusza Łątkę, dr. Dariusza Kowalczyka i przewodniczącą Okręgowej Izby Pielęgniarek i Położnych w Opolu Sabinę Wiatkowską.



Dr Jerzy Jakubiszyn (fot. Sybilla Fusiarcz)

DR NAUK MED. JERZY JAKUBISZYN, ordynator Oddziału Laryngologicznego Wojewódzkiego Centrum Medycznego w Opolu, prezes opolskiej Okręgowej Izby Lekarskiej: – Przyznam, że na początku, kiedy usłyszałem o planach uruchomienia na Uniwersytecie Opolskim kierunku lekarskiego, byłem sceptyczny. Niedaleko przecież – we Wrocławiu i Katowicach – mamy świetne akademie medyczne, dysponujące odpowiednią bazą i kadrą z dużym doświadczeniem... Kierunek lekarski w Opolu trzeba by tworzyć od podstaw, a nie jest to łatwe. Jako przewodniczący Konwentu Prezesów Okręgowych Rad Lekarskich mam częsty kontakt m.in. z kolegami z Zielonej Góry, gdzie na tamtejszym uniwersytecie dwa lata temu uruchomiono Wydział Lekarski i Nauk o Zdrowiu – jak sami przyznają, początki były niesamowicie trudne, popełnili masę błędów. Dlatego musimy się bardzo dobrze przygotować.

– Za uruchomieniem w Opolu kierunku lekarskiego przemawia statystyka: liczba lekarzy w stosunku do liczby mieszkańców jest na Opolszczyźnie najniższa w kraju. Jest więc nadzieja, że absolwenci opolskiej medycyny zasila kadrę naszych lekarzy. Ale żeby tak się stało, już dziś musimy myśleć o tym, jak tych, wykształconych w Opolu lekarzy, u nas zatrzymać, biorąc pod uwagę, że dyrektorzy szpitali, zmuszeni do nieustannego cięcia kosztów, tną przede wszystkim koszty osobowe. Jeśli już dziś nie zaczniemy szukać rozwiązania tego problemu – za kilka lat pierwsi absolwenci opolskiej medycyny będą szukać pracy poza naszym województwem.

– Zdaję też sobie sprawę z kosztów finansowych, jakie trzeba będzie ponieść, uruchamiając kierunek lekarski. Już na pierwszym roku pojawiają się przedmioty stricte medyczne – anatomia, histologia i fizjologia, które wymagają użycia odpowiedniego, drogiego sprzętu i preparatów, nie mówiąc już o świetnie przygotowanej kadrze... Pewną otuchą napawa mnie fakt, że projekt przedstawiony przez uniwersytet w ministerstwie, który zyskał aprobatę Polskiej Komisji Akredytacyjnej, oceniono jako bardzo dobrze przygotowany. Buduje się już obiekt dydaktyczny przy ulicy Oleskiej, podobny ma powstać przy Wojewódzkim Centrum Medycznym, od strony logistycznej będziemy więc przygotowani.

– Niejednokrotnie podkreślałem, że jak najszybciej trzeba doprowadzić do połączenia sił Uniwersytetu Opolskiego i Państwowej Medycznej Wyższej Szkoły Zawodowej w Opolu, która dysponuje doświadczoną kadrą i dobrym zapleczem technicznym – nie możemy dopuścić do sytuacji, że dwa ośrodki w Opolu będą rywalizować ze sobą o fundusze na rozwój, zamiast wspierać się wzajemnie, wykorzystywać swoje możliwości dla wspólnego dobra.



Dr Barbara Radecka

DR NAUK MED. BARBARA RADECKA, zastępca ordynatora Oddziału Onkologii Klinicznej Opolskiego Centrum Onkologii:

– Każda duża zmiana budzi zawsze nasz niepokój i opór. Pokonanie tych trudności jest zwykle największym wyzwaniem. Uruchomienie kierunku lekarskiego w Opolu to potężna zmiana organizacyjna zarówno dla środowiska akademickiego Uniwersytetu Opolskiego, jak i środowiska medycznego Opolszczyzny. To zupełnie naturalne, że wszyscy obawiamy się, czy podołamy nowym obowiązkom. Niedobór kadry lekarskiej i pielęgniarskiej powoduje już obecnie znaczne przeciążenie pracowników, stąd niepokój o to, czy damy radę ponieść trud kształcenia studentów. Dla wielu osób konieczne będzie ponowne ustalenie swoich priorytetów w życiu zawodowym. To będzie trudne. Trzeba zatem liczyć się z głosami krytycznymi i warto czasami się w nie wsłuchiwać. Osobiście jestem pełna wiary w pomysłowość tego przedsięwzięcia.

Zmiana dotyczy środowiska, które jest nawykłe do ciągłego kształcenia i rozwoju, środowiska ludzi ambitnych, którzy niemal całe swoje życie się uczą. Jednocześnie ze strony władz Uniwersytetu Opolskiego dostrzegam wiele zrozumienia, ale także wyważonej konsekwencji w realizacji zamierzonego celu.

– Uruchomienie w Opolu kierunku lekarskiego przyniesie niewątpliwie zmiany – i dla szpitali, i dla środowiska lekarskiego. Cytując klasyka: najpierw będzie burza, „a po burzy spokój”...

– Pierwszy okres zapewne zdominuje burza: nowe wyzwania, dużo nowych obowiązków, ustalenie nowych priorytetów. W perspektywie pojawi się szansa na nowe drogi rozwoju zawodowego. Dla szpitali – możliwość sięgnięcia po nowe źródła finansowania. Dla lekarzy – lepsze możliwości realizacji pomysłów badawczych poprzez współpracę z katedrami z zakresu nauk podstawowych. Mam również wielką nadzieję, że zachęci to absolwentów do pozostania i pracy na Opolszczyźnie, która, jak wiemy, ma jeden z najniższych w Polsce wskaźników lekarzy przypadających na mieszkańca. Ale te pozytywne aspekty będą widoczne dopiero w następnych latach. W najbliższym czasie będzie ciężko. Trzeba się na to przygotować.

– Kształcenie przyszłych lekarzy to duże wyzwanie dla uniwersytetu. Jednak brak doświadczenia może także być atutem, oznacza bowiem również brak rutyny. Władze uczelni planują wykorzystanie w kształceniu nowoczesnych technologii, a także podjęcie współpracy z ośrodkami akademickimi za granicą. W tym ostatnim aspekcie Uniwersytet Opolski ma zresztą spore doświadczenie, a studia międzyuczelniane na innych kierunkach stały się już tutaj tradycją.

– Atutem będą również małe liczebnie grupy studentów. To będzie miało kolosalne znaczenie podczas zajęć praktycznych, szczególnie klinicznych, bowiem bezpośredni kontakt z chorym jest niezwykle cennym elementem kształcenia.

– Zachęcam także młodych ludzi do związania swoich losów z Opolem na dłużej. To niezłe miejsce do życia. Miasto kameralne, dość zielone. Ma ładnie położony kampus uniwersytecki. I wszędzie jest blisko, a wiosna przychodzi tu szybciej niż gdzie indziej. Sama pochodzę z centralnej części Polski, mój mąż pochodzi z Zabrza. Osiedliliśmy się tu po studiach w latach 80. Spodobala nam się gospodarność mieszkańców tego regionu oraz ich dbałość o własne domostwa, a różnorodność kulturową Opolszczyzny postrzegamy jako atut.



Dr Dariusz Łątka

DR N. MED. DARIUSZ ŁĄTKA, neurochirurg, konsultant ds. przekształcenia Wojewódzkiego Centrum Medycznego w Opolu w szpital kliniczny Uniwersytetu Opolskiego: – Ludzie nie lubią zmian, nic więc dziwnego, że pomysł przekształcenia Wojewódzkiego Centrum Medycznego w szpital kliniczny budzi w środowisku szpitala pewien niepokój. Staramy się wyjaśniać, na czym to będzie polegało, pokazujemy też korzyści z tego przekształcenia wynikające. A korzyścią najważniejszą jest możliwość pozyskania środków finansowych na rozwój, które do tej pory były dla naszego szpitala niedostępne. Szpitala, dodajmy, który czasy świetności ma już dawno za sobą – jest niedoinwestowany, wymaga już remontu, a co tu mówić o unowocześnieniu... Były sytuacje, że województwo spłacało za nas długi.

– Wraz z przekształceniem w szpital kliniczny Uniwersytetu Opolskiego pojawia się możliwość pozyskania środków unijnych na rozwój, co oznacza także poprawę warunków pracy naszej kadry. Kadry, na której te wszyst-

kie zmiany wymuszą konieczność dalszego kształcenia – i to jest kolejna korzyść – bo skorzystają na tym i sami lekarze, i ich pacjenci. Nie ukrywajmy, ta świadomość może w niektórych budzić niepokój, bo wygodniej jest spokojnie trwać, niczego nie zmieniać... Ale już nie ma odwrotu, za chwilę plany staną się faktem, do którego musimy być przygotowani.

– Na akademiach medycznych, gdzie studiuje się w bardzo licznych grupach, trudno mówić o nawiązaniu relacji „uczeń-mistrz”. W Opolu grupy będą bardzo małe, dzięki czemu studenci będą mieli szanse więcej się nauczyć, bo będą mieli możliwość w większym stopniu skorzystać z wiedzy i doświadczenia opiekującego się nimi lekarza. Paradoksalnie, z faktu, że będzie to najmłodszy wydział lekarski w kraju, wynika wiele korzyści – m.in. i taka, że możemy się uczyć na błędach innych, nie musimy wyważać otwartych drzwi.



Dr Dariusz Kowalczyk

DR N. MED. DARIUSZ KOWALCZYK, ginekolog położnik, konsultant wojewódzki w dziedzinie ginekologii onkologicznej: – Uważam, że jest to jeden z najmądrzejszych pomysłów, jakie pojawiły się ostatnio w naszym regionie, jestem do niego bardzo entuzjastycznie nastawiony. Tym bardziej, że wydziały medyczne funkcjonują już na uniwersytetach w Kielcach, Zielonej Górze, Rzeszowie... Mamy bardzo dobrych lekarzy i kadre szpitalną, więc młodzi ludzie, którzy rozpoczną studia medyczne w Opolu, mogą liczyć na fachową opiekę zawodową z naszej strony.

– Powstanie wydziału medycznego na Uniwersytecie Opolskim to szansa rozwoju dla samych lekarzy, bodziec do dalszego kształcenia się, finalizowania prac doktorskich... Bo wielu z lekarzy zatrzymuje się w rozwoju naukowym na zdobyciu specjalizacji, także z tego powodu, że najbliższe ośrodki akademickie kształcące lekarzy są w Katowicach i we Wrocławiu. Teraz w Opolu będą potrzebni lekarze po doktoratach i habilitacjach. Myślę, że czeka nas duży skok naukowy środowiska lekarskiego.

– Pierwsze dwa lata studiów medycznych zdominują przedmioty ogólne: m.in. anatomia, na której będę miał zajęcia, biologia, biochemia, histologia... Na następnych latach wprowadzane będą kolejne przedmioty, ja mam nadzieję, że z czasem, jak ta nasza medycyna na uniwersytecie już trochę okrzepnie, w programie studiów pojawi się ginekologia i położnictwo, mam już kilka pomysłów z tym związanych.



Przewodnicząca Okręgowej Izby Pielęgniarek i Położnych w Opolu Sabina Wiatkowska

SABINA WIATKOWSKA, przewodnicząca Okręgowej Izby Pielęgniarek i Położnych w Opolu:

– To nie tylko szansa na podniesienie prestiżu naszego regionu, ale i szansa na to, że uda nam się zatrzymać w kraju młodych, wykształconych tu lekarzy. Bo wielu absolwentów kierunków medycznych podejmuje pracę za granicą, w efekcie mamy coraz starszą kadre, a kolejki do lekarzy coraz bardziej się wydłużają, bo lekarzy jest zwyczajnie za mało. Ten problem dotyczy także środowiska pielęgniarek i położnych – średnia wieku pielęgniarek przekracza dziś 45 lat.

– Bardzo chciałabym, aby w siatce zajęć na naszym kierunku lekarskim nie zabrakło zajęć z etyki, wyczułających m.in. na umiejętność komunikowania się z pacjentem. Bo owszem, mamy dziś świetny sprzęt, opanowaliśmy nowe technologie i umiejętności – ale w tym wszystkim gdzieś gubimy podmiotowość pacjenta. Często nie widzimy w nim człowieka, tylko kod, statystykę, rozpoznanie... Marzy mi się, żeby na naszej, opolskiej medycynie, ten aspekt kontaktu z pacjentem był szczególnie wyeksponowany.

AGNIESZKA JUKOWSKA

WOJEWÓDZKIE CENTRUM MEDYCZNE – UNIWERSYTECKĄ KLINIKĄ

28 marca br. Sejmik Województwa Opolskiego jednogłośnie podjął uchwałę o przekazaniu Wojewódzkiego Centrum Medycznego na rzecz Uniwersytetu Opolskiego.



Sejmik Województwa Opolskiego przekazał WCM uniwersytetowi

Zmiana właściciela potwierdzona zostanie aktem notarialnym, który zawarty będzie na początku kwietnia. Tym samym placówka zyska status szpitala klinicznego i będzie służyła nowo tworzonemu kierunkowi lekarskiemu naszej uczelni. Wartość nieruchomości, którą samorząd województwa przekazał jako darowiznę, rzeczoznawcy majątkowi oszacowali na 179 mln złotych.

Dziękując radnym za podjęcie tej decyzji, prorektor ds. zarządzania i rozwoju prof. dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak powiedziała: – Senat Uniwersytetu Opolskiego podjął jednogłośnie uchwałę o przejęciu WCM i przekształceniu go w kliniczne centrum medyczne Uniwersytetu Opolskiego, z pełną odpowiedzialnością, jaka z tego faktu wynika. Dar od sejmiku to nie tylko majątek,

ale i misja, którą będziemy mieć do spełnienia. To także ludzie, którzy w WCM pracują – ordynatorzy, oddziałowe, lekarze, pielęgniarki... Jakie korzyści nam to przyniesie? Przede wszystkim możliwość pozyskiwania pieniędzy z puli szpitali ogólnopolskich na wyposażenie kliniki, możliwość ubiegania się o dofinansowanie na przygotowane projekty z Programu Operacyjnego „Infrastruktura i środowisko”. Klinika to oprócz kwestii leczniczych także szansa na usytuowanie w niej jednostki badawczo-naukowej. Już w tej chwili wielu lekarzy kończy habilitację, szpital kadrowo i organizacyjnie jest przygotowany do utworzenia kliniki, ale musimy stworzyć nową i ciekawą strukturę tak, aby klinika w pełni służyła regionowi.

DARCZYŃCY OPOLSKIEJ MEDYCYNY

Powstanie opolskiej medycyny wsparły finansowo firmy i samorządy z całego regionu. Oto lista darczyńców (do 7 kwietnia br.):

Bank Spółdzielczy w Białej, Bank Spółdzielczy w Brzegu, BS „Bank Rolników” Opole, Bank Spółdzielczy Leśnica, Bank Spółdzielczy Łubniany, Bank Spółdzielczy Namysłów, Cementownia Odra, Energetyka Ciepła Opolszczyzny S.A., GALMET Głubczyce, Gmina i Miasto Namysłów, Gmina Strzelce Opolskie, Klinika Nova Kędzierzyn-Koźle, Miasto Gogolin, Miasto Kędzierzyn-Koźle, Miasto i Gmina Kluczbork, Miasto Opole, Miasto Strzelce Opolskie, Multiserwis Krapkowice, Fundacja „Nutricia Zakłady Produkcyjne”, PHU AGRO AS Grodków, Fundacja „Polska Grupa Energetyczna”, Powiatowy Bank Spółdzielczy Kędzierzyn-Koźle, Przedsiębiorstwo „Labtar”, sp. z o. o. w Tarnowie Opolskim, Samorząd Województwa Opolskiego, Starostwo Powiatowe Kędzierzyn-Koźle, Starostwo Powiatowe Kluczbork, Starostwo Powiatowe Opole, Starostwo Powiatowe Strzelce Opolskie, a także: Karol Cebula, Stanisław Dembowski oraz Monika i Marian Siwoniowie.



13 kwietnia br. gośćmi władz rektorskich byli burmistrz i skarbnik Kluczborka – kolejny darczyńcy kierunku lekarskiego. Na zdjęciu (od lewej): skarbnik miasta Piotr Lewald, burmistrz Jarosław Kielar, rektor prof. Marek Masnyk, prorektor prof. Wiesława Piątkowska-Stepaniak (fot. Sylwester Koral)



Na zdjęciu, na pierwszym planie: prof. Janusz Słodczyk, prof. Mahmud Dastger, kanclerz Kardan University i Abdullah Abdulbar z Salam University

JANUSZ SŁODCZYK

POKONAĆ WOJNĘ Owocna wizyta w Afganistanie

Wszystkie opolskie media poinformowały, że delegacja Uniwersytetu Opolskiego pojechała do Afganistanu i prowadzi rozmowy w Kabulu z władzami tamtejszych uczelni. Biorąc pod uwagę skomplikowaną sytuację polityczną w Afganistanie i fakt, że kraj jest praktycznie w stanie wojny, wiele osób pytało, jak doszło do nawiązania tego kontaktu.

Zacząło się od tego, że europejski program Erasmus przewidział środki na kontakt z Afganistanem, a nasi socjologowie, a właściwie niestrudzony w rozwijaniu kontaktów dr Michał Wanke, przygotowali projekt umożliwiający przyjęcie afgańskich studentów w Opolu na semestr i wymianę kadry w ramach krótkich wizyt. W rezultacie odwiedzili nas wykładowcy z Afganistanu, a czternastu afgańskich studentów pojawiło się w Opolu na cały semestr. Warto dodać, że dla większości z nich był to pierwszy wyjazd zagraniczny i pierwszy kontakt ze światem.

Nadszedł czas rewizyty. Uznaliśmy, że studentów nie będziemy chwilowo wysyłać, a co do kadry, to typowo erasmusową wymianę warto wykorzystać do nawiązania trwalszych kontaktów i ewentualnego pozyskania studentów na nasze kierunki anglojęzyczne.

Wśród socjologów, poza inicjatorem projektu, nie było chętnych, więc ostatecznie pojechaliśmy w następującym składzie: w pierwszej turze prof. dr hab. Janusz Słodczyk, prorektor UO, wraz z Harisem Kohistanim – Afgańczykiem, którego zatrudniliśmy w naszym Biurze Badań i Współpracy z Zagranicą, a pięć dni później dołączyli: dr Michał Wanke, socjolog oraz dr Stankomir Nicieja reprezentujący filologię angielską.

Towarzystwo Harisa dodawało mi nieco otuchy, ale trudno ukryć, że podobnie jak koledzy, obawiałem się nieco wizyty w kraju o tak niestabilnej sytuacji, gdzie dość regularnie dochodzi do zamachów czy porwań. Psychologicznie do najtrudniejszych należały pierwsze chwile,

kiedy po wyjściu z samolotu trzeba było przejść przez kolejne kręgi bezpieczeństwa wokół lotniska – posterunki wojskowe, sprzęt opancerzony, karabiny maszynowe, to nie są dla mnie codzienne widoki. Równocześnie okazało się, że Haris, przybywający do swojego kraju po sześciu latach nieobecności, spotkał kolegę z sąsiedztwa – jako pracownika kontroli granicznej, co niewątpliwie ocieplilo pierwsze wrażenie. Potem trochę zamieszania wokół miejsca noclegu. Po sprawdzeniu kompletnie pustego hotelu uniwersyteckiego na terenie kampusu, Haris zarządził, że pierwszą noc spędzę w domu jego rodziny, a w kolejnych dniach zamieszkać w najlepiej strzeżonym hotelu w Kabulu, gdzie melduje się większość obcokrajowców i gdzie, po przylocie, zamieszkali również moi koledzy (na szczęście dopiero potem wyczytałem w Internecie, że hotel był już dwukrotnie celem ataku).

Cały czas działaliśmy równolegle w dwóch sferach afgańskiego szkolnictwa wyższego – publicznej i prywatnej. Prywatne uniwersytety działają od kilku do kilkunastu lat. Te, które poznaliśmy, są młode, dynamiczne i starają się wprowadzać nowoczesne rozwiązania. Oferują kształcenie na takich kierunkach, jak ekonomia (w tym ekonomia i bankowość islamska), zarządzanie, informatyka i prawo. Uczelnie te, mimo że konkurują między sobą, założyły prężnie działające stowarzyszenie prywatnych uniwersytetów (Association of Private Universities and Institutes of Higher Education in Afghanistan), co, jak się okazało, bardzo wzmacnia ich pozycję w rozmowach z ministerstwem szkolnictwa wyższego i dużymi uczelniami publicznymi. Mieliśmy okazję poznać trzy uniwersytety prywatne: Rana University, Salam University i Kardan University. Widzieliśmy budynki, infrastrukturę, rozmawialiśmy z władzami i dziekanami poszczególnych wydziałów. Niektóre osoby – Abdullaha Abdulbara, Tamima Tamimi czy Kamrana Malika – znaliśmy już z Opola.

Mieliśmy też okazję poznać uczelnię publiczną, czyli Uniwersytet Kabuński – najważniejszą uczelnię w Afganistanie. Wielki kampus i pełny wachlarz wydziałów, i kierunków (ściślych, humanistycznych, społecznych, ekonomicznych), czyli typowy klasyczny uniwersytet.

Muszę podkreślić, że gospodarze otoczyli nas troskliwą opieką i okazali się niezwykle gościnni. Wcześniej nie mieliśmy szczegółowego planu spotkań i dopiero w trakcie pobytu, dzięki staraniom gospodarzy, nasza wizyta rozwijała się w niezwykle sposób i co chwila pojawiały się nowe często nieoczekiwane punkty. Kolejne spot-

kania i wydarzenia to był przyspieszony i jednocześnie bardzo intensywny kurs wiedzy o sytuacji i problemach Afganistanu, a jednocześnie o tradycji i kulturze tego kraju.

W oficjalnych kontaktach zagranicznych trzeba być przygotowanym na różne sytuacje. Już pierwszego dnia zaproszono mnie na „jakieś” (jak powiedział Haris) spotkanie. Na miejscu okazało się, że jest to wielkie, doroczne wydarzenie, czyli wręczanie dyplomów na Kabul University. Niezwykle ciekawią mnie zwyczaje akademickie w różnych krajach, więc z wielkim zainteresowaniem przyglądałem się ceremonii prowadzonej przez czołowego afgańskiego aktora, który zacytował fragment poezji, potem duchowny islamski Quari Quran odśpiewał krótką modlitwę, a następnie przemawiali oficjele na czele z panią minister szkolnictwa wyższego i rektorem uniwersytetu. Wniesiono flagę uniwersytetu, na którą sypano płatki kwiatów. Przedstawiciele absolwentów przekazali flagę swoim następcom, potem jeszcze wniesiono wielki tort, który dygnitarze symbolicznie kroili, wspólnie trzymając nóż, a potem zmieniający się w tej roli oficjalni goście wręczali dyplomy absolwentkom (stanowiły co najmniej połowę) i absolwentom ubranym w akademickie stroje. Okazało się nagle, że ja też będę wręczał na scenie kilka dyplomów, a jak już wręczę, to przemówię do sali i powiem, co Uniwersytet Opolski oferuje studentkom i studentom z Kabulu.

Dwa dni później, już w pełnym składzie, podpisaliśmy umowę z prezydentem Kabul University w Sali Senatu, w obecności wszystkich dziekanów. Ważny element takich uroczystości to wymiana upominków i tu chwala opolskim artystkom, które od tylu lat pracowicie ozdabiają opolskimi wzorami różnego rodzaju naczynia, które jako prezent sprawdzają się pod każdą szerokością geograficzną.

Tego samego dnia uczestniczyliśmy w pięknej, dorocznej tradycji sadzenia drzewka na terenie uniwersytetu. Muszę dodać, że i w tym przypadku miałem zaszczyt nasypać trochę ziemi przy pomocy szpadla podawanego kolejno gościom i osobom zasłużonym dla uczelni. To była bardzo sympatyczna uroczystość – sadziłem to afgańskie drzewko ze świadomością, że w tym samym czasie w mojej ojczyźnie właśnie umożliwiono wycinanie setek drzew w majestacie prawa.

W pewnym momencie dostaliśmy sygnał, że mimo natłoku obowiązków gotowość przyjęcia nas wyraża pani minister szkolnictwa wyższego prof. Farida Mo-



Spotkanie z ministerem szkolnictwa wyższego Afganistanu prof. Faridą Momand – na zdjęciu także prof. Janusz Słodczyk, dr Stankomir Nicieja, dr Michał Wanke



Spotkanie z Ahmadem Massoudem. Na zdjęciu (od lewej): dr Michał Wanke, Haris Kohistani, Ahmad Massoud, prof. Janusz Słodczyk, dr Stankomir Nicieja



Prof. Janusz Słodczyk wręcza dyplom absolwentce Uniwersytetu Kabuńskiego

mand. Odbyliśmy blisko godzinną, niezwykle interesującą i konkretną rozmowę, dalece wychodzącą poza grzecznościowe sformułowania. Była okazja, by poruszyć temat zasad uznawania zaliczeń, które studenci afgańscy uzyskują w Opolu, możliwości dokształcania nauczycieli akademickich, znalezienia dodatkowych źródeł finansowania, a także komplikacji spowodowanych brakiem ambasady RP w Kabulu (co powoduje, że sprawy wizowe trzeba załatwiać w stolicy Indii – Delhi).

Wielką rolę w organizacji całej wizyty odegrał prezydent Stowarzyszenia Uniwersytetów Prywatnych dr Shafiullah Naimi, będący jednocześnie kanclerzem, czyli rektorem Rana University, jednego z ważniejszych prywatnych uniwersytetów w Kabulu.

Myślę, że przede wszystkim dzięki niemu zostaliśmy zaproszeni na kolację do domu Ahmada Massouda, syna legendarnego dowódcy i polityka Ahmada Shacha Massouda, bohatera walk z wojskami sowieckimi i talibami. Mówiono nam, że tylko on miał szansę zjednoczyć zwaśnione strony i ustanowić pokój w Afganistanie. Zginął w zamachu terrorystycznym, a dziesiątki jego portretów widzieliśmy nie tylko na murach Kabulu, ale także na

szybach prywatnych samochodów. Jego syn okazał się błyskotliwym, ujmującym człowiekiem, absolwentem znakomitych uczelni angielskich. Spędzamy niezapomniany wieczór pełen dyskusji na najtrudniejsze tematy. Nasz gospodarz podkreślał, że społeczeństwo afgańskie jest na pierwszej linii frontu walki z terroryzmem i płaci za to bardzo wysoką cenę, ale w tej niezwykle skomplikowanej sytuacji wierzy w sens i konieczność edukacji młodego pokolenia Afgańczyków, odciętych od normalnych relacji ze światem. Dlatego chciał z nami rozmawiać, bo podjęliśmy próbę stworzenia pewnej szansy dla młodych ludzi. Jest też gotów przy pomocy fundacji imienia swojego ojca wesprzeć finansowo studia młodych Afgańczyków w Opolu. Pomyślałem później, że może naprawdę zrobiliśmy coś ważnego.

Dzięki Stowarzyszeniu Uniwersytetów Prywatnych i aktywności kolegów z Rana University i Salam University miałem okazję uczestniczyć wraz z Harisem Kohistanim w konferencji organizowanej przez *Afghanistan Council for Peace and Salvation* w historycznym już hotelu InterContinental. Zabierali głos wpływowi przedstawiciele różnych opcji politycznych, byli ministrowie



Prof. Hamidullah Farooqi, prezydent Kabul University i prorektor UO, prof. Janusz Słodczyk podpisują umowę o współpracy. Na zdjęciu z lewej – prof. Raihana Popatzi, wiceprezydent Kabul University

i reprezentanci różnych szkół religijnych. Symultaniczne tłumaczenie umożliwiało pełne uczestnictwo. Wystąpienia miały bardzo różny charakter i temperaturę – były dramatyczne wołania o pokój i chłodne analizy naukowców, klasyfikujących siły biorące udział w konflikcie. Trudno byłoby odtworzyć całą dyskusję, ale przeważały opinie, że Afgańczycy muszą sami rozwiązać swoje problemy i porozumieć się, eliminując napastników i terrorystów z krajów sąsiednich (na ogół jako główny problem wskazuje się Pakistan).

Na deser nasi wspaniali gospodarze przygotowali coś wyjątkowego, czyli możliwość odwiedzenia sławnej Doliny Panjshir (Pandźszer), czyli Doliny Pięciu Lwów. Położona w górach dwie godziny drogi na północ od Kabulu Dolina, stanowiąca bazę Ahmada Shacha Massouda, mimo kilku ataków nigdy nie została zdobyta przez wojska radzieckie, a jej obrona przeszła do legendy. Talibom, którzy przejęli władzę w latach dziewięćdziesiątych, również nie udało się zdobyć tego miejsca. Społeczność zamieszkująca Dolinę ma poczucie ogromnej wspólnoty i dumy. Mieliśmy okazję rozmawiać z gubernatorem tego obszaru, a także odwiedzić mieszkańca – mudżahedina,

który brał udział we wszystkich walkach w czasie ostatnich trzydziestu lat. Tu, w otoczeniu gór, zbudowano mauzoleum Ahmada Shacha Massouda. Trzeba dodać, że wjazd na teren Doliny wiąże się z szeregiem kontroli przy przekraczaniu kolejnych strzeżonych przejść. Krajobraz jest niezwykle. Rzeka Panjshir wyżłobiła głęboką dolinę w górskim terenie, meandry stanowią więc dodatkową atrakcję. Na początku wydaje się, że nie ma tu warunków dla jakiegokolwiek rolnictwa, ale w dalszych częściach doliny widoczne są polećki uprawne na zalewowych terasach rzecznych. Wyższe partie gór pokryte są śniegiem. Wiejska zabudowa pojawia się wzdłuż drogi, a także na mniej stromych zboczach. Domy budowane są z lokalnych materiałów, głównie gliny pomieszanej ze słomą, dzięki czemu wtapiają się w krajobraz. Prawdziwie ekologiczne budownictwo.

Po długim, pełnym wrażeń dniu, wracamy do naszej twierdzy (a może więzienia), czyli hotelu w centrum Kabulu. Przed frontem hotelu stoi potężna ściana pancerna. Po wyjściu z samochodu należy się za nią schować, wtedy zaczyna się kontrola bagażu i wszelkich toreb przy pomocy urządzeń jak na lotniskach, potem sprawdzanie,



Tradycyjny posiłek w afgańskim domu. Byliśmy gośćmi w rodzinie naszego kolegi Harisa Kohistaniego

czy nie ma czegoś pod ubraniem... I wtedy przechodzi się do drzwi, które otwiera człowiek z karabinem, następnie kolejne, zamknięte na zamek drzwi otwiera kolejna osoba i w końcu... doszliśmy do recepcji. Można sobie wyobrazić, że po tym wszystkim nie ma się specjalnej ochoty wyskoczyć na chwilę po drobne zakupy. Wnętrze hotelu jest efektowne, ale większość pokoi nie ma okien lub ma niewielkie, zakratowane prześwity pod sufitem. W Kabulu na każdym kroku widoczne są działania, związane z koniecznością zachowania bezpieczeństwa, przy jednoczesnym dążeniu mieszkańców do prowadzenia normalnego życia. Niektóre zachowania są tu oczywiste. Np. kiedy podjeżdża się samochodem pod dom lub instytucję, należy wjechać za wysoką metalową bramę, zamknąć ją, i dopiero potem wysiąść z samochodu, witać się czy rozpakowywać bagaże.

Wojna i brak stabilizacji odstrasza ewentualnych inwestorów, ograniczają kontakty ze światem na różnych płaszczyznach i nie pozwalają na normalny rozwój Afganistanu, jednocześnie nawet krótka wizyta uświadamia, że kraj ma ogromny potencjał, możliwości, a przede wszystkim – zdolnych ludzi, którzy chcą się kształcić

i rozwijać. Wierzę, że Afgańczycy będą umieli rozwiązać swoje problemy, a niezbędna pomoc zewnętrzna będzie polegała nie na dostawach broni, tylko na wspieraniu edukacji.



Prof. Jan Miodek (fot. Jarosław Mokrzycki)

ANETA JADZYN, ALEKSANDRA KOT

PROF. JAN MIODEK OTWORZYŁ TYDZIEŃ NAUKOWY W OPOLU

W ramach obchodów 800-lecia Opola jednym z honorowych gości był prof. dr hab. Jan Miodek, który wykładem pt. „Opole i Śląsk w dziejach polszczyzny” rozpoczął Tydzień Naukowy, zorganizowany wspólnie przez Uniwersytet Opolski i władze miasta Opola pod hasłem „Praca, nauka i cnota”. W Auli Błękitnej Collegium Maius zgromadziły się tłumy, brakowało miejsc siedzących. Profesora, który pojawił się w auli w towarzystwie rektora prof. dr hab. Marka Masnyka i prezydenta miasta Arkadiusza Wiśniewskiego, przyjęto gromkimi brawami.

Dla profesora nasze miasto jest miejscem wyjątkowym; po Tarnowskich Górach, gdzie się urodził i po Wrocławiu, „mieście jego życia”, gdzie od lat pracuje, bardzo lubi też przebywać w Opolu, które odwiedza w każdej wolnej chwili. Jest zresztą doktorem *honoris causa* opolskiego uniwersytetu, a jako wychowanek wybitnego językoznawcy, prof. dr hab. Stanisława Rosponda, który był przecież współzałożycielem opolskiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej, ma poczucie konieczności eksponowania ciągłości śląskich badań językoznawczych. Zabrał więc zgromadzonych w podróż po historii nazw



W Auli Błękitnej Collegium Maius UO (fot. Jarosław Mokrzycki)

Opolszczyzny, by w ten sposób przybliżyć historię samego Opola. Bo choć rok 1217 jest rzeczywiście datą lokacji miasta, to Opole jako osada i gród jest starsze o parę wieków. I tu są źródła śląskości.

„Śląsk przeciętnemu Polakowi znad Buga czy Wisły – mówił profesor – kojarzy się z Chorzowem, Katowicami, Rudą Śląską czy Bytomiem. A Śląsk zaczął się tutaj, gdzie Wrocław i Opole. Nazwa wzięła się od Słężan, którzy mieszkali nad rzeką Słężą i to chcę ludziom uświadamić. To swoisty paradoks, że to, co dziś Polak kojarzy ze Śląskiem, do końca XII wieku było integralną częścią Małopolski, a «śląskie» parafie należały do diecezji krakowskiej”.

Samo Opole po 1945 roku – kontynuował profesor – było już miastem mieszanym, do którego przyjeżdżali ludzie z różnych stron i tu się osiedlali. Pomimo tego i tak lepiej mówimy po polsku niż w stolicy: – Naturalnie, jeśli za tę „najlepszość” przyjąć kryterium przylegania tego języka do oficjalnych norm obowiązujących

w języku szkoły, urzędu, kościoła, radia, telewizji – to oczywiście, że pod tym względem polszczyzna Opola jest lepszą polszczyzną niż w stolicy – podsumował profesor Miodek.

W trakcie swojego wykładu, wprowadzając słuchaczy w interesujące językoznawcze tajniki historycznego rozwoju polszczyzny i gwary śląskiej, wspominał też o tym, że należałoby poprawić wygląd przejścia podziemnego na opolskim dworcu kolejowym (tu spojrzal z uśmiechem w stronę prezydenta miasta). Bez wątpienia wykład ten był wyjątkową podróżą po historii nazw Opolszczyzny i pozwolił słuchaczom, wśród których dominowali studenci, zapoznać się również z interesującymi szczegółami historii regionu.

Wykład nagrodzono długimi brawami, a po jego zakończeniu wielu czekało na możliwość porozmawiania, choćby przez chwilę, z wyjątkowym gościem uniwersytetu, który chętnie robił sobie z nimi zdjęcia.



Na zdjęciu (od lewej): Rafał Wielki, dziekan prof. Piotr Stec, rektor prof. Marek Masnyk, wiceprezydent Opola Maciej Wujec, Andrzej Goździkowski, dyrektor ds. operacyjnych ECO SA i Piotr Krawczyk, członek Zarządu ECO Opole (fot. Sylwester Koral)



Podczas oficjalnego otwarcia uroczyste przecięto nie tradycyjną, czerwoną wstęgę, a czarno-żółtą taśmę, zwykle zabezpieczającą miejsce przestępstwa. Na zdjęciu (od lewej): rektor UO prof. Marek Masnyk, wiceprezydent Opola Maciej Wujec i dziekan WPIA prof. Piotr Stec (fot. Sylwester Koral)

AGNIESZKA JUKOWSKA

PRZESTĘPCA ZOSTAWIA ŚLADY

Mamy nowoczesne laboratorium kryminalistyczne

Laboratorium zostało wyposażone m.in. w kolumnę reprodukcyjną, umożliwiającą precyzyjną fotografię materiału dowodowego i świetłówkę emitującą promieniowanie ultrafioletowe, dzięki któremu można odkryć niewidoczne w normalnych warunkach ślady. – Jest to sprzęt ułatwiający technikowi kryminalistyki pracę na miejscu zbrodni. Są tu też urządzenia pozwalające identyfikować ślady daktyloskopijne, zapachowe czy biologiczne (do pobierania śladów służą pędzle daktyloskopijne ferromagnetyczne, z puchu marabuta czy włókna szklanego wraz ze specjalistycznymi proszkami). Pracownia dysponuje również sprzętem pozwalającym na zabezpieczanie elektronicznych środków dowodowych oraz ich odpowiednią analizę za pomocą specjalistycznego oprogramowania. Mocno koncentrujemy się na informatyce śledczej, ponieważ jest to obszar, który

niesamowicie się rozwija – tłumaczy Rafał Wielki z WPIA UO, opiekun pracowni, jeden z inicjatorów jej powstania, absolwent Wydziału Prawa i Administracji na UO.

Koszt utworzenia pracowni to 15 tysięcy złotych, z czego aż 10 tysięcy złotych pokryła Energetyka Ciepła Opolszczyzny, która już nie po raz pierwszy wspiera różne przedsięwzięcia na naszej uczelni. – Jesteśmy częścią tego regionu, nam też zależy na tym, aby absolwent Uniwersytetu Opolskiego był wyposażony w jak najlepszą wiedzę, także praktyczną – powiedział w trakcie uroczystego otwarcia nowej pracowni przedstawiciel sponsora, Paweł Krawczyk, członek Zarządu ECO SA.

– Ten sukces zawdzięczamy zarówno zaangażowaniu sponsorów, jak i studentów, ich ogromnemu zapałowi oraz determinacji, by na naszej uczelni powstała taka pracownia – podkreślał dziekan Wydziału Prawa i Admi-

nistracji dr hab. Piotr Stec, prof. UO. – Nasza współpraca z Energetyką Ciepłą Opolszczyzny jest najlepszym dowodem na to, że prawo dotyczy każdego z nas i łączy się z różnymi naukami, które na pierwszy rzut oka nie mają żadnego związku z tą dziedziną.

Rektor UO prof. dr hab. Marek Masnyk zwrócił uwagę na fakt, że działania wyższych uczelni już dawno wykroczyły poza przekazywanie wiedzy i wręczanie dyplomów: – Dziś muszą one wypuszczać ze swoich murów młodych ludzi mających doświadczenie praktyczne, gotowych do podjęcia pracy od razu po ukończeniu studiów. Piątki w indeksie nie robią już na pracodawcach wrażenia, liczy się to, czy młody człowiek był podczas studiów aktywny. Dzięki takim inicjatywom, jak utworzenie laboratorium kryminalistycznego, stwarzamy studentom miejsce, gdzie mogą się rozwijać, połączyć teorię z praktyką.



Druga debata z serii „Między kulturami” poświęcona była kwestiom społeczno-kulturowej tożsamości płci

MARCIN DEUTSCHMANN

NIE TAKI GENDER STRASZNY, JAK GO MALUJĄ

Debata z serii „Między kulturami”

1 marca br., w Filii numer 4 Miejskiej Biblioteki Publicznej w Opolu, odbyła się druga debata z serii „Między kulturami” (cykl zainicjowany 30 września ub. r., dyskusją dotyczącą islamofobii i jej konsekwencji). Inicjatorem tych spotkań jest wspomniana biblioteka, która zaprosiła do współpracy Instytut Socjologii i organizację *Hello!* Ten oddział biblioteki, przy ulicy Książąt Opolskich, specjalizuje się w literaturze podróżniczej, jest to więc idealne miejsce do rozmów o spotykaniu się kultur, komunikacji między nimi, wzajemnym zrozumieniu, a także niezrozumieniu i konfliktach na tym tle.

Źródeł tematyki międzykulturowej należy szukać w co najmniej trzech zjawiskach społecznych. Po pierwsze, jest to wojna na Ukrainie (według różnych szacunków, w Polsce żyje obecnie ponad milion Ukraińców). Po drugie, kryzys uchodźczy. W Polsce wprawdzie nie ma uchodźców, ale jest strach przed nimi oraz przed kojarzonym z nimi islamem. Po trzecie wreszcie, internacjo-

nalizacja studiów, której jednym z efektów jest otwarcie na Uniwersytecie Opolskim anglojęzycznych studiów socjologicznych ze specjalnością komunikacja międzykulturowa. Słuchaczami są tam m.in. studenci z takich krajów, jak Afganistan, Bangladesz, Gruzja, Indonezja, Ukraina czy Turcja.

To wszystko sprawia, że dookoła nas, w naszym codziennym życiu, pojawia się coraz więcej obcokrajowców. Spotykamy ich na ulicy, w kinie czy w sklepach. Niektórych nawet nie zauważamy, bo poza tym, że nie mówią po polsku lub mówią z akcentem, nic ich z tłumem nie wyróżnia. Jednak po innych widać od razu, że przyjechali z zagranicy. To co nieznanne, budzi nasz strach, zwłaszcza że współczesna Polska to kraj raczej monokulturowy, zatem każda odmienność mocno rzuca się w oczy. Wzrostu liczby obcokrajowców powstrzymać się nie da. Jest ona wynikiem szerszych i niezależnych od nas procesów społecznych. Dlatego rolę socjologów

właśnie jest prowadzenie dialogu międzykulturowego po to, żeby uniknąć potencjalnych konfliktów. W związku z tym w spotkaniach z serii „Między kulturami” zawsze biorą udział nasi studenci z zagranicy, a debata prowadzona jest po polsku i angielsku jednocześnie, po to, by dyskutując na interesujące nas, współczesne tematy, można było się spotkać i próbować wzajemnie zrozumieć swoje punkty widzenia.

Marcowe spotkanie poświęciliśmy kwestiom społeczno-kulturowej tożsamości płci. Wśród zaproszonych gości byli: **dr Borys Cymbrowski** – socjolog zajmujący się naukowo kwestiami socjologii przestrzeni, literatury, **dr Anna Czerner** – socjolożka, której zainteresowania badawcze oscylują przede wszystkim wokół socjologii sportu, **dr Katarzyna Molek-Kozakowska** – językoznawczyni, specjalistka od analizy dyskursu, stylistyki i retoryki, badaczka komunikacji medialnej i dyskursów sfery publicznej oraz **mgr Elżbieta Pogoda** – biologka, doktorantka Uniwersytetu Jagiellońskiego na kierunku biologia ewolucyjna.

Kilka lat temu termin *gender* zaczął się bardzo często pojawiać w mediach. Tym niemniej, analizując wypowiedzi poszczególnych komentatorów życia społecznego, można zauważyć, że pojęcie o tym, czym jest *gender*, mają dosyć mętne. Co, niestety, przekłada się również na stan wiedzy społeczeństwa. Naszą debatę rozpoczęliśmy więc próbą zdefiniowania terminu: *gender*. Elżbieta Pogoda stwierdziła m.in., że z biologicznego punktu widzenia możemy wyróżnić: mężczyzn, kobiety oraz hermafrodyty, czyli osoby będące obojga płci jednocześnie. Każda z płci przystosowana jest przez naturę do spełniania nieco innych funkcji biologicznych, ale nie ma żadnych naukowych dowodów w biologii, że którakolwiek z płci ma, w jakikolwiek sposób, dominować nad drugą. Dr Borys Cymbrowski zaznaczył, że obco brzmiące w języku polskim słowo *gender* można łatwo przetłumaczyć, ponieważ, jak wiedzą zwłaszcza filologowie i filolożki, pochodzi ono z języka angielskiego i oznacza *rodzaj* (gramatyczny). Natomiast w naukach społecznych jest to kategoria analityczna służąca do badania społeczeństwa i stosunków międzyludzkich przez pryzmat

jednej z najważniejszych kategorii tożsamościowych, jaką jest właśnie społeczno-kulturowa tożsamość płci.

Dr Katarzyna Molek-Kozakowska wskazała, że w filologowie (i filolożki!) zajmują się przede wszystkim tym, w jaki sposób w języku obecne są pewne ideologie. Zatem również w tym przypadku refleksja dotyczy przede wszystkim tego, w jaki sposób reproduujemy i wyrażamy poprzez język nasze sposoby myślenia. Już wcześniej przy okazji przedstawiania się, pani doktor zaznaczyła, że trudniej jest jej się przedstawić po polsku niż po angielsku, ponieważ w języku polskim słowa określające profesje akademickie najczęściej mają tylko formę męską, a jeśli nawet istnieje forma żeńska, to brzmi ona zdecydowanie mniej prestiżowo (np. sekretarz i sekretarka).

Następnie przeszliśmy do tematu tzw. ideologii *gender*. Dr Anna Czerner podkreśliła, że ideologia *gender* w nauce nie istnieje, ponieważ *gender* jest kategorią analizy w naukach społecznych. Natomiast pojęcie *gender* istnieje w dyskursie medialnym, kreowanym szczególnie przez polityków i niektóre instytucje życia publicznego. Buduje się je na bazie kilku wątków, które są marginalnie obecne w *gender studies*, a które przez niektórych komentatorów życia publicznego podnoszone są do rangi głównego nurtu tych badań. Jak podkreślił dr Borys Cymbrowski, niezrozumienie tej kwestii wynika z pewnego pomieszania wątków: – A kwestia dotyczy natury i kultury. Gdzie przebiega granica między jednym a drugim?

W języku angielskim istnieją dwa pojęcia. *Sex* – oznaczające płęć biologiczną, z którą się rodzimy, oraz *gender* – oznaczające płęć kulturową, czyli tę będącą niejako interpretacją płci biologicznej. W języku polskim problem rodzi się w momencie, kiedy wprowadzamy obco brzmiące angielskie słowo *gender*, należące do porządku kultury, ale przypisywane przez niektórych do porządku natury. Konsekwencją tego nieporozumienia są zarzuty wobec badaczy *gender*, że promują oni niebezpieczną ideologię, która ma za zadanie przekonać ludzi, że mogą sobie wybrać płęć. Bywa to użytecznym narzędziem politycznym, jednak nie ma wiele wspólnego z *gender studies*.

Oddaliśmy też głos naszej publiczności, którą w większości stanowili studenci zagraniczni Uniwersytetu Opolskiego, ale nie zabrakło i mieszkańców Opola. Jeden z opolan postawił hipotezę, że politycy w Polsce potrzebują wygodnego wroga i dlatego przy pomocy Kościoła katolickiego demonizują słowo *gender*, łącząc je ze zmienianiem płci, homoseksualizmem itd. Odnosząc się do kwestii językowych, nasz gość wspominał, że owszem, wiele słów nie ma swoich żeńskich odpowiedników, ale tak samo funkcjonuje to w drugą stronę. Nie ma na przykład męskiego odpowiednika dla *przedszkolanki* (wyjściem mogłoby być wprowadzenie zwrotu *wychowawca przedszkolny* oraz *wychowawczyni przedszkolna*), a wprowadzony kilka lat temu *urlop tacierzyński* brzmi nieco dziwnie, powinien być to *urlop ojcowski*, od wyrazu *ojciec*.

Dalsza część debaty toczyła się już głównie w obszarze kwestii językowych. Dr Katarzyna Molek-Kozakowska, odnosząc się do swojego przedmówcy, przypomniała, że dwadzieścia lat temu w języku polskim nie było wyrazu *posłanka* i też wiele osób sprzeciwiało się początkowo jego używaniu, natomiast dziś jest to absolutnie normalne i nikt nie zwraca na ten wyraz większej uwagi. Dr Borys Cymbrowski zauważył, że w sytuacjach, kiedy mamy problemy z żeńską odmianą niektórych nazw, powinniśmy sobie przypomnieć łacinę. Np. wyraz *ministra* stanowi regularną odmianę pochodzącą właśnie z języka łacińskiego. Dlatego z gramatycznego punktu widzenia często problem nie istnieje, a te nazwy brzmią dziwnie, ponieważ ich po prostu nie używamy. Głos zabrała również studentka z Kazachstanu, która wspominała, że dyskutowane problemy w jej języku w ogóle nie istnieją, ponieważ nazwy profesji w jej języku nie podlegają takiej odmianie. Podsumowaliśmy ten wątek, stwierdzając, że warto wprowadzać więcej żeńskich odpowiedników zawodów do języka, ponieważ jest to jeden z ważnych katalizatorów zmian społecznych.

Mimo że debata trwała ponad dwie godziny, na koniec chyba wszyscy mieliśmy poczucie pewnego niedosytu. Tematyka *gender* oraz nierówności społecznych związanych z kwestiami płci jest bardzo obszerna, aktualna i ważna, dlatego dyskusja zapewne będzie trwać jeszcze bardzo długo.



Słuchacze Akademii Młodego Poligloty na Uniwersytecie Opolskim (fot. Sylwester Koral)

INAUGURACJA AKADEMII MŁODEGO POLIGLOTY

11 marca br. w murach naszej uczelni po raz pierwszy zagościli słuchacze Akademii Młodego Poligloty. Projekt uruchomiony na Wydziale Filologicznym, a skierowany do dzieci w wieku 9–12 lat, ma udowodnić, że nauka języków obcych wcale nie musi być trudna i nudna. Młodych słuchaczy, na których spore wrażenie wywarła Aula Błękitna w Collegium Maius, przywitała prof. Joanna Czaplińska, dziekan Wydziału Filologicznego, która tłumaczyła m.in., kim jest poliglota, jak wygląda nauka na uniwersytecie i do czego służą studentom indeksy, które otrzymali także uczestnicy spotkania – będą w nich odnotowane potwierdzenia udziału w kolejnych zajęciach.

Następnie pierwszy w historii Akademii MP wykład wygłosiła prof. Anna Ledwina z Katedry Kultury i Języka Francuskiego, która przybliżyła m. in. francuskojęzyczną wersję „Lokomotywy” Juliana Tuwima. Po części teoretycznej przyszedł czas na warsztaty przygotowane pod okiem mgr Elżbiety Porady. Ich częścią była zabawa leksykalna oraz przygotowanie własnej wizji lokomotywy.

Dzięki zaangażowaniu całego zespołu, pracującego nad przygotowaniem i wdrożeniem projektu, udało się zaproponować dzieciom inny sposób na spędzenie sobotniego przedpołudnia niż siedzenie przed telewizorem czy ze smartfonem w rękę. Kolejne spotkanie już 25 marca.

W związku z dużym zainteresowaniem, jakim już cieszy się Akademia Młodych Poliglotów, ustalono, że podobne spotkania będą kontynuowane także w roku przyszłym.

(p)



Spotkanie z Aloisem Hotschnigiem prowadziła Monika Wójcik-Bednarz

MONIKA WÓJCIK-BEDNARZ, EWA WALCZYK, AGNIESZKA KLIMAS

„MISTRZ ESENCJONALNYCH OPOWIEŚCI” W OPOLU SPOTKANIE Z ALOISEM HOTSCHNIGIEM

Spotkanie z austriackim pisarzem Aloisem Hotschnigiem, zorganizowane w Instytucie Filologii Germańskiej UO we współpracy z Wojewódzką Biblioteką Publiczną w Opolu – Biblioteką Austriacką, w ramach odbywającej się XVII Wiosny Austriackiej – 15 marca br., było okazją do poznania twórczości tego współczesnego pisarza, poety i dramaturga.

Autor urodził się w 1959 r. w Berg im Drautal. Jest to góraska miejscowość leżąca w zachodniej części Karyntii, na południu Austrii. Studia medyczne w tyrolskim Innsbrucku – gdzie obecnie mieszka – porzucił, aby kształcić się dalej na kierunkach filologicznych (studiował germanistykę i anglistykę) i pisać teksty. Już jego pierwszy zbiór opowiadań „Aus” [Z], wydany w 1989 r., spotkał się z uznaniem krytyków i nagrodzony został nagrodą kraju związkowego Karyntia (Förderpreis des Landes Kärnten). Rok później wydał opowiadanie „Eine Art Glück” [Rodzaj szczęścia]. W opowiadaniach tych portretuje outsiderów

walczących o swoje miejsce w społeczeństwie. W 1992 r. zdobył Nagrodę Landu Karyntia w Konkursie im. Ingeborg Bachmann (Ingeborg-Bachmann-Wettbewerb) i wydał pierwszą powieść „Leonardos Hände” [Dłonie Leonarda], w której porusza problem winy i odpowiedzialności bohatera uwikłanego w tragiczne konsekwencje po tym, jak spowodował wypadek samochodowy. Także ta powieść została nagrodzona. Tym razem była to Nagroda im. Anny Seghers (Anna-Seghers-Preis). Powstały w 1994 r. dramat „Absolution” [Rozgrzeszenie] wystawiany był przez teatry m.in. w Wiedniu, Klagenfurcie i Salzburgu. Jest to sztuka o milczeniu lub niedopowiedzeniu; to tekst o wypieraniu prawdy.

Na kolejną książkę Hotschnig kazał swoim czytelnikom czekać aż sześć lat, pracując w tym czasie nad powieścią „Ludwigs Zimmer” [Pokój Ludwika], wydaną w 2000 r. Zamknięty dla domowników i owiany wieloma tajemnicami pokój Ludwika jest metaforą Austrii, w któ-

rej niechętnie mówi się o przeszłości nazistowskiej. To właśnie ten tytuł został wybrany przez organizatorów na temat przewodni spotkania. Bohater powieści, Kurt Weber, dziedziczy po swoim wujku dom w wiosce leżącej na granicy austriacko-słoweńskiej, w którym mieści się pokój kryjący fotografie, listy i dokumenty, pokazujące nieznaną dotąd stronę historii jego rodziny. Zagłębiając się w te dokumenty, odkrywa, że w miejscowości Loibl istniał obóz pracy dla więźniów politycznych z różnych krajów (podlegający obozowi koncentracyjnemu w Mauthausen), wykorzystywanych przy budowie tunelu górskiego. Tunel w miejscowości jest nadal, jednak po obozie i po ofiarach nie ma ani śladu, ani pamięci. Pamięć o nim zasłonięta została posadzonym w tym miejscu lasem. Przemilczany był także fakt o konspiracyjnej działalności i uwięzieniu wujka Ludwika za jego aktywność w ruchu oporu.

Alois Hotschnig jest pisarzem podejmującym ważne, często niepopularne tematy, do których należy problem śmierci, winy i kary, odkrywa nieznane, przemilczane karty z przeszłości Austrii i Austriaków. Jest mistrzem esencjonalnych opowieści, a jego język jest prosty, precyzyjny i bezlitosny. Ulubionym gatunkiem Hotschniga są opowiadania, w których eksperymentuje językiem. Opublikowany w 2006 r. zbiór dziewięciu opowiadań „Die Kinder beruhigte das nicht” [Dzieci to nie uspokoiło] to studium o fenomenie postrzegania, o obserwowaniu i byciu obserwowanym w związkach, natomiast najnowszy tom opowiadań „Im Sitzen läuft es sich besser davon” [Siedząc, łatwiej jest uciec] z 2009 r. to próby wyrażenia stanu utraty kontroli i radzenia sobie z tym stanem. Przy czym w tej dialogicznej historii czytelnik zostaje postawiony w roli narratora, a zarazem świadka wydarzeń. Hotschnig jest laureatem Nagrody im. Ericha Frieda (Erich-Fried-Preis) w 2008 r., Nagrody im. Antona Wildgansa (Anton-Wildgans-Preis) w 2009 r. oraz Nagrody im. Gerta Jonkego (Gert-JonkePreis) w 2011 r.

Alois Hotschnig to jeden z niewielu pisarzy austriackich, który odważył się opowiedzieć o przerażającej historii II wojny światowej.

Liczenie zgromadzona na spotkaniu z pisarzem publiczność, składająca się z germanistów Uniwersytetu Opolskiego i Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej w Nysie, uczestniczyła w żywej, moderowanej przez Monikę Wójcik-Bednarz, dyskusji na tematy poruszane w twórczości Hotschniga. Zarówno debata, jak i czytanie fragmentów tekstu, odbyły się w języku niemieckim, po-

nieważ utwory Aloisa Hotschniga, tłumaczone głównie na język angielski, nie doczekały się jeszcze tłumaczenia na język polski (czytelnik znający język niemiecki znajdzie w opolskiej Bibliotece Austriackiej wszystkie utwory autora).

PAMIĘĆ W SPADKU

Z Aloisem Hotschniem rozmawia Ewa Walczyk

– *Pierwsze zdanie Pana powieści „Ludwigs Zimmer” brzmi: „Nie powinienem przyjmować tego spadku”. Słowo „spadek”, jak się domyślam, ma tu podwójne znaczenie...*

– Tak, to słowo ma dwa znaczenia – dosłowne i przenośne. Bo „spadek” oznacza także historię, którą przyjmuje się wraz z mieniem spadkowym, w tym wypadku domem. Historię, której bohater nie chce zaakceptować. Tymi słowami chciałem wyrazić milczenie i niechęć ludzi do rozmowy na temat historii II wojny światowej, do której nie potrafią znaleźć słów. Jednakże pod koniec powieści główna postać staje się częścią tego spadku i mówi: „Znalazłem swoje miejsce na ziemi”. Mój bohater początkowo odrzuca historię swoich przodków, mówiąc: „nie chcę mieć nic z tym wspólnego”. Z biegiem czasu jednak, na kolejnych stronach książki, ten młody mężczyzna odkrywa kolejne wydarzenia historyczne, dotyczące ludzi żyjących w przekazanym mu domu. I powoli się z tym domem utożsamia, coraz bardziej wgłębiając się w historię nazizmu.

– *Czy jest to, w jakimś stopniu, powieść autobiograficzna?*

– W pewnym sensie jest to powieść biograficzna, ale nie autobiograficzna, ponieważ opisuję prawdziwe historie różnych ludzi. Kiedy jako dziecko, w szkole, po raz pierwszy usłyszałem o II wojnie światowej i zapytałem o nią rodziców, odpowiedzieli mi: „jesteś jeszcze zbyt młody, opowiemy ci, jak dorośniesz”. Dopiero z czasem zrozumiałem, dlaczego tak jest. Zrozumiałem, że oni nie potrafili znaleźć słów opisujących te straszliwe wydarzenia. I nie mam im tego za złe, ponieważ rozumiałem, że trudno jest o tym opowiadać. Podobnie ocaleni Żydzi nigdy nie opowiadali swoim dzieciom o tym, co działo się w obozach koncentracyjnych, ponieważ nie byli w stanie wyrazić tego słowami.

Kiedyś pojechałem do obozu koncentracyjnego Dachau w Monachium i zabrałem broszury informacyjne, aby w szkole opowiadać o tym miejscu. Pamiętam, że nauczyciele mówili: „Co robisz Hotschnig, przecież to nie jest twoja rola”. Ale ja uważam, że choć bezpośrednio nie przeżyliśmy wojny, ani nie musieliśmy w niej uczestniczyć, powinniśmy rozmawiać na ten temat. Mamy obowiązki o tym mówić, aby miejsca pamięci były znane, bo okazuje się np., że wielu mieszkańców Karyntii nic nie wie o obozie koncentracyjnym Loibl.



Julia Geisler z listem gratulacyjnym za zajęcie I miejsca w etapie okręgowym 40. Olimpiady Języka Niemieckiego (fot. Małgorzata Miarka)

DANIELA PELKA

LICEALNE ZMAGANIA Z JĘZYKIEM NIEMIECKIM

4 listopada ub. roku w szkołach średnich naszego województwa odbył się etap szkolny 40. Ogólnopolskiej Olimpiady Języka Niemieckiego, organizowanej obecnie przez Wyższą Szkołę Języków Obcych im. Samuela Bogumiła Lindego w Poznaniu, a przeprowadzanej przez powołany przez nią Komitet Główny OJN z siedzibą w Poznaniu, we współpracy z komitetami okręgowymi, działającymi przy dwunastu ośrodkach akademickich w kraju, w tym przy Instytucie Filologii Germańskiej UO.

Najlepsi uczniowie, którzy wzięli w udział w eliminacjach szkolnych i uzyskali w teście leksykalno-gramatycznym co najmniej 70 punktów (na 100 możliwych),

zakwalifikowani zostali do eliminacji okręgowych (165 osób z 39 szkół). Ich pierwsza część – pisemna, obejmująca cztery zadania o charakterze leksykalno-gramatycznym i translatorycznym – odbyła się w szkołach 13 stycznia br., a przystąpiło do niej 151 uczniów. Po sprawdzeniu testów przez pracowników naukowo-dydaktycznych Instytutu Filologii Germańskiej UO okazało się, że sześćdziesięciu uczniów zakwalifikowało się do części ustnej olimpiady, która odbyła się w dniu 28 stycznia br. w Instytucie Filologii Germańskiej UO. Poza ogólnymi kompetencjami językowymi (ich poziom oceniali dr hab. Felicja Księżyk i dr Marek Sitek) uczestnicy

olimpiady musieli wykazać się wiedzą w zakresie literatury niemieckojęzycznej (**dr Małgorzata Jokiel** i **mgr Agnieszka Garufo**) oraz realioznawstwa niemieckiego obszaru językowego (**mgr Klaudia Gabryel** i **mgr Sebastian Maślanka**).

Spośród 52 osób, które przystąpiły do części ustnej olimpiady, najlepszy wynik ogólny uzyskała **Julia Geisler** z Publicznego Liceum Ogólnokształcącego nr 3 w Opolu (nauczycielka: **mgr Maria Łapacz**), zajmując tym samym pierwsze miejsce w województwie opolskim. Na drugim miejscu uplasowały się *ex aequo*: **Dominika Wątroba** z Liceum Ogólnokształcącego im. Władysława Broniewskiego w Strzelcach Opolskich (nauczyciel: **mgr Artur Góldyn**) i **Katharina Häusler** z Publicznego Liceum Ogólnokształcącego nr 2 z Oddziałami Dwujęzycznymi im. Marii Konopnickiej w Opolu (nauczycielka: **dr Daniela Ploch**). Trzecie miejsce zajęła **Sarah Klose** z I Liceum Ogólnokształcącego im. Jana III Sobieskiego Carolinum w Nysie (nauczyciel: **mgr Mieczysław Jaroszczyk**), a czwarte przypadło w udziale *ex aequo*: **Aleksandrze Borkowskiej** (uczennica **mgr Marii Łapacz**) i **Maksymilianowi Kasperkowi** (uczeń **mgr Elizy Dudy**) z PLO nr 3 w Opolu. Za zajęcie pierwszych miejsc uczniowie otrzymali nagrody książkowe ufundowane przez Kuratorium Oświaty w Opolu wraz z załączonymi do nich listami gratulacyjnymi.

Po przeprowadzeniu etapu okręgowego olimpiady we wszystkich okręgach w kraju wyłonieni zostali finaliści. Poza wyżej wymienionymi sześcioma osobami, w eliminacjach centralnych, do których dopuszczonych zostało w tym roku 77 osób z całego kraju, województwo opolskie reprezentować będzie w tym roku jeszcze kolejnych szesnastu uczniów naszego regionu. Są to: Wiktoria Bonk, Denis Gburek, Anna Herud, Monika Pasoń, Margarethe Szczepaniak, Paulina Światała (PLO nr 2, Opole), Julia Smyrek (PLO nr 3, Opole), Marcel Barzantny, Patrycja Czerner, Marta Woszczycka (I LO, Kędzierzyn-Koźle), Martina Koston (LO w Strzelcach Opolskich), Emilia Niesporrek (ZS w Dobrzemiu Wielkim), Dominika Cedzich (ZSZS w Kędzierzynie-Koźlu), Paweł Fronia (ZSEI w Opolu) i Sarah Smyrek (ZSTiO w Opolu).

Finał 40. Olimpiady Języka Niemieckiego odbył się w dniach 31 marca – 2 kwietnia br. w Wyższej Szkole Języków Obcych i Katedrze Skandynawistyki Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu.



Studenci germanistyki zaangażowani w zajęcia Tygodnia Germanistyki Opolskiej (fot. Marek Sitek)

KLAUDIA GABRYEL, DANIELA PELKA

NAUKA, ZABAWA I ŚLĄSKIE SZKŁOKI Tydzień Germanistyki Opolskiej 2017

Opolska germanistyka znowu otworzyła swoje drzwi dla gości z regionu i nie tylko. Wraz z nastaniem wiosny od kilku lat w Instytucie Filologii Germańskiej obchodzimy Tydzień Germanistyki Opolskiej. Tym razem, już po raz siódmy, odbył się w dniach 20–24 marca i przyciągnął w tym roku wyjątkowo wielu gości. Otwarte drzwi oznaczały nie tylko możliwość przebywania w przepięknych uniwersytecką atmosferą korytarzach i aulach, ale przede wszystkim przeniesienia się choć na chwilę w świat wiedzy i kreatywnej pracy z językiem niemieckim.

W poniedziałek, 20 marca, w zapełnionej do ostatniego miejsca sali Studenckiego Centrum Kultury, odbyła się prezentacja „Co warto zobaczyć w Niemczech, Austrii i Szwajcarii?“, przygotowana przez studentów pierwszego roku germanistyki, pod kierunkiem dr Małgorzaty Jokiel. Przybyli na nią uczniowie mieli okazję odświeżyć i poszerzyć swoją wiedzę na temat wybranych

regionów, miejscowości, zabytków oraz postaci związanych z omawianymi krajami niemieckiego obszaru kulturowego. Oprócz licznych zdjęć prezentujących niemieckie, austriackie i szwajcarskie „magnesy” turystyczne, wśród których znalazły się zarówno tereny ciekawe pod względem krajobrazowym, jak i atrakcje kulturalne w postaci zamków, pałaców, kościołów czy muzeów, uczniom zaprezentowana została twórczość muzyczna wybranych kompozytorów, np. Jana Sebastiana Bacha czy Johanna Straussa; obok kultury wysokiej w prezentacji pojawiły się elementy kultury codziennej, w tym np. tradycyjne przysmaki kuchni danego kraju. Przerwywnikami, mobilizującymi uczestników do koncentracji na prezentowanych treściach i do aktywnego uczestnictwa w spotkaniu, były quizy, a na udzielających poprawnych odpowiedzi czekały słodkie nagrody.

Po krótkiej przerwie goście z przybyłych do nas szkół mieli okazję uczestniczyć w kolejnym wydarzeniu, a była

nim inscenizacja wiadomości telewizyjnych przygotowana przez studentów drugiego i czwartego roku filologii germańskiej. Podczas gdy dwoje z nich wcieliło się w postaci moderatorów prezentujących wiadomości w studio, pozostali uczestnicy projektu wystąpili w roli korespondentów, komentatorów wydarzeń i osób udzielających wywiadów. Poczynając od konsultacji, dotyczących wejścia Polski do Unii Europejskiej, poprzez wejście w życie traktatu akcesyjnego, 1 maja 2004 r., słuchaczom przybliżone zostały istotne zmiany i wydarzenia, jakie miały od tego czasu miejsce w Polsce. Poruszone zostały przy tym zarówno zjawiska, do których wszyscy zdążyli się już przyzwyczaić, aczkolwiek stale wpływające na kształt życia w obecnej Polsce, jak np. otwarte granice, możliwość podejmowania pracy i studiów za granicą, dotacje dla rolnictwa i gospodarki, a także jeszcze nie do końca rozwiązane, jak kwestia wprowadzenia euro, oraz całkiem aktualne, jak np. tegoroczny wybór Donalda Tuska na przewodniczącego Rady Europejskiej. Prezentacja stała się okazją do zamianowania przez młodych ludzi ich poparcia dla idei wspólnej Europy i Polski w strukturach Unii Europejskiej.

We wtorek, 21 marca, zaprosiliśmy naszych gości na gryfny poranek ze „Ślůnskim Frühstück-TV”. Ślůnzoki, studijący w Instytucie Filologii Germańskiej, postanowili w ciekawy sposób, w formie chętnie oglądanego programu w fernzyjerze, przedstawić istotne fragmenty z życia mieszkańców Śląska. Pytania: „Jak żyjemy?”, „Jakie przysmaki gotujemy?” czy „Jak się bawimy?” nie pozostały bez odpowiedzi. Wybrane tradycje, obyczaje oraz typowe dla regionu miejsca, połączone z godkom Ślůnzoka, stanowiły intrygującą podstawę licznych reportaży i rozmów w studiu „Ślůnskigo Frühstück-TV”. Godziny przedpołudniowe spędziliśmy w miłej atmosferze, oglądając na dużym ekranie studencką telewizję śniadaniową, trzymając w ręku quiz z zawłościami dialektu śląskiego. Przyjemnym zakończeniem wtorkowego wydarzenia był drobny, słodki poczęstunek, oczywiście nie bez akcentu śląskiego, gdyż były to znane i lubiane w regionie landrynki „ŚLĄSKIE SZKLOKI”. Całość przebiegała pod czujnym okiem mgr Klaudivii Gabryel i dr. Marka Sitka.

W środę, 22 marca, odbyła się krótka inscenizacja oraz prezentacja multimedialna finalnego produktu projektu pt. „Luter współcześnie – każdy czas ma swojego Lutra, każdy z nas ma swojego Lutra”. W ramach projek-

tu z okazji 500. rocznicy reformacji, koordynowanego przez dr. Gabrielę Jelitto-Piechulik, uczestnicy mieli za zadanie przybliżyć publiczności sylwetkę Marcina Lutra z perspektywy naszych czasów. Goście, którzy tego dnia odwiedzili instytut, zachęcani zostali do wspólnej historyczno-społeczno-politycznej refleksji. Dzięki starannie przygotowanym prezentacjom multimedialnym, obrazującym ciekawe wątki biograficzne Lutra, wszyscy uczestnicy mogli z łatwością przenieść się do omawianych miejsc i lepiej zrozumieć liczne aspekty przemian społeczno-politycznych II połowy XV i XVI wieku. Podróż, do której zachęciła koordynatorka wraz ze studentami, pozwoliła na refleksję nad znaczeniem reformacji jako protestu intelektualnego o podłożu religijnym, a gość specjalny, pastor Wojciech Pracki, pomógł dyskusji wpaść na właściwy tor. Ciekawe prezentacje, obszerne wizualizacje, kreatywne gry słowne jak i rebusy, pozwoliły skupić uwagę gości na najważniejszych wątkach tego wydarzenia.

W czwartek, 23 marca, odbyła się Olimpiada Interpunkcyjna oraz Konkurs Poprawnej Niemczyzny, które przygotowały dr hab. Daniela Pelka (olimpiada) i dr hab. Felicja Księżyk. Nawiązując do ośmioletniej już tradycji olimpiady, uczestnicy otrzymali tekst całkowicie pozbawiony znaków interpunkcyjnych, a ich zadaniem było poprawne ich uzupełnienie. W oparciu o homonię niemieckiego wyrazu *Made* (robak) i angielskiego wyrazu *made* (wyprodukowano) przedłożone opowiadanie przedstawiało historię robaczka, który udaje się do Chin i chcąc powiadomić rodzinę o udanej wyprawie, na wszystkich przysyłanych do Europy towarach zamieszcza informację „Made in China”. Uczestnicy zakwalifikowani do Konkursu Poprawnej Niemczyzny zmierzali się z kolej z tekstem o działaniach austriackiego Ministerstwa Nauki, mających na celu propagowanie krajowej odmiany języka niemieckiego. Tekst był naszpikowany licznymi błędami ortograficznymi, leksykalno-gramatycznymi i stylistycznymi, zadaniem uczestników było dokonanie odpowiednich poprawek. Najlepszą znajomością reguł języka niemieckiego wykazały się: Karolina Eszik (I miejsce) Marlen Sadlo (II miejsce) i Jessica Bolcek (III miejsce), które za swe osiągnięcia otrzymały pamiątkowe dyplomy i nagrody książkowe.

W ostatnim dniu Tygodnia Germanistyki Opolskiej odbyły się warsztaty językowe pt. „Ein Hauch des

Wirtschaftsdeutschen für Anfänger”. W piątek na germanistyce pojawili się goście, którzy nie tylko chcieli poprawić swój niemiecki, ale dodatkowo poszerzyć swoją wiedzę w tym zakresie o specyficzne słownictwo. Udowodniliśmy, że przygoda z fachowym, a zarazem trudnym do opanowania obszarem języka niemieckiego może rozpocząć się również na początku nauki. Nasi goście mieli okazję przekonać się, jak w ciekawy, pełen kreatywnych wyzwania sposób opanować przynajmniej część niemieckiego słownictwa i zwrotów przydatnych w rozmowach biznesowych. Ta nietypowa lekcja niemieckiego połączyła zabawę z kreatywnym myśleniem, a skutkiem ubocznym była w tym wypadku nauka języka niemieckiego. Ciekawie skonstruowane ćwiczenia, gry językowe, quizy itp. koordynowane przez mgr Klaudivię Gabryel i realizowane przy współudziale studentów piątego roku germanistyki wciągnęły uczestników spotkania i pokazały im, że nauka języka wcale nie musi być nudna i uciążliwa, a wręcz przeciwnie – może bawić i cieszyć, równocześnie stanowiąc podstawę podniesienia poziomu kompetencji językowej i komunikacyjnej.

Tydzień Germanistyki Opolskiej był również okazją do zwiedzenia kampusu uniwersyteckiego i przyjrzenia się z bliska życiu studentów. Oprócz rozmów z wykładowcami, nasi goście mieli możliwość zajrzeć do sal dydaktycznych i biblioteki instytutu. Z kolei nasi pracownicy wykorzystali okazję, by przybliżyć swym gościom działalność naukową i ofertę dydaktyczną instytutu. Być może już wkrótce niektórzy z nich zawitają w naszych murach jako kandydaci na studia.



Tsuzuko Abe fotografuje zakątki Opola

TSUZUKO ABE

IMPRESJE OPOLSKO-JAPOŃSKIE

Jestem Japonką, pracuję na Uniwersytecie Doshisha w Kyoto – w charakterze nauczyciela języka niemieckiego.

Przez dwadzieścia dni, od 6 do 26 września ub. roku mieszkałam w Opolu, gdzie uczęszczałam na kurs języka polskiego dla obcokrajowców – w ramach Letniej Szkoły Językowej, organizowanej przez Uniwersytet Opolski. Na naszym kursie było około 50 uczestników, wszyscy, oprócz mnie, byli studentami z Ukrainy, którzy właśnie ukończyli szkoły średnie, z zamiarem rozpoczęcia studiów w Opolu.

Tak się składa, że ja zaczęłam uczyć się polskiego wiele lat temu, kiedy jeszcze byłam studentką, ale musiałam zrezygnować, ponieważ wówczas nie było u nas ani dobrych nauczycieli polskiego, ani dobrych materiałów do nauki. A poza tym język polski jest tak trudnym językiem, że opanowanie go wydawało mi się absolutnie niemożliwym. Postanowiłam więc wybrać, jako główny przedmiot, język niemiecki, tym bardziej, że języki germańskie również mnie fascynowały. I tak zostałam nauczycielem

niemieckiego. Jednak Polska zawsze mnie interesowała, dlatego w tym roku postanowiłam wrócić do Polski i spróbować jeszcze raz. Jak w tym powiedzeniu: „Na naukę nigdy nie jest za późno”.

Mój kierownik naukowy w Instytucie Języka i Kultury Uniwersytetu w Osace, profesor Hiroyuki Wagata, polecił mi odwiedzić Opole, gdzie w 2010 r. razem z profesorami Elichi Kido i Koji Kobayashi prowadzili badania socjologiczne na temat „Niemcy w województwie opolskim w 2010 roku. Pytania i odpowiedzi”, współpracując z Domem Współpracy Polsko-Niemieckiej. Tym projektem kierowała dr Danuta Berlińska z Instytutu Socjologii Uniwersytetu Opolskiego. Profesor Wagata opowiadał mi, jak bardzo był zafascynowany waszym pięknym miastem i ludźmi, których poznał podczas swojego pobytu w Opolu.

W Japonii Polska jest ogólnie znana i wielu Japończyków interesuje się polską kulturą. Jednym z powodów naszego wielkiego zainteresowania Polską jest fakt, że

Japonię odwiedzali tacy wielcy Polacy, jak św. Jan Paweł II, Andrzej Wajda i Lech Wałęsa.

Przyjaźń pomiędzy Polską a Japonią zaczęła się znacznie wcześniej, jeszcze w XIX wieku. Polscy intelektualiści, tacy jak Benedykt Dybowski, Waław Sieroszewski i Bronisław Piłsudski odwiedzili Sachalin i poznali naród Ainu. Bronisław Piłsudski miał dobre kontakty z japońskimi intelektualistami, m.in. z Futabatel Shimei.

Rosyjsko-japońska wojna, która wybuchła w 1904 roku, wzbudziła w Polsce wielki entuzjazm. Japończycy z kolei bardzo cenili sobie odwagę Polaków, którzy walczyli przeciwko Rosji – polska szlachta była porównywana do japońskich samurajów i ich ducha Bushido. Powstała również wojenna pieśń o Polsce pt. „Po-rando Kaiko” („Wspomnienia o Polsce”), powszechnie znana wśród prostego ludu.

Sytuacja międzynarodowa z czasem zupełnie się zmieniła. Dzisiejsza Rosja nie jest już naszym wspólnym wrogiem, lecz naszym najważniejszym sąsiadem, który jak most łączy Europę i Daleki Wschód. Ale Polska pozostała naszym ulubionym krajem. I cieszymy się z informacji (badania CBOS-u, przeprowadzone w styczniu 2015 roku), że Polacy bardzo sobie cenią Japończyków.

Pomiędzy współczesną Polską a Japonią jest też sporo podobieństw. Oba państwa charakteryzuje wielkie bogactwo kulturowej różnorodności. Na przykład na Śląsku mieszkają takie mniejszości, jak Żydzi, Romowie, Ukraińcy i Niemcy. W Japonii również mieszkają Koreańczycy, Chińczycy, którzy przybyli podczas okresu kolonizacji, a także autochtoni z narodu Ainu. W odróżnieniu od obcokrajowców, którzy mają inny kolor skóry, autochtoni nie są rozpoznawani i dlatego nie jest im łatwo zwierzać się ze swojej narodowej lub religijnej tożsamości. Z tego powodu wolą o tym nie mówić.

W epoce globalizacji Japonia, tak samo jak Polska, stoją w obliczu wyzwań internacjonalizacji – w Japonii obecnie pracuje 900 000 obcokrajowców, przyjmujemy także uchodźców, którym musimy udzielać natychmiastowego wsparcia. Sytuację komplikuje fakt, że w Japonii, jak w wielu innych krajach, narasta zjawisko rasizmu i dyskryminacji wobec obcokrajowców oraz mniejszości narodowych. Skrajnie prawicowe grupy regularnie organizują demonstracje, manifestując nienawiść, szczególnie wobec mniejszości koreańskiej. Te protesty przenoszą się z ulic, a także Internetu, który jest pełen tej mowy nienawiści, pod koreańskie szkoły – tam też pojawiają się manifestanci.

Stanowczy protest przeciwko dyskryminacji obcokrajowców i mniejszości narodowych, obrona praw każdego człowieka – to jedno z wyzwań, jakie stoją dziś przed Japonią. Ale jak tego dokonać? Myślę, że przykładem dla nas może być Polska jako państwo od lat wielokulturowe, z wielką tradycją tolerancji wobec innych narodów. Nauce tej tolerancji mogłaby służyć np. wymiana studentów, naukowców, ludzi sztuki, wspólnie prowadzone badania naukowe, organizacja wydarzeń artystycznych.

A na koniec odrobina prywaty. Otóż, podczas pobytu w Opolu udało mi się obejrzeć w kinie „Helios” polski film „Sługi Boże” – bardzo ekscytujący kryminał, w którym Bartłomiej Topa gra rolę Warskiego, trochę szorstkiego, ale świetnego policjanta, a Julia Kijowska rolę miłej i bystrej niemieckiej policjantki Any. Zdjęcia do tego filmu odbywały się w fantastycznym, pięknym Wrocławiu, Europejskiej Stolicy Kultury 2016. Po obejrzeniu tego filmu przyszedł mi do głowy pomysł na to, jak zacieśnić nasze polsko-japońskie kontakty. Mam zatem prośbę do komisarza Warskiego: „Panie Warski, do swojego następnego filmu proszę wybrać partnerkę z Dalekiego Wschodu!”.

Tłumaczenie z języka angielskiego: Anna Lysek

PATRYK KORZEC

LEGENDY ZE STREFY WYKLUCZENIA

Czarnobyl po latach od katastrofy jądrowej wciąż kojarzony jest jako miejsce skażone promieniowaniem, do którego wstęp grozi śmiercią. A jak jest naprawdę?



Widok z okna jednego z bloków Prypeć (fragment). Fot. Helmut Fohringer

Ponad 30 lat temu doszło do tragicznej w skutkach katastrofy reaktora czwartego bloku energetycznego elektrowni jądrowej w Czarnobylu. W jej wyniku skażeniu promieniotwórczemu uległ ogromny obszar na pograniczu Rosji, Białorusi oraz Ukrainy, a przesiedlonych zostało ponad 350 tysięcy osób. Od tamtej pory zamknięty przez pewien czas obszar obrastał w legendy oraz niesamowite historie dotyczące istot, które mają tam żyć do tej pory.

Strefa Wykluczenia – bo tak nazywa się obszar wokół elektrowni – przeraża i fascynuje. Większość ludzi drży na samą myśl wyprawie w tamte regiony, lecz są i tacy, którzy regularnie jeżdżą i eksplorują zanieczyszczone niegdyś tereny. Do takich osób należy Krystian Machnik, przedstawiciel grupy Napromieniowani.pl, który w czasie trwającego przez tydzień Opolskiego Festiwalu Podróżniczego odwiedził Studenckie Centrum Kultury, by przedstawić relacje ze swoich wielokrotnych podróży do tej strefy.

Prelekcja cieszyła się ogromnym zainteresowaniem. Sala widowiskowa SCK zapelniona była do ostatniego miejsca, a wiele osób siedziało na schodach oraz wzdłuż ścian. Prelegent przygotował pokaz slajdów złożony ze zdjęć robionych głównie na terenie skażonym, przed-

stawił też wyniki pomiaru skażeń promieniotwórczych. Co ciekawe, miał również ze sobą różnorodne radiometry służące do pomiarów promieniowania. Udowodnił na przykład, że w sali kameralnej SCK, gdzie odbywało się spotkanie, był niemalże identyczny stopień promieniowania, jak 30 kilometrów od Czarnobyla. A najwyższe wskaźniki promieniowania ciężko odnaleźć nawet kilka kilometrów od sarkofagu, który przykrywa czwarty reaktor. Uczestnicy spotkania mieli także okazję zobaczyć film rejestrujący wejście – zimowym wieczorem – na ponadstumetrową antenę, zwaną Okiem Moskwy, na której Krystian samotnie spędził kilkanaście minut.

Słuchacze żywo reagowali też na przytaczane czarnobylskie legendy o krążących wokół reaktora mutantach czy krwiożerczych bestiach, które okazały się być dziesiątkami bezpiecznych psów błąkających się po niezamieszkałym już terenie. Na zakończenie gość zaproponował studentom udział w jednej z kolejnych wypraw grupy Napromieniowani.pl na teren Czarnobyla. Po spotkaniu Krystian Machnik nagrodzony został długimi bra- wami, a wielu studentów miało jeszcze okazję spotkać się z nim i porozmawiać prywatnie w holu SCK.



Zwyciężyli wszyscy (fot. Paulina Hartman)

PAWEŁ CIEŚLA

ZWYCIĘŻYLI WSZYSCY Zimowy Meeting Piłkarski

Pierwsza edycja Zimowego Meetingu Piłkarskiego: „Poznajmy swoje możliwości!” odbyła się rok temu, zyskując sympatyków nie tylko w środowisku uniwersyteckim. Celem tego przedsięwzięcia jest przybliżenie studentom pedagogiki specyfiki i problemów życia oraz pracy osób niepełnosprawnych, a z drugiej strony – wprowadzenie osób niepełnosprawnych w sferę nieformalnego życia studenckiego.

Do turnieju zaprosiliśmy drużyny wraz z opiekunami z fundacji Dom Rodzinnej Rehabilitacji Dzieci z Porażeniem Mózgowym w Opolu (Środowiskowy Dom Samopomocy, Warsztat Terapii Zajęciowej, Zakład Aktywności Zawodowej), Środowiskowego Domu Samopomocy z Sowczyc oraz z Warsztatu Terapii Zajęciowej ze Słupki pod Kępem. Organizatorów, czyli Instytut Nauk Pedagogicznych, w turnieju, który rozpoczął się 20 stycznia br. reprezentowało Koło Naukowe Pedagogów (występując w składzie: **Katarzyna Paruch, Magdalena**

Religa, Marta Wójcik, Paweł Cieśla, Krzysztof Czerniecki oraz **Marek Zura**) przy wsparciu organizacyjnym ze strony **Faustyny Cieślik, Pauliny Hartman** oraz **Natalii Chmiel** i **Natalii Garus**. Arbitrem turnieju był **Michał Pazowski**.

Meeting piłkarski rozpoczął się od oficjalnego powitania przybyłych drużyn przez opiekuna sekcji naukowej – **dra Karola Neischa** i główną organizatorkę – **Katarzynę Paruch**, reprezentującą jednocześnie jedną z pierwszoligowych drużyn futbolu kobiecego naszego regionu. Następnie wszyscy uczestnicy przystąpili do obowiązkowej rozgrzewki, by możliwie w jak największym stopniu zminimalizować potencjalne ryzyko kontuzji czy urazów. W ramach rozgrzewki, oprócz standardowych ćwiczeń, zaproponowano również ćwiczenia ukierunkowane na koordynację i prawidłowe prowadzenie piłki.

Rozgrywki turniejowe realizowane były systemem pucharowym. W grupie każda drużyna rozegrała dwa



Zwycięzcy z dyplomami (fot. Paulina Hartman)

emocjonujące mecze, których wynik pozostawał otwartą kwestią – aż do końcowego gwizdka sędziego. Po rozgrywkach grupowych rozpoczęto fazę pucharową, która faktycznie zweryfikowała przygotowanie fizyczne uczestników, mobilizowanych do wysiłku przez kibiców zgromadzonych na balkonie hali.

Choć ufundowany przez dyrektora Instytutu Nauk Pedagogicznych puchar powędrował do drużyny Zakładu Aktywności Zawodowej z Opola, to faktycznie zwycięzcami byli wszyscy uczestnicy meczu, którzy poprzez swoje zaangażowanie w grę i rywalizację fair play zagwarantowali wysoki poziom rozgrywek i chwile radości zgromadzonym kibicom i opiekunom.

Turniej zakończono rozdaniem imiennych dyplomów uczestnictwa w zawodach, wykonano też pamiątkowe zdjęcia. Organizatorzy pragną szczególnie podziękować władzom Wyższego Międzydiecezjalnego Seminarium Duchownego w Opolu za użyczenie sali gimnastycznej i wsparcie organizacyjne turnieju.



Fragment wystawy w Muzeum UO (fot. Andrzej Szczepaniak)

KATARZYNA MAZUR-KULESZA

CZTERY TRONY KAROLA IV

23 lutego br. w Muzeum Uniwersytetu Opolskiego odbył się wernisaż wystawy „Cesarz na czterech tronach – droga życiowa Karola IV Luksemburskiego”, przygotowanej przez Czeskie Centrum w Warszawie, we współpracy z Narodni galerii. Inicjatorką sprowadzenia ekspozycji do Uniwersytetu Opolskiego była **prof. Joanna Czaplńska**, dziekan Wydziału Filologicznego. Na wystawę składa się ekspozycja poświęcona Karolowi IV, którą przedstawiono w praskiej Valdštejnskiej jízdní, a jej głównym organizatorem był dyrektor Narodni galerii, **dr Jiří Fajt**. Czeskie Centrum w Warszawie przyczyniło się do przetłumaczenia tekstów na język polski i dodało kilka paneli poświęconych relacjom Karola IV z Polską i Śląskiem – ich autorką jest **prof. Anna Paner**, historyk, specjalizująca się w tematyce dotyczącej dziejów i kultury Czech w X–XV wieku, a także historii Kościoła i ruchów religijno-społecznych w średniowieczu.

Podczas wernisażu wystawy **prof. Bogusław Czechowicz** wygłosił wykład pt. „Karol IV a Śląsk”, którego celem było zaprezentowanie historycznej roli Karola IV oraz jego znaczenia dla Czech i Europy.

Opole jest kolejnym miastem, w którym zagościła wystawa poświęcona cesarzowi Karolowi IV – w Muzeum Uniwersytetu Opolskiego można ją obejrzeć do 17 marca br., po czym zaprezentowano ją we Wrocławiu.

JUSTYNA GRZESIK

OBLICZA PISMA

Systemy komunikacji są tworzone od wieków. Ich wspólną cechą charakterystyczną jest fakt, że wywierają pewien wpływ na społeczeństwo i jego kulturę. Istotną kwestią jest sposób, a nawet powód, dla których owe systemy powstają, jak dobrane znaki odzwierciedlają treść przekazu i jakie czynniki przyczyniają się do rozwoju lub ewentualnych zmian systemów komunikacji.

Te, oraz mnóstwo powiązanych zagadnień, zostały poruszone podczas interdyscyplinarnej konferencji naukowej, która odbyła się 10 lutego br. w Opolu. Organizatorami byli: Instytut Polonistyki i Kulturoznawstwa oraz Instytut Filologii Angielskiej Uniwersytetu Opolskiego, Studia Doktoranckie Wydziału Filologicznego UO, Instytut Studiów Klasycznych, Śródziemnomorskich i Orientalnych oraz Kolegium Międzyobszarowych Studiów Indywidualnych Uniwersytetu Wrocławskiego, Uniwersytet w Bukareszcie, a także Komisja Nauk Filologicznych Oddziału PAN we Wrocławiu.

Konferencję otworzyła **dr hab. Dorota Brzozowska, prof. UO**, po czym rozpoczęła się – od wystąpienia **prof. dr. hab. Piotra P. Chruszczewskiego** (Uniwersytet Wrocławski) – sesja plenarna. Profesor zaczerpował słuchaczy ciekawymi informacjami dotyczącymi „Obecnej sytuacji poznawczej w lingwistyce” oraz ogromnym zaangażowaniem, z jakim je przedstawiał. Nie zabrakło również wystąpienia w języku angielskim – **dr Aleksandra Knapik** (Uniwersytet Wrocławski) wygłosiła wykład na temat: „Maltese Writing System: A Process of Development and Reform”.

Po krótkiej przerwie kawowej rozpoczęła się pierwsza część wystąpień w ramach poszczególnych sekcji. Mówcami byli między innymi: **Aleksandra Deskur** (Uniwersytet Adama Mickiewicza), **Katarzyna Foremniak** (Uniwersytet Warszawski), **Kamila Rum** (Uniwersytet Jagielloński), **Dagmara Budzioch** (Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej, Lublin), **Sebastian Urbaniak** (Uniwersytet Szczeciński). Swoje tematy przedstawiły również reprezentantki Uniwersytetu Opolskiego: **Barbara Kurowska** („Rękopis Kazimierza Bielańskiego – żywe źródło historyczne XIX-wieczna pamiątka o wątpliwej auten-

tyczności wydarzeń?”), **Katarzyna Molek-Kozakowska** („The rhetorical potential of typographic and iconic signifiers in online charity discourse”) i **Justyna Grzesik** („The situation of women living in the Victorian era”).

Kolejną część konferencji rozpoczął wykład plenarny **prof. dr hab. Teresy Szostek** (Uniwersytet Wrocławski) pt. „Na skrzyżowaniu szlaków – Europa zapisuje”, który ujął słuchaczy zarówno samą treścią, jak i głębią analizy wybranych zagadnień. W drugiej serii wystąpień wzięli udział m.in.: **Alicja Bronder** (Uniwersytet Śląski w Katowicach), **Aleksy Głazkow** (Rosyjska Akademia Gospodarki Narodowej i Administracji Publicznej przy Prezydencie Federacji Rosyjskiej), **Agnieszka Klimas** (Uniwersytet Opolski), **Marta Michalska** (Uniwersytet Łódzki), **Sebastian Bednarowicz** (Uniwersytet Kazimierza Wielkiego), **Barbara Matuszczyk** (Uniwersytet Śląski w Katowicach).

Uczestnicy konferencji podkreślali trafny dobór tematyki obrad oraz wysoki poziom organizacji, wyrażali też żal, że spotkanie trwało tylko jeden dzień. Osoby, które przybyły do Opola z innych miast otrzymały materiały promocyjne z Urzędu Miasta Opole oraz z Opolskiego Centrum Informacji Turystycznej. Nie można także zapomnieć o studentach Uniwersytetu Opolskiego, którzy pomagali przy organizacji konferencji. Wszystkim bardzo dziękujemy!

BARBARA STANKIEWICZ

WIECZÓR NA WOŁYNIU

Promocja kolejnych dwóch tomów „Kresowej Atlantydy” prof. Stanisława S. Nicieji

Dziewiąty tom „Kresowej Atlantydy” autor serii, prof. Stanisław S. Nicieja, dedykował prof. Marianowi Zembali, kardiologowi, długoletniemu dyrektorowi Śląskiego Centrum Chorób Serca w Zabrzu, b. ministrowi zdrowia i – „budownicemu polsko-ukraińskich mostów pojednania”. Nieprzypadkowo więc prof. Marian Zembala, obok rektora UO prof. Marka Masnyka, był prowadzącym spotkanie w Studenckim Centrum Kultury, podczas którego autor „Kresowej Atlantydy” opowiadał o swoich kolejnych książkach. Sala widowiskowa była zapelniona do ostatniego miejsca, a zajęli je m.in. wicemarszałek woj. opolskiego Roman Kolek, prezydent Opola Arkadiusz Wiśniewski, doradca marszałka Janusz I. Wójcik, a przede wszystkim – dawni mieszkańcy Kresów, wierni czytelnicy kresowej sagi profesora Nicieji.

– Kresów nie znamem – przyznał prof. Marian Zembala. – Zainteresowałem się nimi za sprawą prof. Zbigniewa Religi, który przed 30. laty zaproponował, żebyśmy pomogli szkolić w kardiologii ukraińskich lekarzy. I tak, niechcący, dotknęliśmy, i nadal dotykamy, historii tych ziem. Pamiętam, przyjechaliśmy do kraju, gdzie nie było ubezpieczeń zdrowotnych, gdzie, w szpitalu w Łucku, leczono też ludzi dotkniętych chorobą popromienną. I zaczęliśmy patrzeć na Wołyń z pozycji tego biblijnego miłosiernego Samarytanina, a twórczość profesora Nicieji bardzo nam w tym pomagała.

Przez osiem lat, mówił prof. Marian Zembala, zabrznięli kardiologowie operowali ukraińskich pacjentów, jednocześnie szkoląc tamtejszych lekarzy. Z czasem, dzięki nim, w Równem powstało centrum leczenia zawałów, a w Łucku – centrum kardiologii. W ostatni weekend w Zabrzu gościło 50 kardiologów z kilku krajów Europy, także Ukrainy, i to właśnie ukraińscy lekarze zwrócili na siebie uwagę pozostałych – swoją starannością i wielką pasją. A przecież start mieli zdecydowanie, od lekarzy z Zachodu, gorszy.

– Pokazał nam pan – powiedział, zwracając się do prof. Stanisława S. Nicieji – że Kresy są wartością, którą warto pielęgnować, pańskie książki nas wychowują i pomagają zrozumieć historię, uczą empatii do ludzi, którzy dziś,

na dawnych kresach Polski mieszkają, bo przecież nie można w nieskończoność myśleć o tym, co się straciło... Chylę przed panem czoła, dziękuję, proszę nie ustawać.

Bogusław Szybkowski, wydawca „Kresowej Atlantydy”, zwrócił uwagę na wielkie znaczenie, jakie profesor przywiązuje do zdjęć: – Z jednakową miłością traktuje zdjęcie wytwornej damy na deptaku w Truskawcu i bosej chłopki spod Sambora. Tym sposobem obie ratuje od zapomnienia.

Uratować Kresy od zapomnienia – na tę potrzebę zwróciła uwagę również Irena Kalita, prezes opolskiego oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, postulując utworzenie w Opolu muzeum tych ziem. – Nie ukrywam też, że bardzo czekam na kolejne tomy „Kresowej Atlantydy”, zwłaszcza na tom, w którym będzie opisany mój Złoty Potok...

Pora na bohatera wieczoru. Prof. Stanisław S. Nicieja nie ukrywał wzruszenia, że promocja jego kolejnych tomów przyciągnęła takie tłumy. Opowiadając o swoich najnowszych książkach, przywołał dziesiątki nazwisk, sypaną anegdotami, zwracał uwagę na rolę przypadku, który pozwala mu tworzyć i uzupełniać te opowieści.

– W Łucku urodziła się Barbara Krafftówna, jej ojciec był naczelnym architektem miasta. Rozmawialiśmy, opowiadała mi o swoich losach. Jestem na spotkaniu w Świdnicy, podchodzi do mnie pani, pokazuje zdjęcie z lat szkolnych i mówi: – Tu jestem ja, a tu moja koleżanka, Barbara Krafftówna... Jakże się Krafftówna ucieszyła, kiedy jej to zdjęcie pokazałem! Albo inna historia. W tomie poświęconym Samborowi pisałem o tragedii rodziny Durkalców, o której w tamtych czasach rozpisywały się wszystkie gazety, cała rodzina zginęła w wypadku, jechali motocyklem. I oto na spotkaniu w Bytomiu podchodzi do mnie ich wnuk, z całą dokumentacją dotyczącą tego wypadku. Wnuk, który zrozumiał, jakie to ważne: zdokumentować dzieje swojej rodziny.

– Z naszej historii wyrzucono setki ludzi – ubolewał profesor Nicieja, przyznając, że jako historyk doznaje dziś, gdy historię piszą politycy, wstrząsu: – Dlatego przypominam ludzi, o których historia niesprawiedliwie



Na zdjęciu (od lewej): prof. Marian Zembala, rektor prof. Marek Masnyk, Bogusław Szybkowski, Irena Kalita (fot. Tadeusz Parcej)



Prof. Stanisław S. Nicieja podpisuje swoje książki (fot. Tadeusz Parcej)



Promocja VIII i IX tomu „Kresowej Atlantydy” odbyła się w Studenckim Centrum Kultury UO, 20 lutego br. (fot. Tadeusz Parcej)

zapomniała albo celowo wyrzuciła ze zbiorowej pamięci. Jest wśród nich m.in. Alojzy Sroga, dziennikarz, który pisał o żołnierzach armii generała Berlinga – wielu z nich walczyło w tej armii, bo nie zdążyli zaciągnąć się do armii Andersa. Pisał m.in. o Kazimierzu Gellesie ze Śniatyna, saperze, który rozbroił prawie 16 tysięcy min, z tego powodu nazywano go „Nieomylnym”... Przypominam też Zbigniewa Załuskiego, niesłusznie zapomnianego autora „Siedmiu polskich grzechów głównych”, którego wyzowano od moczarców...

W ósmym tomie „Kresowej Atlantydy” pojawia się także Helena Majdaniec, urodzona pod Łuckiem, którą w latach 60. ogłoszono „królową polskiego twista”, a która u szczytu sławy wyjechała z Polski i występowała w paryskich lokalach, gdzie jej gaża była uzależniona od liczby klientów, jakich zdołała namówić na zamówienie szampana. Taksówkarzem, po wyjeździe z Polski do USA, został popularny w latach 60. piosenkarz Krzysztof Klenzon, pochodzący z Sambora – jego losy także zostały opisane w tomie ósmym. W tomie dziewiątym, jak w poprzednich, nie brakuje i Opolan, m.in. rodziny zmarłej niedawno dr Danuty Berlińskiej, plantatorów maku spod Łucka, rodziny prof. Zenona Jasińskiego...

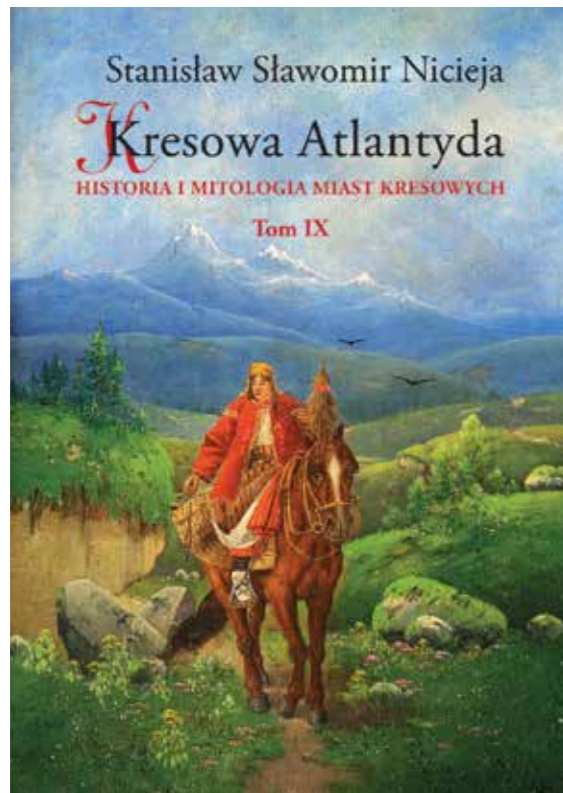
– Coraz bardziej dociera do mnie – mówił podczas spotkania profesor Nicieja – że podjąłem się zadania niewykonanego. Dokumenty i zdjęcia zajmują w naszym domu całe szafy, i wciąż do nas płyną, tonami, zwłaszcza po kolejnych spotkaniach z czytelnikami...

Podczas wieczornego spotkania w Studenckim Centrum Kultury, ks. prałat Zbigniew Lubieniecki ofiarował prof. Stanisławowi S. Niciejowi – w imieniu swoim oraz ks. bpa prof. Andrzeja Czai – ikonę: „w dowód ludzkiego podziwu za zabliznianie dawnych ran”. Bo i niewygodne dotąd polsko-ukraińskie rany były jednym z tematów tego spotkania.

– W swoim filmie o Wołyniu – mówił profesor – Smarzowski przełamał tabu, powiedział jasno: to, co spotkało Polaków mieszkających na Wołyniu ze strony Ukraińców, to był zwyczajny sadyzm. Tak było. Tym bardziej trudno zrozumieć, dlaczego na Ukrainie jako bohaterów czci się takich bandytów, jak Bandera czy Czuprynka, któremu poświęcona jest tablica powieszona na ścianie polskiej szkoły we Lwowie. I ja to mówię ukraińskim historykom: „macie tylu ciekawych bohaterów, a czcicie morderców, którzy stanowili małą grupę w waszym narodzie”.

MARCELI KOSMAN

W BLASKACH WOŁYŃSKICH ATEN



Okładka IX tomu „Kresowej Atlantydy” Stanisława S. Nicieji, Wydawnictwo MS, 2017

W tomie IX „Kresowej Atlantydy” (Opole 2016) dominuje Krzemieniec z ruinami zamku owianego legendami związanymi z postacią królowej Bony, a przede wszystkim pamięcią sławnego Liceum Krzemienieckiego, założonego przez Tadeusza Czackiego i wznowionego rozkazem naczelnika państwa wraz z odzyskaniem wolności po czasach narodowej niewoli. Stanisław Nicieja poświęcił miastu Juliusza Słowackiego niemal połowę książki (s. 15–118), w której ewokował również sześć innych kresowych miejscowości. Tekst poprzedza dedykacja dla wspaniałego kardiochirurga, wieloletniego dyrektora Śląskiego Centrum Chorób Serca w Zabrzu, który szerszym kręgom rodaków dał się poznać z krótkiego sprawowania funkcji ministra zdrowia, a który

w pełni zasłużył – jak pisze autor – na miano „rzecznika i budowniczego polsko-ukraińskich mostów pojednania” – profesora Mariana Zembali.

„Odrodzona Rzeczpospolita szuka dróg własnych, by wychować nowe pokolenia dzielnych obywateli, którzyby Jej wielkość i chwałę szerzyć i utrwalić zdołali. Chcąc drogi te odnaleźć, musi sięgnąć do tradycji wielkich przodków i oprzeć się na powołanych przez nich instytucjach wychowawczych, które ongiś, po politycznym naszej Ojczyzny upadku, zdrowego ducha polskiego zachować umiały. W tej wielkiej pracy, która do odrodzenia ojczyzny doprowadziła, niemałą rolę odegrało Liceum Krzemienieckie (...). Słynną tę uczelnię powołując niniejszym do życia” – napisał w rozkazy datowanym 27 maja 1920 r., w Belwederze, Józef Piłsudski.

Mury sławnej szkoły, która miała wówczas przetrwać do końca dwudziestolecia międzywojennego, przypominają do dziś czasy wołyńskiego Ateneum. Natomiast wycieczki polskie kierują swe kroki do otwartego w 2004 r. – w odbudowanym dworcu – muzeum Juliusza Słowackiego, który jako trzylatek opuścił wraz z rodzicami (grób jego ojca, profesora Euzebiusza, znajduje się na wileńskiej Rossie) miasto nad Ikwą, by corocznie doń przyjeżdżać w odwiedziny do dziadków, aż do 1830 r. Na jednym z historycznych cmentarzy znajduje się ich grób oraz matki poety Salomei z Januszowskich 1. voto Słowackiej 2. voto Becú. Miasto rodzinne poety wraca wielokrotnie w jego twórczości, kiedy wspominał je z emigracyjnej perspektywy.

Zafascynowany Krzemieńcem jest też twórca „Kresowej Atlantydy” i trudno się dziwić – kto tam choćby raz był, często wraca myślami, spogląda na miasto z zamkowej góry albo na zamek z głównej arterii, od której rozchodzą się historyczne uliczki. Opuszczając „Ateny Wołyńskie” (taki nagłówek otrzymała część pierwsza książki), czytelnik jest świadom, że niedaleko stąd do sienkiewiczowskiego Zbaraża czy Wiśniowca. Profesor Nicieja, doświadczony wędrowiec po kresowych szlakach, z charakterystyczną dlań eksperiencją spenetrował tamtejsze zabytki oraz ślady po historycznych postaciach i budowlach, po mistrzowsku – niekiedy ledwie kilku wyrazami w zdaniu – szkicuje pozyskane informacje

o prawdzie, a także o legendach, których tu nie brak, by przejść do zarejestrowania skutków burzy dziejowej, rozpoczętej we wrześniu roku 1939. Równie cenna jest dokumentacja związana z wielką wędrówką ludów, jaka po wojennej hekatombie rzuciła wiele polskich rodzin znad Ikwy głównie na Śląsk Opolski. Doświadczony biografista rejestruje szereg nazwisk, przeważnie z drugiego i trzeciego pokolenia emigrantów, w tym postaci na trwałe zapisane w narodowej kulturze, literaturze, gospodarce.

Autor ukazuje obrazy wołyńskich Kresów po raz drugi – to plon kolejnej wyprawy, po tej pierwszej, w której ukazał m.in. Łuck. Praca nad prezentowanym tomem zbiegła się z narodowymi dyskusjami nad filmem Wojciecha Smarzowskiego „Wołyń”, stąd autor poprzedził wykład kompetentnym wstępem (s. 5–14), w którym przypominał różne oblicza kontrowersyjnej przeszłości, symbolizowane nazwiskami dwóch twórców („Wołyń Smarzowskiego – Wołyń Paźniewskiego”). Wykazał, jak bardzo powierzchowne są oceny dotyczące wspomnianego filmu, w tym wypowiedzi tzw. polityków na temat rzezi wołyńskiej i banderowców. Nicieja zauważa:

„Należy żałować, że <Wołyń> Smarzowskiego jest splaszczony tematycznie, bo jest to tylko historia plebejskiego Wołynia. Akcja dzieje się w jakimś skansenie, gdzie nie ma ani jednego domu murowanego: drewniane chaty kryte słomą i dziurawe, błotniste drogi. Bieda wygląda z każdego kąta. Prymityw ludzi jest powszechny (...). Bohaterów narysowano grubą, czarną kreską. Żaden nie wzbudza naszej sympatii. Są gburowaci, zazdrośni, chciwi, skryci w uczuciach i małowólni (...). Prymityw pogrążonych w biedzie ludzi w <Wołyniu> Smarzowskiego jest porażający. Taki Wołyń też był. Ale rzecz w tym, że nie tylko taki. I tu dopatruję się największej słabości tego ważnego w polskiej kinematografii filmu”.

Uwaga trafna. Autor książki odwołuje się do znajdującej się w jego zbiorach dokumentacji, która ukazuje drugie oblicze Wołynia – z pałacami, murowanymi domami, nowoczesną gospodarką – i to właśnie oblicze ukazuje w kolejnych tomach „Atlantydy”. Przypomina eksperyment wojewody Henryka Józewskiego, obecność w warszawskim parlamencie posłów i senatorów z Wołynia, Podola, Pokucia, udział Ukraińców we władzach miej-

skich. Historyk wykazuje tu kompetencje doświadczonego politologa, przy pełnym zrozumieniu dla intencji kierujących twórcami dzieła („Taki film powstał, bo tego wymagała polska trauma i polska racja historyczna” – konkluduje w ostatnim zdaniu wstępu). Ale odwołuje się też do twórczości Włodzimierza Paźniewskiego (ur. 1942), literata i dziennikarza rodem z Pomorza na pograniczu Kujaw, który z Wołyniem nie miał nic wspólnego, ale uległ (nie on jeden, wystarczy wspomnieć twórcę „Kresowej Atlantydy” oraz autora tego szkicu!) fascynacji Krzemieńcem, któremu poświęcił szereg utworów, odnotowanych w bibliografii tomu 9. (1982, 1996, 1999). Studiował polonistykę w wileńskim klimacie Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, a jego dokumentacyjne i o wysokich walorach literackie prace zyskały wysoką ocenę ze strony autora prezentowanej tu książki. Jeden z jej podrozdziałów nosi tytuł: „Mitologia Krzemieńca według Paźniewskiego”. Obu panów połączyło zainteresowanie grodem nad Ikwą, dowodzą tego zamieszczone w tomie ilustracje. Nicieja potwierdza opinie krytyków o Paźniewskim jako „gigancie polskiej eseistyki”. Ale wielu miłośników Kresów dopiero dzięki niemu dowiaduje się o tej postaci i sięgnie do publikacji pióra redaktora „Dziennika Zachodniego” ze schyłku minionego stulecia. Opolski historyk w kolejnych tomach epopei wykazuje zdumiewającą erudycję, sięga do faktografii z licznych książek, artykułów dokumentacyjnych, wspomnień, tekstów prasowych, przy tym z reguły nie wdaje się ex cathedra w krytyczne oceny materiałów różnej przecież jakości (uczeni mężowie często z lubością to czynią!), ale samo ich przytaczanie świadczy, że pozytywnie ocenia trudy autorów, którym przecież często daleko jest do profesjonalizmu, natomiast odkrywają cenne karty z dziejów Polski niedawnej i tej w jej obecnych granicach.

O Krzemieńcu pisano sporo. Jednak w 35 punktach rozdziału pierwszego znajdziemy jego twórczy oryginalną całość obraz, w odniesieniu do dwóch ostatnich stuleci, z odniesieniami do wieków współczesnych. Przy czym na pierwszy plan wybija się miasto nad Ikwą z okresu międzywojennego oraz losy jego mieszkańców doświadczonych gehenną okupacji. Wiele miejsca zajmuje obecność już kolejnego pokolenia egzulów w krę-

gach akademickich Opola i Wrocławia, spotykamy szereg nazwisk funkcjonujących dziś profesorów, cykl krzemieniecki zamyka piękny szkic o przedwcześnie zmarłej Danucie Berlińskiej.

Ze zrozumiałych względów, podpisany, który wiele lat poświęcił dziejom wyznaniowym przedrozbiorowej Rzeczypospolitej, zagłębił się w lekturę liczącego 20 stron rozdziału II „Kisielin – wołyńska stolica arian”. Często spotykałem wzmianki o tej miejscowości w źródłach z XVII wieku. Nicieja, badacz czasów nam znacznie bliższych, szkicuje na początku w paru zdaniach jej dzieje podczas burzy reformacyjnej, nie zapomina o wojewodzie Adamie Kisielu, uwiecznionym przez Sienkiewicza na kartach „Ogniem i mieczem”, natomiast skupia uwagę na losach miejscowości i jej mieszkańców w 1943 r., w dobie rzezi wołyńskiej. Przypomina portrety tamtejszych dziejopisów, wiele miejsca poświęca rodzinie Dębskich, zwłaszcza kultywującemu pamięć o gnieździe rodzinnym Krzesimirowi (ur. 1953).

Niemal sto stron zajmuje (rozdział III) „Śniatyń – słoneczne miasto”, najcieplejsze w Polsce międzywojennej, do którego nas autor teraz przenosi, by odmalować uroki dwudziestolecia, zanim przejdzie do ukazania losów getta (czyni to w oszczędnych słowach), by skoncentrować się na trzech szlakach ucieczki z niedawnego jeszcze „raju” i losach rodzin śniatyńskich osiadłych na Śląsku po roku 1945, a także na dokonaniach żołnierzy plebejskiego pochodzenia na szlaku wojennym w drodze do Berlina. Autor dzieł o kresowych nekropoliach nie zapomina o cmentarzu w Śniatynie, tak jak wcześniej utrwalił pamięć o historycznym miejscu wiecznego spoczynku w Krzemieńcu.

Nad zamykającym całość rozdziałem IV, objętościowo równym tamtemu o ariańskiej stolicy, którego bohaterem jest „Pików – esencja uroków Podola”, dominuje postać związanego z tamtymi stronami sławnego twórcy „Rękopisu znalezionej w Saragossie”, Jana Potockiego, który tam się urodził i spędził ostatnie lata życia, zakończonego w grudniu 1815 r. śmiercią samobójczą w jego rezydencji, którą był pałac w Pikowie. Ale nie na tym zamknął autor kolejną opowieść, przypomniał bowiem jeszcze nazwisko znanego z historii literatury jednego

z tamtejszych gości, Dyzmy Bończy-Tomaszewskiego (1749–1825), poety o burzliwej biografii, twórcy „Jagiellonidy”, poematu znacznego jedynie objętością, a poświęconego unii Polski z Litwą. Obok niego ukazał też dorobek innego pikowskiego bywalca, Fryderyka Zachariasza Wenera.

Oczekujemy, że w niedalekiej przyszłości literackim piórem znakomitego badacza i dokumentalisty, autora dzieła o kresowych twierdzach Rzeczypospolitej, ewokowany zostanie obraz dawnego i nowszego Zbaraża, nawiązujący do pierwszej części sienkiewiczowskiej Trylogii. Czekają nań jakże liczni jeszcze jej czytelnicy.

WYDAWNICTWO UNIwersYTETU OPOLSKIEGO

NOWOŚCI WYDAWNICZE



BARSKA ANNA, BISKUPSKA KAMILLA, SOBIERAJ IWONA (red. nauk.),
Przestrzenie pamięci. Świat wartości w przekazie kulturowym
ISBN 978-83-7395-723-7, Opole: Wyd. UO, 2016,
format B5, 436 s., oprawa miękka,
cena 36,75 zł



BOGDANOV DUŠAN
Bibliografia prawa do informacji
ISBN 978-83-7395-731-2, Studia i Monografie nr 537, Opole: Wyd. UO, 2016, format B5, 154 s., oprawa miękka,
cena 14,70 zł

Bibliografia zawiera ponad 2000 opisów bibliograficznych publikacji z zakresu szeroko pojętego prawa do informacji, ponownego wykorzystywania informacji sektora publicznego oraz informacji ustawowo chronionych. W zestawieniu ujęte zostały opracowania monograficzne, prace zbiorowe, artykuły znajdujące się w pracach zbiorowych, artykuły publikowane w periodykach naukowych i fachowych. Uwzględniono również niektóre ważne opinie prawne i interesujące raporty z badań nad dostępem do informacji publicznej. Zasięgiem chronologicznym bibliografia obejmuje okres od początku lat 60. ubiegłego wieku do 16 czerwca 2016 roku, kiedy to weszła w życie ustawa o ponownym wykorzystaniu informacji sektora publicznego. Książka może być przydatna pracownikom nauki, studentom i dziennikarzom, jak również wszystkim innym zajmującym się problematyką prawa do informacji. Może być wykorzystywana w procesie dydaktycznym na wszystkich stopniach studiów w kierunkach: prawo, administracja, dziennikarstwo, politologia, socjologia, ekonomia, zarządzanie, gospodarka przestrzenna, ochrona środowiska, informacja naukowa i bibliotekoznawstwo, jak również na studiach podyplomowych dotyczących zarządzania administracją publiczną, public relations, wiedzy o społeczeństwie.



GIĘŃ ADRIAN, LENART MIROSŁAW (red. nauk.),
Marian Wańcowski. Na krawędzi przelotu. Wybór tekstów teoretycznych z lat 1971-2000 wydany z okazji 80-lecia urodzin Autora
ISBN 978-83-7395-730-5, Opole: Wyd. UO, 2016,
format A5, 215 s., oprawa miękka,
cena 17,85 zł

WYDAWNICTWO UNIwersYTETU OPOLSKIEGO

NOWOŚCI WYDAWNICZE

**JAROSZ KATARZYNA****Znaczenie aktywności kulturalnej dla jakości życia człowieka dorosłego**Studia i Monografie nr 538, ISBN 978-83-7395-729-9, Opole: Wyd. UO, 2016, format B5, 170 s., oprawa miękka, **cena 16,80 zł**

Praca poświęcona jest problematyce jakości życia dorosłych mieszkańców województwa opolskiego, rozpatrywanej w kontekście realizowanej przez nich aktywności kulturalnej i ma charakter studium teoretyczno-empirycznego. W części teoretycznej omówiono koncepcje związane z funkcjonowaniem człowieka w świecie kultury oraz przedstawiono w interdyscyplinarnym ujęciu wielowymiarowy model jakości życia. W części empirycznej ukazano procedurę badawczą, a także wyniki badań obrazujące relacje zachodzące między poszczególnymi układami kultury oraz stylami partycypacji kulturalnej a obszarami jakości życia respondentów. Materiał empiryczny pochodzi z badań realizowanych we wszystkich powiatach województwa opolskiego. Autorka, oprócz prezentacji hierarchii preferencji kulturalnych oraz stylów partycypacji kulturalnej dorosłych mieszkańców województwa opolskiego, diagnozuje funkcje aktywności kulturalnej w procesie hominizacji. Ponadto opisuje nowy predyktor jakości życia w polu kulturalnym jednostki – styl partycypacji kulturalnej oparty na podmiotowym standardzie funkcjonowania jednostki.

Książka adresowana jest do andragogów, pedagogów, animatorów kultury, psychologów, studentów nauk społecznych oraz do zainteresowanych problematyką podnoszenia subiektywnego poczucia jakości życia człowieka dorosłego poprzez wydobywanie walorów tkwiących w kulturze późnej nowoczesności.

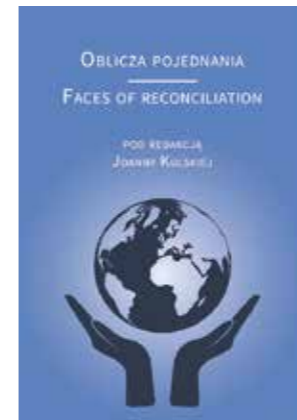
**HAJDUK-NIJKAWSKA JANINA****Doświadczenie pamięci. Folklorystyczny kontekst opowieści wspomnieniowych**Studia i Monografie nr 536, ISBN 978-83-7395-725-1, Opole: Wyd. UO, 2016, format B5, 294 s., oprawa miękka, **cena 29,40 zł**

Przedmiotem monografii jest pamięć – zapamiętywana, opowiadana i przekazywana następnym pokoleniom, głównie w formie opowieści wspomnieniowej, interpretowanej w tomie z perspektywy folklorystycznej. Analiza podejmowanej przez narratorów próby oswojenia rzeczywistości, będąca zarazem swoistym dowodem współtworzenia wspólnotowej tożsamości, ujawnia postępujący proces nasilającej się fabularyzacji i mityzacji relacji o minionych wydarzeniach w trakcie funkcjonowania ich w obiegu w określonej grupie społecznej. Szczegółową analizę zaszyfrowanych procesów przeprowadzono na bogatym materiale pozyskanym po 1989 roku, który zapoczątkował zmiany systemowe w Polsce, umożliwiające ujawnienie się w obiegu publicznym opowieści funkcjonujących wcześniej głównie w pamięci rodzinnej, zwłaszcza gdy znajdowały się one w ostrej sprzeczności z pamięcią oficjalną, instytucjonalną „państwową”. Owa pamięć utajniona w przypadku ludności Śląska obejmuje traumatyczne doświadczenia związane z dwudziestowieczną historią tego regionu (głównie służba Ślązaków w Wehrmachcie, wkroczenie Armii Czerwonej na Śląsk, przymusowe pobyty w obozach pracy, skutkujące przeważnie

wysiedleniem do Niemiec, deportacje do ZSRR i weryfikacja narodowościowa). Bogata i zróżnicowana dokumentacja (wywiady, dokumenty multimedialne, literatura wspomnieniowa, filmy dokumentalne itp.) służy scharakteryzowaniu wspólnoty pamięci Ślązaków oraz potwierdzeniu tezy, że trwający przez lata proces folklorystyki i fabularyzacji opowieści wspomnieniowych doprowadził do powstania swoistej epopei ludowej, wypracowanej przez nosicieli wspólnotowej pamięci. Podobny mechanizm funkcjonowania pamięci utajnionej o traumatycznych dwudziestowiecznych przeżyciach charakteryzuje wspólnotę Kresowiaków, sybiraków i Łemków. Skonfrontowanie tych wspólnot pamięci ze wspólnotą pamięci Ślązaków pozwoliło na teoretyczne dopracowanie pojęcia opowieści wspomnieniowej jako samodzielnego gatunku, który wyrasta z określonej folklorystycznej sytuacji komunikacyjnej, inspirowanej w sposób naturalny potoczną aktywnością narracyjną. Współczesne opowieści wspomnieniowe nie tylko kształtują interakcje międzyludzkie i służą podtrzymaniu pamięci społecznej, ale przede wszystkim uczestniczą w kreowaniu wspólnoty pamięci, korzystając ze wszelkich medialnych środków przekazu. Autorka dowodzi, że antropologicznie zorientowana folklorystyka, patrząc globalnie na człowieka i jego aktywność twórczą, na ujawnianie emocji i zaangażowania się w proces samotworzenia i samorozumienia świata, pomaga zrozumieć proces doświadczania pamięci przez współczesnego człowieka.

WYDAWNICTWO UNIwersYTETU OPOLSKIEGO

NOWOŚCI WYDAWNICZE

**KULSKA JOANNA** (red. nauk.)**Oblicza pojednania. Faces of reconciliation**
ISBN 978-83-7395-727-5, Opole: Wyd. UO, 2016, format B5, 280 s., oprawa miękka, **cena 24,15 zł**

Jakkolwiek idea pojednania, rozumianego jako odbudowanie relacji, ma długą historię, dyskurs na temat istoty tej koncepcji i jej stosowania w odniesieniu do odbudowy podzielonych i skonfliktowanych społeczeństw oraz trudnych stosunków między państwami zaczął rozwijać się od zaledwie kilku dekad. Jednocześnie stopniowo stawał się w coraz większym stopniu konceptem interdyscyplinarnym, odnajdując dla siebie miejsce w wielu odmiennych kontekstach w obrębie różnych dziedzin nauki. Dyskusja o pojednaniu przekroczyła w ten sposób granice tych dyscyplin, do których – mogłoby się wydawać – w naturalny sposób przynależała, a zatem teologii czy psychologii, wkroczyła w obszar politologii, prawa czy socjologii. Niniejsza publikacja, na którą składa się trzynaście artykułów przygotowanych przez autorów reprezentujących polskie, niemieckie, francuskie oraz czeskie ośrodki uniwersyteckie, kierowana jest do szerokiego grona odbiorców, zarówno akademików, jak i studentów, a także osób spoza środowiska akademickiego, zainteresowanych ważnymi i niezwykle ciekawymi przewartościami w sferze relacji wewnętrznej i między państwowych. Obok wprowadzenia teoretycznego oraz analizy najgoręcej dyskutowanych, choć nierzadko bardzo trudnych i problematycznych procesów pojednania, jak pojednanie RPA czy pojednanie palestyńsko-izraelskie, znacząca część publikacji poświęcona jest pojednaniu polsko-niemieckiemu.

**SAWICKI MARIUSZ****Dom sapieżyński 1666-1685. Droga do hegemonii w Wielkim Księstwie Litewskim**
Studia i Monografie nr 535, ISBN 978-83-7395-721-3, Opole: Wyd. UO, 2016, format B5, 276 s., oprawa miękka, **cena 27,30 zł****WŁOCH AGNIESZKA, MAĆKOWIAK KLAUDIA****Pedagogiczne aspekty procesu kreowania postaci scenicznej w teatrze**Studia i Monografie nr 541, ISBN 978-83-7395-726-8, Opole: Wyd. UO, 2016, format B5, 226 s., oprawa miękka, **cena 22,05 zł**

Ponadto ukazały się:

Opolskie Studia Administracyjno-Prawne, XIV/4/[2]/2016, (red. nauk.) Kaczorowski Włodzimierz, ISSN 1731-8297, Opole: Wyd. UO, 2016, format B5, 92 s., oprawa miękka, **cena 7,35 zł****Studia Miejskie** 2016, t. 23, (red. nauk.) Słodczyk Janusz, ISSN 2082-4793, Opole: Wyd. UO, 2016, format B5, 172 s., oprawa miękka, **cena 14,70 zł**Więcej informacji na stronie Wydawnictwa UO: www.wydawnictwo.uni.opole.plPrzygotowała: **Lidia Działowska**

REDAKCJA WYDAWNICTW WYDZIAŁU TEOLOGICZNEGO

NOWOŚCI WYDAWNICZE

**GLOMBIK KONRAD** (red.)**Studia Teologiczno-Historyczne Śląska Opolskiego**czasopismo: Studia Teologiczno-Historyczne Śląska Opolskiego, nr 36 (1), Opole, 2016, 304 s., **cena 27,83 zł**

Prezentowane czasopismo zawiera artykuły z różnych dziedzin teologii oraz z historii Kościoła, dotyczące Śląska Opolskiego.

**MORCINIĘC PIOTR** (red.)**Family Forum. Tożsamość płciowa i transseksualna**(czasopismo: Family Forum, nr 6), Opole 2016, 274 s., **cena 26,25 zł**

Prezentowana książka jest czasopiśmie Instytutu Nauk o Rodzinie Wydziału Teologicznego UO. Tematyka „Family Forum” dotyczy zagadnień szeroko pojętej problematyki rodziny.

**SOBECZKO HELMUT JAN** (red. nauk.)**Liturgia Sacra**

czasopismo, nr 2 (48), Opole 2016, 283 s., Półrocznik Instytutu Liturgii, Muzyki i Sztuki Sakralnej Wydziału Teologicznego UO

cena 18,38 zł**GLOMBIK KONRAD** (red.)**Studia Teologiczno-Historyczne Śląska Opolskiego**Studia Teologiczno-Historyczne Śląska Opolskiego (czasopismo: Studia Teologiczno-Historyczne Śląska Opolskiego, nr 36 (2)), Opole, 2016, 283 s., **cena 27,83 zł**

Prezentowane czasopismo zawiera artykuły z różnych dziedzin teologii oraz z historii Kościoła, dotyczące Śląska Opolskiego.

**PORADA RAJMUND** (red.)**Studia Oecumenica**(czasopismo, nr 16), Opole 2016, 535 s., **cena 45,15 zł**

W niniejszym czasopiśmie publikowane są artykuły dotyczące ruchu ekumenicznego, dialogów międzywyznaniowych oraz doktryny różnych wyznań chrześcijańskich.

Przygotował: **Piotr Juszczyszyn**

NOTY O AUTORACH

Tzuzuko Abe – nauczycielka języka niemieckiego na Uniwersytecie Doshisha w Kyoto (Japonia), uczestniczka ubiegłorocznego kursu języka polskiego dla obcokrajowców – w ramach Letniej Szkoły Językowej, organizowanej przez Uniwersytet Opolski.

Marian Buchowski – publicysta, pisujący też wiersze, autor książkowych zbiorów reportaży oraz biografii Edwarda Stachury. Publikował m.in. w „Odrze” i „Polityce”, pracował w miesięczniku społeczno-kulturalnym „Opole” i „Trybunie Opolskiej”. Współpracuje z katowickim miesięcznikiem „Śląsk”.

Paweł Cieśla – przewodniczący Koła Naukowego Pedagogiki Pracy „Semper Salvus”.

Marcin Deutschmann – student II roku studiów magisterskich w Instytucie Socjologii UO. W latach 2013–2016 prezes Studentckiego Koła Naukowego Socjologów UO. Od października 2015 członek organizacji Hello! Uni Opole.

Wojciech Dindorf – absolwent fizyki WSP w Opolu (1957). Nauczyciel matematyki i fizyki w liceach (kolejno): w Legnicy, Nowym Jorku, Opolu, Wiedniu; wykładowca fizyki doświadczalnej na WSP i WSI w Opolu, Uniwersytecie w Wiedniu (1996–2000); egzaminator międzynarodowej matury z fizyki w jęz. angielskim, hiszpańskim i francuskim (od 1984); juror na Międzynarodowych Turniejach Młodych Fizyków; redaktor „Mojej Fizyki” – internetowego magazynu dla nauczycieli.

Klaudia Gabryel – pracownik naukowy Zakładu Języka Niemieckiego Instytutu Filologii Germańskiej UO.

Jan Goczoł – poeta, publicysta, absolwent opolskiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej, autor książek poetyckich: „Małgorzata” (1961), „Topografia intymna” (1961), „Sprzed drzwi” (1969), „Manuskrypt” (1974), „Poezje wybrane” (1985), „Znad Odry” (1996), „Zapiski śladowe” (1999), „Z pogorzelska” (2011) i felietonów literackich „Na brzoźowej korze” (2000).

Elżbieta Gosławska – wicedyrektor i nauczycielka języka angielskiego w Publicznym Gimnazjum w Pokoju, redaktor i współautorka publikacji pt. „Pokój. Monografia”, wydanej przez Gminną Bibliotekę Publiczną w Pokoju.

Justyna Grzesik – studentka Applied Gender Studies na Uniwersytecie Opolskim.

Andrzej Hamada – nestor opolskich architektów, urodzony w Gdańsku znawca historii Opola, w którym mieszka od ponad sześćdziesięciu lat.

Aneta Jadzyn – studentka II roku dziennikarstwa i komunikacji społecznej UO.

Dr Gabriela Jelitto-Piechulik – adiunkt w Zakładzie Historii Literatury i Kultury Niemiec XIX i XX wieku w Instytucie Filologii Germańskiej UO.

Prof. dr hab. Włodzimierz Kaczorowski – pracownik naukowy Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Opolskiego. Jego badania naukowe dotyczą głównie dziejów powszechnych i Polski XV–XIX wieku, zwłaszcza parlamentaryzmu, wymiaru biologicznego w badaniach historyczno-prawnych oraz biografistyki.

Agnieszka Kania – opolska lekarka dentystka. Od sześciu lat prowadzi galerię sztuki „Panaceum”. Regularnie ogłasza teksty w opolskiej „Gazecie Wyborczej”. Zdobyła dwukrotnie (w roku 2012 i 2013) pierwszą nagrodę w ogólnopolskim konkursie literackim im. profesora Andrzeja Szczeklika „Przychodzi wena do lekarza”, a w 2016 – pierwszą nagrodę w konkursie poetycko-prozatorskim „Puls słowa”. Wydała tom szkiców i felietonów „Zapamiętania” (Opole 2011).

Agnieszka Klimas – studentka Instytutu Filologii Germańskiej UO.

Patryk Korzec – student II roku dziennikarstwa i komunikacji społecznej UO, szef działu muzycznego „Radio Sygnałów”.

Prof. dr hab. Marcei Kosman – historyk (dzieje kultury polskiej nowożytnej, kultura polityczna), pracownik naukowy Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Autor kilkunastu książek, m.in. „Na tropach bohaterów Krzyżaków”, „Na tropach bohaterów Quo vadis”, „Wojciech Jaruzelski wobec wyzwań swoich czasów. O kulturze politycznej w Polsce przełomu tysiącleci”, „Dějiny Polska”.

Aleksandra Kot – studentka II roku dziennikarstwa i komunikacji społecznej UO.

Dr hab. Bartłomiej Kozera, prof. UO – emerytowany pracownik naukowy Instytutu Filologii Uniwersytetu Opolskiego. Tematyka badań: filozofia średniowieczna i jej współczesne kontynuacje, filozofia Boga i filozofia religii, filozofia społeczna.

Katarzyna Mazur-Kulesza – starszy dokumentalista w Muzeum UO, absolwentka historii i studiów podyplomowych z informacji naukowej i bibliotekoznawstwa oraz zarządzania zasobami ludzkimi na UO i studiów podyplomowych z muzeologii na Uniwersytecie Jagiellońskim.

NOTY O AUTORACH

Prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja – historyk (biografistyka najnowszych dziejów Polski, historia najnowsza), współautor filmów dokumentalnych, autor kilkunastu książek, m.in.: „Cmentarz Łyczakowski we Lwowie 1786–1986”; „Cmentarz Obrońców Lwowa”; „Z Kijowa na Piccadilly. Wokół biografii Tadeusza Zabłockiego-Gwasza”; „Łyczaków – dzielnica za Styksem”; „Tam gdzie lwowskie śpią Orłęta”; „Cmentarz Łyczakowski w fotografii”; „Twierdze kresowe Rzeczypospolitej. Historia, legendy, biografie”; „Kresowe Trójmiasto. Truskawiec-Drohobycz-Borysław”; „Lwowskie Orłęta. Czyn i legenda”; „Kresowa Atlantyda”.

Dr hab. Daniela Pelka – pracownik naukowy Zakładu Języka Niemieckiego Instytutu Filologii Germańskiej UO.

Prof. dr hab. Janusz Słodczyk – prorektor UO ds. nauki i finansów, geograf i ekonomista specjalizujący się w geografii ekonomicznej i planowaniu przestrzennym.

Witold Sułek – opolski księgarz, poeta, pisarz. Autor tomu wierszy „Plantacja” oraz książki dla dzieci „Bajka o małym łosiu”. Publikował w pismach STRONY, RED, książkach zbiorowych. Animator kultury, aktor Teatru Fieter w Ozimku.

Dr Bartosz Suwiński – poeta, krytyk literacki, doktor nauk humanistycznych. Mieszka i pracuje w Opolu. Poezję, prozę, szkice krytyczne i artykuły naukowe drukował m.in. w „Twórczości”, „Odrze”, „Toposie”, „Frazie” i wielu tomach pokonferencyjnych. Wydał tomy poetyckie: „Sehir” (2010), „Bliki” (2013), „Odpust” (2013), „Uroczysko” (2014) oraz monografię: „Pory poezji. Koncepcja czasu w twórczości poetyckiej Krystyny Miłobędzkiej” (2017). W przygotowaniu tom poetycki „Wyraja” (FORMA 2017).

Radosław Święs – dziennikarz, m.in. nowojorskiego „Nowego Dziennika”, specjalista od komunikacji i PR, pracownik Biura Promocji i Informacji UO, absolwent politologii Uniwersytetu Opolskiego, na którym jest wykładowcą.

Ewa Walczyk – studentka Uniwersytetu Opolskiego, reporterka „Radio Sygnałów”.

Dr Adam Wierciński – historyk literatury, krytyk, publicysta. Zainteresowania naukowe: historia literatury, historia i kultura dawnej Polski, kultura języka. Autor kilku książek (m.in.: „Przywracanie pamięci”, 1993, 1997; „Głowy opolskie”, 1999, 2008; „O nijaczeniu języka”, 2006) oraz kilkuset tekstów naukowych, publicystycznych i paraliterackich.

Monika Wójcik-Bednarz – kierownik Biblioteki Austriackiej w Opolu, doktorantka w Instytucie Filologii Germańskiej UO.

Urszula Zajączkowska – historyk, dyrektor (od 2007 r.) Muzeum Śląska Opolskiego, z którym jest związana od 1977 r.

IMPRESSUM

Wydawca: Uniwersytet Opolski (nakład: 550 egz.)

Adres redakcji: 45-040 Opole, pl. Kopernika 11, Collegium Maius UO, pok. 17, tel. 77 541-60-17, e-mail: indeks@uni.opole.pl, www.indeks.uni.opole.pl

Redaktor naczelna: Barbara Stankiewicz-Buchowska

Zdjęcia: Jarosław Mokrzycki, Tadeusz Parcej, Sylwester Koral, Grzegorz Gajos

Opieka merytoryczna: prof. Stanisław S. Nicieja

Projekt graficzny/skład: Grzegorz Gajos

Druk: Drukarnia Św. Krzyża, Opole

Zastrzega się prawo do adiustacji, skrótów, dawania własnych tytułów, śródtytułów, nagłówków, przypisów itp.,

a w przypadku zdjęć i rysunków – własnego kadrowania

uni
www.
uni.opole.pl